Olga Doleśniak-Harczuk
AUDYT W PROSEKTORIUM III RZESZY

Magdalena Złotnicka
AMBICJE ANIOŁA, PRACOHOLIZM DYZMY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 15 320
indeks 211060
#136 06/2017

ISSN 1895-4960

LUDZIE Z GLOBALNEGO DYSKONTU

#136 06/2017 NOWE PAŃSTWO

eprasa.pl f3e1b3ccc5

TEMAT NUMERU ▼ 4–19

fot. Fotolia

Przehandlowane nadzieje / 4

IDEE ▼ 20–33

fot. mat. pras.

„Ucho prezesa" – apolityczny serial o politykach / 20

HISTORIA ▼ 34–60

fot. NAC

Warszawska Syrenka z San Francisco / 34

KULTURA ▼ 62–67

fot. Jakub Kamiński/PAP

Na przystanku PKS, czyli 50 lat z Kelusem / 62

ŚWIAT ▼ 70–97

fot. PAP/EPA

Niech Trump zapyta Putina o zamach na JP II / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU 4–18

Magda Groń
Przehandlowane nadzieje 4

z Maciejem Szubą rozmawia Grzegorz Broński
Niewolnictwo czasów współczesnych 8

Ryszard Czarnecki
Bezpieka, mafia, handel żywym towarem? 11

Olga Doleśniak-Harczuk
Ludzie z globalnego dyskontu 12

Grzegorz Wierzchołowski
Rosyjski handel ludźmi 16

IDEE 20–33

Piotr Wielgucki „Matka Kurka"
„Ucho prezesa" – apolityczny serial o politykach 20

Ewa Polak-Pałkiewicz
Kiedy filister wypiera inteligenta 24

Małgorzata Matuszak
Wiara? To brzmi dumnie 28

Tomasz Terlikowski
Bracia Miłosierdzia od eutanazji 31

HISTORIA 34–60

Piotr Lisiewicz
Warszawska Syrenka z San Francisco 34

Magdalena Złotnicka
Ambicje Anioła, pracoholizm Dyzmy 40

Dariusz Jarosiński
Szkic do portretu wileńskiej legendy 46

Agnieszka Kowalczyk
Sprawiedliwa wśród Narodów Świata 52

Karol Zbyszewski
Zgoda będzie zgubą 58

KULTURA 62–67

Krzysztof Karnkowski
Na przystanku PKS, czyli 50 lat z Kelusem 62

Jakub Kozłowski
Powrót do korzeni 65

Sylwia Krasnodębska
Twin Peaks: strachy w operze mydlanej 66

ŚWIAT 70–97

z dr. Paulem Kengorem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Niech Trump zapyta Putina o zamach na JP II 70

Antoni Rybczyński
Sto dni Trumpa, czyli mnóstwo niespodzianek 74

Hanna Shen
Chińska miękka siła 78

Antoni Rybczyński
Persowie i Moskale. Sojusz specyficzny 81

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 88

Stefan Czerniecki
Jak na wsi 90

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Jak PO z SB walczą o wolność
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... sens życia
KATECHIZM INTELIGENTA 19

Piotr Hofman
Sukcesja w firmach rodzinnych
RECENZJA NIE NA CZASIE 61

Ryszard Czarnecki
List do pana S.
CZARNECKO TO WIDZĘ 69

Olga Doleśniak-Harczuk
Audyt w prosektorium III Rzeszy
Z GLOBALNEGO TYGLA 86

Marcin Wolski
Pluszowe krzyże
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Powolna śmierć liberalnego projektu
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska-Hejke

Jak PO z SB walczą o wolność

W marszach mających bronić niby zagrożonej demokracji idą byli funkcjonariusze SB, ich tajni współpracownicy, artyści, którzy budowali popularność dzięki łaskawości Jaruzelskiego czy Kiszczaka wówczas, gdy te indywidua zlecały zabójstwa niewygodnych obywateli. To pokazuje, jak wielki jest poziom mobilizacji wszelkiej maści obrońców postkomunistycznego porządku.

To nieprawda, że Platforma nie ma programu wyborczego. Ma. Krótki i zwięzły – Polska ma być straszna. W postkomunistycznych mediach, w opowieściach tzw. celebrytów, w oświadczeniach politycznych przyjaciół PO z unijnych struktur. Im wizerunek naszego kraju będzie gorszy, tym bardziej tuzy Platformy i jej wspomagacze będą zacierać ręce. Planem politycznym opozycji jest codzienne serwowanie Polakom przymusowego spektaklu pod tytułem „Kraj płonie". Z każdej strony mamy być bombardowani dramatycznymi wieściami: nie ma demokracji, nie ma wolności słowa, PiS zawłaszcza to, zawłaszcza tamto, a światła zachodnia część Unii Europejskiej załamuje ręce nad nasilającym się w Polsce terrorem władzy. Chodzi o to, by jak najliczniejsze grupy Polaków, wbrew pozytywnemu doświadczeniu codzienności, miały poczucie narastającej niepewności czy wręcz zagrożenia. Wszystkie ręce na pokład: od potulnych komunistycznej władzy artystów po cieciów sowieckiej dominacji nad Polską, czyli bezpiekę. W walce o to, by „było, jak było", nie ma niegodnych sojuszników. Liderzy PO i wspomagający ich dziennikarze mogą na jednym oddechu opowiadać farmazony o rodzącej się dyktaturze i opłakiwać ciężki los tych, którzy za komuny naprawdę terroryzowali Polaków. Tak przecież się dzieje – w marszach mających bronić niby zagrożonej demokracji idą byli funkcjonariusze SB, ich tajni współpracownicy, artyści, którzy budowali popularność dzięki łaskawości Jaruzelskiego czy Kiszczaka wówczas, gdy te indywidua zlecały zabójstwa niewygodnych obywateli. To pokazuje, jak wielki jest poziom mobilizacji wszelkiej maści obrońców postkomunistycznego porządku. Źródłem tego ekstraordynaryjnego poruszenia nie jest jedynie dyskomfort spowodowany oderwaniem od żłobu, lecz przede wszystkim lęk, że partia Jarosława Kaczyńskiego dokona trwałych zmian w funkcjonowaniu kluczowych – z punktu widzenia utrzymania wpływów – instytucji. Idzie głównie o te z nich, które strzegły magdalenkowego status quo: sądy, służby, wojsko, dyplomacja. Wymiar sprawiedliwości jest żywym skansenem postkomuny. Służby, wojsko i dyplomacja mimo krótkich okresów gruntownej naprawy pozostały nadal spętane wpływami ludzi rodem z aparatu komunistycznego lub gorzej – po prostu wyszkolonych w sowietach. Czy PiS jest w stanie oprzeć się ich zjednoczonej ofensywie? Tylko wówczas, gdy będzie konsekwentnie realizował swój plan. Straci, jeśli będzie robił kroki w tył, łudząc się, że tym samym poprawi swój wizerunek. Platforma Obywatelska jest dziś politycznym reprezentantem postkomunistycznego porządku. A ten jest zainteresowany wyłącznie pozbawieniem PiS władzy i zniszczeniem tego ugrupowania. I to się nie zmieni nawet wówczas, gdy partia rządząca nieco ograniczy zakres dokonywanych przez siebie zmian. ■

***

W najnowszym numerze naszego miesięcznika przyglądamy się zjawisku handlu ludźmi. Ten jeden z najbardziej dochodowych procederów przestępczych zwiększa swój zasięg, a mimo to ogromna część Polaków nie ma podstawowej wiedzy o rządzących nim mechanizmach. W tym wypadku świadomość istnienia takiego zagrożenia i informacje są najskuteczniejszą ochroną.

5 901234 123457

PRZEHANDLOWANE NADZIEJE

Magda Groń

Handlem ludźmi zajmują się przede wszystkim zorganizowane grupy przestępcze. Szacuje się, że roczny obrót w tym procederze to około 150 mld dolarów. To trzecie miejsce w niechlubnym rankingu – tuż po handlu bronią i narkotykami. Zwykle kobiety zmuszane są do prostytucji, mężczyźni do ciężkiej pracy, a dzieci są wykorzystywane seksualnie.

PARLAMENT EUROPEJSKI: rocznie ofiarami handlu ludźmi stają się **4 mln osób**.
Departament Stanu USA: ofiarami handlu ludźmi staje się **600–800 tys. osób** rocznie.
Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji (IOM) – liczbę ofiar szacuje się **od 700 tys. do 2 mln**.
Międzynarodowa Organizacja Pracy – na świecie jest **12,3 mln osób** wykonujących pracę przymusową.

Ilustracja na podstawie fot. Maffy-MassimoMeloni - Fotolia

Młoda, atrakcyjna Polka wyjeżdża do Egiptu. Umiera rzekomo w wyniku obrażeń, jakich doznała w związku z upadkiem z dużej wysokości – miała wyskoczyć z okna szpitala, do którego trafiła z powodu złego stanu zdrowia i niecodziennego zachowania. Czy podano jej narkotyk? Czy padła ofiarą zorganizowanej grupy przestępczej? Być może z czasem poznamy odpowiedzi na te pytania. Tymczasem za sprawą Magdaleny Żuk opinia publiczna przez chwilę pochyliła się nad innym ważnym problemem, o którym za rządów PO–PSL nie mówiło się praktycznie wcale.

Prawdopodobny wątek

Oficjalnie MSWiA rocznie odnotowuje nie więcej niż 100 przypadków handlu ludźmi w Polsce, jednak eksperci szacują, że liczba ofiar w naszym kraju może być znacznie wyższa. O sprawie jest coraz głośniej, a to w związku z historią 27-letniej Magdaleny Żuk, która poleciała 25 kwietnia do egipskiego kurortu Marsa Alam. Z aktualnie przedstawianej wersji zdarzeń wynika, że kobieta chciała zrobić niespodziankę swojemu chłopakowi Marcusowi i zabrać go na urlop. Jednak w dniu wyjazdu zorientowali się, że chłopakowi kończy się ważność paszportu i dlatego poleciała sama. Po dwóch dniach Magdalena Żuk bardzo źle się poczuła i zaplanowano jej powrót do kraju. Ale ze względu na pogarszający się stan zdrowia zamiast do Polski trafiła do szpitala. Wówczas do Egiptu poleciał po nią kolega jej chłopaka, ale na miejscu dowiedział się, że Magdalena Żuk już nie żyje. Zmarła w wyniku obrażeń, jakich doznała, rzekomo wyskakując z okna w szpitalu w Marsa Alam.

Jedną z hipotez przyjętych przez prokuratorów wyjaśniających sprawę jej śmierci jest to, że Polka padła ofiarą międzynarodowej grupy przestępczej handlującej ludźmi. Taką informację podało m.in. biuro detektywistyczne „Lampart", które złożyło do prokuratury zawiadomienie zawierające kompletny raport, sprawozdanie, materiały informacyjne, ustalenia i notatki, które będą pomocne w rozwiązaniu tajemniczej śmierci Magdaleny Żuk. Pracownicy biura poinformowali, że wskazali precyzyjnie 72 osoby powiązane bezpośrednio lub pośrednio z uczestnictwem w zorganizowanej grupie przestępczej oraz śmiercią Magdaleny, a także: 32 spółki powiązane ze strukturami biznesowymi grupy przestępczej, stronę internetową wraz z lokalizacją serwera, z której odbywa się zarządzanie zamówieniami dziewczyn, m.in. z Polski, oraz graficzną siatkę powiązań struktur osobowych i biznesowych grupy przestępczej.

Dotąd przedstawiane są różne wersje zdarzeń. Prokuratura niczego nie wyklucza i bierze pod uwagę każdą teorię. Czy Magdalena Żuk faktycznie mogła paść ofiarą handlu ludźmi? Nad sprawą pracuje zespół złożony m.in. z oficerów ABW i CBŚP. Pod lupę śledczych trafiły także kluby nocne we Wrocławiu. Przychodzą do nich prominentni politycy PO i lokalne władze.

Tak to robią

Według wersji przedstawianej przez biuro detektywistyczne, Magdalena Żuk „została zwabiona przez mężczyznę, którego zadaniem było doprowadzić do silnej więzi emocjonalnej między nimi". Kiedy to nastąpiło, w ciągu kilku miesięcy otrzymała od niego i osób z najbliższego grona wspólnych znajomych pewną propozycję, o której nie mogła powiedzieć rodzicom. Została bowiem namówiona na dobrowolny wyjazd do Egiptu na mocy obietnicy zarobienia dużych pieniędzy jako tzw. dziewczyna do towarzystwa. Zjawisko jest częste, zaś tego rodzaju wyjazdy organizowane są masowo przez różne agencje pośredniczące (funkcjonujące pod przykrywką w ramach agencji modelingowych i hostess) do krajów arabskich, Japonii itd. (w zależności od tego, gdzie zostaną „zamówione"). Tym, które mają pewne obawy, obiecuje się dodatkowo, iż świadczone przez nie usługi nie będą miały charakteru erotycznego czy seksualnego. Prawda okazuje się inna, a kiedy dziewczyny chcą się wycofać, nie mogą tego zrobić, ponieważ są szantażowane kompromitującymi je materiałami lub odurzane silnie uzależniającymi narkotykami. Są również zastraszane – grupa przestępcza potrafi dokonać na ich oczach różnego rodzaju makabrycznych przestępstw z udziałem innych dziewczyn, by pokazać ofiarom, co może się im przytrafić, jeśli będą sprawiały kłopoty.

W raporcie biura detektywistycznego czytamy: „W przypadku Magdy, zaraz po jej przylocie doszło do różnych zdarzeń, w wyniku których dziewczyna przeraziła się, spanikowała i chciała się wycofać, ponieważ nie spodziewała się takiego obrotu spraw. W wyniku jej paniki wszystko potoczyło się w zupełnie inny sposób niż zaplanowane to było szablonowo przez grupę przestępczą. Magda od samego początku i przez cały czas była pilotowana – jeszcze na długo przed samym wyjazdem, najprawdopodobniej przez osoby przez nas wytypowane w wyniku śledztwa wywiadowczego. Osoby te przez cały czas miały kontrolę i wiedzę

W POLSCE PRZESTĘPSTWO HANDLU LUDŹMI jest uregulowane przede wszystkim przez Kodeks karny. Zgodnie z definicją „handlem ludźmi jest werbowanie, transport, dostarczanie, przekazywanie, przechowywanie lub przyjmowanie osoby z zastosowaniem przemocy lub groźby bezprawnej, uprowadzenia, podstępu, wprowadzenia w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania, nadużycia stosunku zależności, wykorzystania krytycznego położenia lub stanu bezradności, udzielenia albo przyjęcia korzyści majątkowej lub osobistej albo jej obietnicy osobie sprawującej opiekę lub nadzór nad inną osobą – w celu jej wykorzystania, nawet za jej zgodą, w szczególności w prostytucji, pornografii lub innych formach seksualnego wykorzystania, w pracy lub usługach o charakterze przymusowym, w żebractwie, w niewolnictwie lub innych formach wykorzystania poniżających godność człowieka albo w celu pozyskania komórek, tkanek lub narządów wbrew przepisom ustawy".

na temat tego, w jakim naprawdę Magda celu udaje się do Egiptu oraz gdzie jest, co robi i z kim się spotyka. Wszystko, co stało się później, było natomiast wynikiem działań chaotycznych, aby za wszelką cenę nie dopuścić do powrotu Magdy do kraju, wynikiem czego grupa przestępcza popełniła wiele błędów, szykując na szybko alibi w sposób nieprzemyślany, niedbały i desperacki. Błędy te pozwoliły nam na podjęcie próby rekonstrukcji powiązań wynikających z masowych działań międzynarodowej organizacji przestępczej sterowanej przez Polaków i kilku cudzoziemców działających operacyjnie z minimum 3 niezależnych miast w Polsce".

▶ Modelka. Hostessa. Prostytutka

Telewizja Republika dotarła do kobiety, która pracowała jako hostessa zarówno w Polsce, jak i za granicą. Jak opowiedziała dziennikarzom, chciała zostać hostessą, ale nie prostytutką. Wszystko zaczęło się od ogłoszenia, które znalazła w Internecie. Wydało się jej interesujące, przede wszystkim dlatego, że nie kolidowało z zajęciami na studiach. A jak każda studentka po prostu potrzebowała pieniędzy. – Umowy nie było. To była tzw. umowa ustna. Wszystko na gębę, pieniądze pod stołem. Miałam być hostessą. Zapewniać klientom dobrą rozrywkę w klubie. [...] W zakresie obowiązków było utrzymywanie dobrego kontaktu z klientami, którzy przychodzili do klubu. Miałam ich zachęcać, żeby zamawiali dużo drinków. Dostawałam od tego prowizję. Przychodzi klient, ja się uśmiecham, zagaduję, podchodzi kelnerka pyta się, czy się napijemy, ja się uśmiecham, klient kupuje drinka. Chodziło o to, żeby klient bardziej się upił niż pracujące tam dziewczyny – relacjonuje. – Później albo od dziewczyn, albo od szefa każda dziewczyna dowiaduje się, że jej zadaniem jest umilanie czasu klientowi. Night kluby to są ekskluzywne burdele, ekskluzywne disco, gdzie na zapleczu jest możliwość wejścia w bliższy kontakt z klientem. Osoba postronna widzi tylko dyskotekę, a osoby zorientowane wiedzą, że takie miejsce nie jest wyłącznie dyskoteką. [...] Jeżeli prosperują takie kluby, a prosperują bardzo dobrze, osoby wysoko postawione o tym wiedzą, a jest to przecież nielegalne, a mimo to funkcjonuje, to na pewno musi przepływać przez to jakaś gotówka – dodała. I podkreśliła, że do takich klubów przychodzą głównie bardzo wpływowe osoby.

Dodajmy, że według rządowych raportów kobiety i dzieci z Polski padają ofiarą handlu ludźmi m.in. w Austrii, Niemczech, Włoszech, Japonii, na Malcie, w Maroku czy Holandii.

O tym, jak wygląda handel ludźmi, mówiła dziennikarzom Monika Sokołowska z Komendy Głównej Policji, która zajmowała się walką z tym procederem: „Pamiętam Bułgarkę, która pracowała na ulicy. Upodlona, gwałcona, bita, zdecydowała się zgłosić na policję. Po godzinie przesłuchania dzwoni jej telefon. Prosi o możliwość odebrania i słyszy swoje dziecko i płaczącą matkę, z którą je zostawiła w Bułgarii. Matka mówi jej, że musi wrócić tam, gdzie była, bo inaczej zostaną zabici" – podkreśliła.

Aktualne statystyki i trendy dotyczące handlu ludźmi przedstawiło MSWiA w specjalnie przygotowanym raporcie. Zgodnie z nim, w 2015 r. status osoby pokrzywdzonej w wyniku handlu ludźmi otrzymało 115 osób w Polsce, w tym 41 cudzoziemców i 10 dzieci. Jak podkreśla resort, ofiarami handlu ludźmi są przeważnie osoby młode, niewykształcone i bezrobotne. Najczęstsze formy tego procederu to zmuszanie do niewolniczej pracy, wykorzystywanie seksualne, zmuszanie do popełniania przestępstw czy do wyłudzania kredytów i świadczeń socjalnych. Forma, do której najliczniej dochodzi w Polsce, to zmuszanie do pracy. Nasz kraj przecinają też szlaki tranzytowe z Europy Wschodniej i Azji – czytamy na stronie MSWiA. ■

Niewolnictwo czasów współczesnych

To bardzo brutalny proceder, przestępcy nie liczą się z godnością ludzi, a nawet ich życiem. Nierzadko, gdy ofiary przestają być użyteczne, są mordowane – **z Maciejem Szubą**, dziś cenionym prywatnym detektywem, a wcześniej przez lata szefem najpierw wydziału kryminalnego, a później poznańskiej policji, **rozmawia Grzegorz Broński**.

Czy według Pana teza, jaką w sprawie Magdaleny Żuk postawili śledczy z Jeleniej Góry, że jej tragedię można łączyć z handlem ludźmi, jest wiarygodna?

Dopóki nie będę znał oficjalnych wyników sekcji zwłok i nie będzie znana w pełni toksykologia, to można spekulować o wszystkich możliwościach, hipotezach i snuć przypuszczenia, co się wydarzyło w Egipcie. Bo, rzeczywiście, działy się rzeczy dziwne, które są odstępstwem od normy. To jest pewnik, wszyscy to widzieliśmy. Natomiast w kontekście handlu żywym towarem nie można wykluczyć, że teza jest prawdziwa, tak samo jak nie da się powiedzieć, że to nieprawda. Z drugiej strony, wydaje się trochę dziwna, chyba że pomysł handlu dziewczyną zrodził się już w Egipcie, w momencie, gdy znalazła się na miejscu. Przecież miała tam jechać ze swoim chłopakiem. Znam wiele osób, które były w tamtym regionie świata, i zapewniają, że nigdy nie czuły presji, zagrożenia, aby na siłę czy podstępem ktoś próbował rozdzielać pary. Taka teza byłaby trochę przekombinowana.

Ale Magdalena Żuk ostatecznie pojechała sama...

No właśnie. W sytuacji gdy dziewczyna jest w Egipcie – w arabskim świecie – sama, na dodatek bardzo atrakcyjna, blondynka... Wtedy wszystko jest możliwe.

Czy plan pozyskania dziewczyny mógł powstać „na gorąco" wśród miejscowych przestępców? Gdy zobaczyli samotną, potencjalną ofiarę?

Jest to możliwe, bo nagle zaczęły się dziać rzeczy dziwne, wielu okoliczności jeszcze nie znamy, bo śledczy są na razie powściągliwi, i nie dziwię się im. Dla mnie jednak bardzo ważnym elementem tej sprawy będą wyniki sekcji zwłok, które odpowiedzą na część pytań i może wyjaśnią, co się stało. Przede wszystkim dadzą odpowiedź, czy Magdalena Żuk była czymś odurzona i jaka była rzeczywista przyczyna zgonu. W tej sprawie jest jeszcze ogromna ilość znaków zapytania.

Dla przeciętnego człowieka handel ludźmi natychmiast kojarzy się ze stereotypem: młoda kobieta wywieziona w celu wykorzystania seksualnego. To dziś prawdziwy obraz?

To bardzo złożone zjawisko, jakie niektórzy próbują uprościć. Na pewno są kobiety, które stają się ofiarami handlu ludźmi, ale godzą się na to, od początku wiedzą, czym ryzykują, z czym mają do czynienia. Świadomie jadą gdzieś w celach zarobkowych, od początku jednak wiadomo, jak będą zarabiać – nie będzie to na przykład zbiór truskawek, lecz świadczenie usług seksualnych. Inną sytuacją jest, gdy dziewczyny są kuszone perspektywą intratnej pracy, tymczasem w rzeczywistości zmuszane są do nierządu, nierzadko faszerowane narkotykami, by spełniały rolę porcelanowej lalki potrzebnej tylko do określonego celu. Niestety, skala tego zjawiska jest ogromna. Takich kobiet są tysiące w Europie. Zapotrzebowanie „na rynku" jest duże.

Czy zjawisko to dotyczy tylko Starego Kontynentu, czy jest to jednak problem globalny?

Funkcjonuje stereotyp, że chodzi głównie o Niemcy, Holandię, kraje, w których są miasta z dzielnicami tzw. rozrywki. Pomija się natomiast kraje arabskie, gdzie przeważnie trafiają osoby wbrew swej woli. Tam nikt nie zgłasza takich zaginięć, a nawet jeśli do tego dojdzie, to poszukiwania są prowadzone bardzo pobieżnie.

Czy kobiety, które padły ofiarą gangu handlarzy żywym towarem, mają szansę na ratunek? Są odnajdywane?

Obawiam się, że większość nigdy nie zostanie odnaleziona. Są dziewczyny, które zdołały uciec, ale stanowią pojedyncze przypadki, bardzo rzadkie w skali całego procederu. Część ofiar może też zostać zamordowana. Jeśli osoby stojące za tym procederem stwierdzą na przykład, że „towar" nie ma już dla nich żadnej wartości, dziewczyny pozbawia się życia, chociażby „złotym strzałem", przy użyciu narkotyków.

Kobiety, które padły ofiarą handlarzy ludźmi, są przede wszystkim tłamszone psychicznie, potem totalnie osamotnione, nie mogą liczyć na niczyją pomoc. Doprowadzone do takiego stanu gotowe są targnąć się na swoje życie. Pamiętać trzeba, że sprawcy nie liczą się ani z ludzkim życiem, ani z godnością człowieka. Gdy jakaś dziewczyna staje się bezużyteczna, oni po prostu szukają kolejnych. I, niestety, znajdują. Mówiąc brutalnie, ten rynek jest nienasycony.

Organizacje pozarządowe, instytucje, stowarzyszenia, fundacje podają różne statystyki ofiar. Ale czy ktoś jest w stanie oszacować prawdziwą skalę problemu?

Obawiam się, że nikt nie jest w stanie określić autentycznej skali patologii. Można oczywiście mówić o jakichś szacunkach, które docierają do władz, natomiast jestem przekonany, że dane prawdziwe są zdecydowanie wyższe, niż podawane oficjalnie.

Ile kobiet, którym udało się jakimś cudem wyrwać z tej pułapki, milczy, że padło ofiarą handlu ludźmi?

Większość! Niektóre mówią, bo policja z jakiegoś kraju dowiedziała się o ich istnieniu. Ale jeśli kobiety w inny sposób zdołały wyrwać się z tej matni, to wyjątkowo rzadko godzą się mówić o tym, co je spotkało. Nierzadko wolą pogodzić się z bezkarnością oprawców, niż powiedzieć prawdę. Przede wszystkim ze wstydu. Dla nich najważniejsze jest wrócić do w miarę normalnego życia, bo trauma jest ogromna.

fot. mercava2007 - Fotolia

▶ Czy kobiety, które zdołały uciec lub w inny sposób się uwolnić, są szantażowane, na przykład kompromitującymi zdjęciami?

Działania takich grup przestępczych nie odbywają się bez swoistych zabezpieczeń. Ale w tej sprawie jest jednak jeszcze jeden przerażający wątek, o którym mało się mówi. Wykorzystywanie ofiar do handlu organami, zazwyczaj chodzi bowiem o młode, zdrowe osoby. Sprawcy są bezwzględni i gotowi nawet do takich okrucieństw. Zabrzmi to przerażająco, ale ludzkie narządy to bardzo cenny towar.

▶ Uprowadzanie kobiet i wykorzystywanie ich w seksbiznesie to ogromny problem, ale w ostatnim czasie coraz częściej mamy do czynienia ze zjawiskiem pracy przymusowej.

I będzie ono narastać. Co roku słyszymy o likwidacji jakichś obozów, także takich, w których przetrzymywano Polaków. Zjawisko dotyczy zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Warunki, w jakich są przetrzymywani, w jakich pracują, urągają wszelkim standardom. Takie obozy okazują się piekłem dla tych ludzi. To jest współczesna forma niewolnictwa, w złych warunkach pracują, w złych żyją, płace są poniżej wszelkich standardów, a przecież miało być tak pięknie, gdy wyjeżdżali...

▶ Niemal wszystkie raporty dotyczące handlu ludźmi alarmują, że drastycznie rośnie liczba sprzedawanych noworodków. To niepokojące informacje...

Przed laty funkcjonowała opinia, że w Polsce jest nieżyciowy system adopcji dzieci, a w szczególności właśnie noworodków. To doprowadzało do patologii. Przyszłe matki były kontaktowane przez pośredników z małżeństwem, które chciało, mówiąc wprost, kupić sobie dziecko. Zresztą to nie jest problem tylko w Polsce. Kiedyś były to bulwersujące, ale incydentalne przypadki, a dziś jest ich znacznie więcej. Za to rzadko dochodzi do porwań, kradzieży dzieci, bo policje w całej Europie mają wypracowane systemy natychmiastowej reakcji, gdy dochodzi do takich zdarzeń. Przestępcom po prostu nie opłaca się robić takich rzeczy, poszukiwania są zakrojone na ogromną skalę, do akcji wkraczają nie tylko policjanci, lecz także inne służby, alarmowane są przejścia graniczne.

▶ Nie tylko urzędnicy w poszczególnych krajach, lecz także ci unijni wydają rozmaite dyrektywy, apele, rozporządzenia związane z handlem ludźmi. Ma to jakikolwiek realny wpływ na walkę z tym procederem czy chodzi o klasyczną papierologię?

Trudno mówić o realnym wpływie na walkę z przestępcami, ale pozwala to wypracować mechanizmy później stosowane przez policję w różnych państwach. Powstają wspólne procedury reagowania na dane przestępstwo. Chociażby właśnie alerty w przypadku uprowadzenia dziecka, które dzisiaj są podejmowane i przeprowadzane bardzo sprawnie.

▶ Czyli policjanci, na przykład z krajów grupy Schengen, ściśle ze sobą współpracują. Ale co z ofiarami z Azji lub Afryki?

To już znacznie gorzej. Mamy przykład ludzi, którzy dzisiaj napływają do Europy. Nie wiadomo, w jakich dokładnie okolicznościach się tutaj znaleźli, jak się nazywają, skąd pochodzą. W tej masie na pewno dochodzi do przypadków handlu ludźmi, ale za nimi nie ma kto się wstawić.

▶ Kiedyś handlarze ludźmi poszukiwali ofiar w dyskotekach, podczas wycieczek, dzisiaj grasują również w Internecie. Nowe technologie sprzyjają przestępcom?

Oczywiście, że tak. Przestępcy zawsze będą wykorzystywali różne środki, które ułatwiają działania. Zawsze byli o pół kroku przed policją. Tak było na przykład chociażby z telefonami komórkowymi – najpierw mieli je przestępcy, a dopiero później policjanci.

▶ Gdy słyszymy hasło „handel ludźmi", zazwyczaj myślimy o uprowadzonych Polakach. A czy do naszego kraju trafiają ofiary tego procederu?

Tu jest problem, bo trudno powiedzieć, z jaką skalą mamy do czynienia. Polska nie jest krajem docelowym dla ludzi, którzy migrują, szukają pracy, a przez to stają się ofiarami handlarzy żywym towarem. Nie jesteśmy krajem docelowym, na którym koncentrują się organizatorzy tego procederu. W końcu na Zachodzie można zarobić w euro, a to istotna różnica. Poza tym na Zachodzie są różne etniczne grupy, łatwiej tam kogoś zgubić w tłumie. U nas szybciej służby wychwycą ofiary handlu ludźmi.

▶ Walka z handlem ludźmi, który ma wymiar międzynarodowy, wymaga ścisłej współpracy rozmaitych służb. Jest ona realna?

Niestety, najczęściej każdy patrzy na czubek własnego nosa, aczkolwiek państwa w ramach Unii Europejskiej są sobie bardziej bliskie i służby operacyjne raczej ze sobą współpracują. W przypadku krajów spoza Europy jest zdecydowanie gorzej.

▶ Wracając do wykorzystywanych seksualnie ofiar handlu ludźmi. Szuka się różnych sposobów walki z tym procederem, w niektórych krajach pojawiają się pomysły karania mężczyzn korzystających z prostytutek albo wręcz przeciwnie – legalizacji nierządu. Czy to ma jakikolwiek sens?

Sądzę, że to jest bardziej mydlenie oczu, pozorowanie działań, które powinny być podejmowane znacznie wcześniej, a nie na końcu tego łańcucha, czyli czerpania korzyści z usług uprowadzonych kobiet. W taki sposób nie jesteśmy w stanie rozwiązać problemu. ■

Ryszard Czarnecki

Bezpieka, mafia, handel żywym towarem?

Jako wrocławiak słyszałem o licznych powiązaniach ludzi dawnych służb z przestępczością zorganizowaną i działaniami mafii na wielu obszarach. To „krycie" ubeckimi układami i kontaktami przestępców dotyczy, jak słyszymy, także handlu żywym towarem czy narkobiznesu.

Nie jestem detektywem, kryminologiem ani gliniarzem, zatem nie będę wypowiadał się na specjalistyczne zagadnienia związane ze śmiercią młodej kobiety z Dolnego Śląska. To nie moja dziedzina. I przestrzegam przed politykami, którzy wypowiadają się na każdy możliwy temat: ktoś, kto mówi, że zna się na wszystkim – zwykle nie zna się na niczym.

Można jednak i trzeba tę sprawę – i przecież szereg innych, podobnych – widzieć w kontekście szerszym. Tym, który zahacza o politykę, jej styk ze służbami specjalnymi czy ze zorganizowaną przestępczością; czy wreszcie tym pokazującym związki dawnych służb ze światem przestępczym, ich przenikanie się, parasol ochronny otwierany nad podziemiem kryminalnym czy półświatkiem. Wrocław, stolica Dolnego Śląska, to w okresie PRL-u silny ośrodek komunistycznych służb specjalnych. Początkowo dlatego, że było to jedno z najważniejszych miast Ziem Odzyskanych czy też „Ziem Zachodnich i Północnych". Także dlatego, że działało tu dość sprawnie podziemie antykomunistyczne – przypuszczalnie na Ziemiach Odzyskanych najsilniejsze, choć z oczywistych względów nieporównywalne z Mazowszem, Podlasiem czy Lubelszczyzną.

Dodatkowo Dolny Śląsk był Eldorado dla szabru i szabrowników – które to środowisko służby PRL po 1945 r. też chciały w jakiejś mierze kontrolować, tak jak chciały nadzorować wszystko. Bliskość granicy z Niemcami – komunistycznymi, ale jednak Niemcami też powodowała nasilenie działalności operacyjnej bezpieki i „wojskówki". Ten medal miał też drugą stronę: nie jest tajemnicą, że Dolny Śląsk, podobnie jak Pomorze, w sposób szczególny interesował i był infiltrowany przez wschodnio-niemiecką NRD-owską STASI. Do tego w okresie późniejszym pojawiła się w miarę silna opozycja, dla której było dość szerokie zaplecze społeczne – Dolny Śląsk to jedna z „nowych ojczyzn" dla Polaków z Kresów Wschodnich RP, przymusowo przesiedlonych tu po II wojnie światowej. Na marginesie: nie używam pojęcia „repatriacja", bo jest ono wyjątkowo zakłamane. Bowiem nasi rodacy z Kresów granicy Rzeczpospolitej nie przekraczali – to granica przekroczyła ich, w związku z tym nie był to żaden „powrót" do ojczyzny, żadna repatriacja.

Po wojnie całe wsie i miasteczka dolnośląskie miały kresową większość. W samym Wrocławiu, do którego ściągały tłumy ludzi nie tylko z Kresów, lecz także z Podkarpacia czy Świętokrzyskiego, co dziewiąty mieszkaniec pochodził wprost ze Lwowa (11 proc.). To, że przyjęło się mówić, iż Wrocław to „drugi Lwów", wynika z faktu, że jedynym środkiem komunikacji, niemal całkowicie zniszczonej w Festung Breslau, były po 1945 r. tramwaje. Wszyscy tramwajarze (sic!) w początkowym okresie wywodzili się ze Lwowa, a więc od motorniczego czy konduktora pasażerowie słyszeli wyłącznie lwowski bałak, co potęgowało wrażenie, iż dolnośląska stolica to właśnie „drugi Lwów".

Bardzo silne struktury NSZZ „Solidarność", „Solidarności Walczącej" i Niezależnego Zrzeszenia Studentów które jako jeden z dwóch ośrodków w Polsce (obok Krakowa) zachowało ciągłość organizacyjną w stanie wojennym musiały spowodować intensyfikację działań SB i WUSW, a także zwiększenie ich aparatu.

Ci ludzie tylko częściowo zmarli. Większość została. Jako wrocławiak słyszałem o licznych powiązaniach ludzi dawnych służb z przestępczością zorganizowaną i działaniami mafii na wielu obszarach. To „krycie" ubeckimi układami i kontaktami przestępców dotyczy, jak słyszymy, także handlu żywym towarem czy narkobiznesu. A przecież te wątki badane są także w sprawach tajemniczych morderstw czy zniknięć młodych Polek w krajach arabskich i nie tylko.

Osobną sprawą jest kwestia zwiększenia infiltracji młodych muzułmanów, którzy przybywają do Polski i na zainteresowanie zasługują – trzeba sprawdzić nie tylko to, czy mają kontakt z ISIS, lecz także ewentualne związki z innymi strukturami przestępczymi, głównie funkcjonującymi poza Polską.

Warto znać odpowiedzi na te pytania, aby zmniejszyć możliwość powtarzania się takich sytuacji. ■

Olga Doleśniak-Harczuk

Ludzie z globalnego dyskontu

Kolumbijka Marcela Loaiza w Japonii miała zarabiać jako tancerka, zaoszczędzić na dom dla siebie i chorej córki. W Tokio wylądowała w pokoju z czterema innymi kobietami, dziennie przyjmowała od 14 do 20 klientów. Po 18 miesiącach zbiegła. Miała 23 lata i była wrakiem człowieka. „Traciłam garściami włosy, zęby same mi wypadały" – wspomina. Isoke Aikpitanyi z Nigerii do Włoch dotarła w 2000 r. Zamiast obiecanej posady w supermarkecie czekał na nią turyński sex-biznes. „Masz dług, wisisz nam 20 tys. dolarów, jak nie spłacisz – zginiesz" – usłyszała na powitanie. Widziała, jak jedna z dziewczyn zbuntowała się. Zabili ją. Na oczach dziennikarki Tabore Ovuorie dwóm dziewczynom ścięto głowy maczetą. Ich ciała sprzedano czarownikom. Amulety z ludzkich kości i sproszkowanych organów to w wielu państwach Afryki wciąż pożądany towar. Gdyby dziewczyny były albinoskami, za samą ich skórę handlarz mógłby zażądać równowartość 25 tys. –30 tys. złotych.

Problemem handlu ludźmi zajmują się setki organizacji rządowych i pozarządowych, ale żadna z nich, z ONZ-em włącznie, nie jest w stanie dokładnie określić, ile ofiar pochłania rocznie ten proceder. Według szacunków, na świecie żyje dziś w niewoli co najmniej 21 mln ludzi[1], a ponad połowa z nich to kobiety i dziewczynki. Najwięcej ofiar handlu ludźmi przypada na region Azji i Pacyfiku (około 56 proc.), drugie miejsce zajmuje Afryka (18 proc.), następnie Ameryka Łacińska (9 proc.), państwa byłego Związku Sowieckiego (7 proc.), Europa Zachodnia (7 proc.) i, co ciekawe, na szarym końcu dopiero Bliski Wschód (3 proc.)[2].

Patrząc na handel ludźmi pod kątem jego dochodowości, zajmuje on trzecie miejsce po handlu narkotykami i bronią, generując profit na poziomie około 150 mld dolarów rocznie, z czego niemal 100 mld dol. to zysk z prostytucji. Zmuszane do niej kobiety są bite, faszerowane narkotykami, grozi się im skrzywdzeniem rodziny, gdyby przyszło im na myśl uciec, w przypadku dziewcząt z Afryki szantaż opiera się w 90 proc. przypadkach na praktykach voodoo. Na Bliskim Wschodzie kobiety są gwałcone i zmuszane do prostytucji za ścianami bogatych rezydencji, często w ramach tzw. małżeństwa na chwilę. W Unii Europejskiej w niemieckich, holenderskich, belgijskich domach publicznych jest pełno dziewcząt z Mołdawii (szacuje się, że problem handlu żywym towarem dotyczy jednej na 100 obywatelek tego państwa), Bułgarii, Rumunii, są i Polki. Według Europolu, najbardziej aktywne mafie handlujące w Europie kobietami mają swoje bazy na Węgrzech, Słowacji, w Czechach i prężnie współpracują z mafią chińską. Kobiety, które nie nadają się już do seksualnego biznesu, schorowane, zazwyczaj zarażone HIV, z licznymi urazami narządów wewnętrznych, umierają w męczarniach albo od złotego strzału, czyli śmiertelnej dawki narkotyku. Osobną, choć przenikającą się często z seksualnym niewolnictwem, kwestią jest handel organami, ofiarą rzeźników padają i kobiety, i mężczyźni, nie oszczędza się też dzieci. Oba rynki są nienasycone i bardzo lukratywne.

▶ Z Czarnego Lądu na ulice Italii

80 proc. z 3,6 tys. Nigeryjek, które w pierwszej połowie 2016 r. na łodziach z Libii dotarły do wybrzeży Italii, skończy na ulicy – alarmowali 10 miesięcy temu eksperci ONZ-u. Jak można nie pomóc kobietom i dzieciom? To pytanie, z ewidentną tezą, do dziś pada w politycznych, rzadko merytorycznych, za to bardzo emocjonalnych debatach, przysłaniając brzydkie kulisy tzw. kryzysu migracyjnego. Pytanie powinno raczej brzmieć: Jak pomóc tym, których Europa przyjmuje w źle pojętym, altruistycznym geście, by następnie z przerażeniem patrzeć, jak nastolatki sprzedają się za kilkadziesiąt euro, „bo muszą przecież spłacić sutenera, który sfinansował im podróż do Europy", a tysiące dzieci przybyłych bez żadnej opieki[3] znikają w niewyjaśnionych okolicznościach. Niewyjaśnionych dla deputowanych do PE nawołujących do „przyjęcia dzieci i kobiet". Ci, którzy zadbali, by te dzieci dotarły do Europy, handlują nimi potem jak kawałkiem mięsa. Żebrzą na ulicach, są zmuszane do prostytucji, zabijane na organy, część z nich z pewnością stanowi narybek terrorystyczny. Ten proceder kwitnie na oczach Włochów, Holendrów, Niemców. W kwestii prostytucji czy handlu organami – gdyby nie było chętnych, interes by się urwał. Ale chętni są.

W przypadku Włoch nigeryjska prostytutka, choćby i nieletnia, nie jest niczym nowym, od przeszło 30 lat kobiety są towarem eksportowym afrykańskiego półświatka do Europy, ale od początku kryzysu migracyjnego ich liczba drastycznie wzrosła. Handlarze ludźmi w lot pojęli, że każdy, kto przybije do brzegu Europy od 2015 r., będzie uznany za ofiarę wojny i przyjęty bez zbędnych pytań. W tych okolicznościach przestano łamać sobie głowę podrabianiem dokumentów, wystarczyło rozłożyć ręce i stwierdzić: „zaginęły". Handlarz wie, że jak kobieta po rejestracji w hot spocie trafi do obozu dla uchodźców, to wydobycie jej stamtąd będzie dziecinnie proste. Podjeżdża samochód, zabiera po kilka dziewcząt naraz i odjeżdża.

Salvatore Vella, zastępca prokuratora w Agrigento na Sycylii, twierdził w kwietniu 2016 r. w rozmowie z brytyjskim „Guardianem", że gangi przechwytują kobiety już w punktach rejestracyjnych. Czekają tylko, aż dziewczyna dostanie dokument potwierdzający prawo do pobytu lub status uchodźcy. Każda z dziewczyn dostaje w Libii telefon komórkowy, już na miejscu puszcza sygnał. – To łatwiejsze niż zakupy w drogerii. Dla gangów punkty rejestracyjne są jak supermarkety – dodaje.

[1] www.dosomething.org

[2] http://www.ilo.org/ Raport z 2014 r.

[3] Według UNICEF-u z ub.r., 92 proc. dzieci, które dotarły na łodziach do wybrzeży Włoch, nie miało żadnej opieki. Zważywszy na fakt, że miejsce w łódce kosztuje kilka tysięcy euro, warto zadać sobie pytania: 1) z czego dzieci opłacają swoją podróż do Europy; 2) zakładając, że to rodzice finansują podróż dzieci, czy znający kryminalne realia rodzice z Syrii czy Libii naprawdę sądzą, że lepiej je oddać pod kuratelę handlarzy żywym towarem, niż zachować przy sobie nawet w sytuacji zagrożenia wojennego?

fot. Fotolia

Co dzieje się później? Dziewczyna dowiaduje się, że nie będzie wcale pracować na kasie, jako fryzjerka czy opiekunka do dzieci (co jej obiecywano), tylko jako prostytutka, która w dodatku ma kilkadziesiąt tysięcy rzekomego długu wobec sutenerów. Pracuje non stop, to, co zarobi, jest od razu konfiskowane, nie ma prawa odmówić żadnemu dewiantowi. Należy do gangu.

▶ Czarownik ma cię na oku

Dlaczego dziewczyny nie uciekają? Sekret tkwi w juju, nigeryjskiej odmianie voodoo. Przed podróżą dziewczęta oddają kosmyki włosów, kawałek paznokcia, kilka kropel krwi, wszystko trafia do woreczka, nad którym czarownik wypowiada zaklęcia, dziewczyna składa przysięgę wierności, obiecując, że nigdy nie wyjawi imion tych, którzy przerzucą ją do Europy. Ten rytuał ma związać ofiarę z jej prześladowcami, jeżeli nie chce, by jej rodzinę spotkało nieszczęście, musi robić, co jej każą. Karą może być też klątwa niepłodności, ciężka choroba, ostracyzm wioskowy wobec najbliższych. Kobiety podczas rytuału piją krew zwierząt, czasem czarownicy ranią je i wcierają pod skórę popiół, który zarasta i staje się rodzajem zewnętrznego znaku przynależności do grupy. Psychologiczna presja, poczucie, że w sprawę są zaangażowane siły nadnaturalne, paraliżuje chęć ucieczki, a nawet jeżeli takowa się jednak powiedzie, a gang wpadnie, dziewczyny boją się zeznawać w sądzie ze strachu przed skutkami złamania przysięgi. I tak sprawcy unikają kary albo idą za kraty na maksimum rok, a po tym czasie wychodzą i szukają kolejnych ofiar. Autorka niniejszego tekstu nawiązała kontakt z kobietą, której po dwóch latach udało się wyrwać z sex-biznesu. Nigeryjka wyraziła chęć podzielenia się swoimi doświadczeniami, zapytana jednak o rytuał juju, zerwała kontakt. Strach przed klątwa paraliżuje nawet po latach.

Według szacunków Nigeryjskiej Agencji ds. Zakazu Handlu Ludźmi (NAPTIP) przed opuszczeniem Nigerii przysięgę juju składa 90 proc. dziewcząt, które potem lądują na ulicach europejskich miast. Trudno się dziwić, że zaledwie jedna na sto jest w stanie odmienić swój los i wyrwać się z sex-biznesu. Tak jak to się udało Isoke Aikpitanyi, która od siedemnastu lat mieszka we Włoszech. Do Italii przybyła jako kandydatka do pracy w supermarkecie, skończyła na ulicy pod bacznym okiem nigeryjskich sutenerów. Kilka lat przygotowywała ucieczkę, wyrwała się w końcu i dziś udziela wsparcia swoim rodaczkom, niewolnicom seksualnym. W pracy pomaga Isoke jej włoski mąż Claudio. Isoke miała dużo szczęścia. Jest zdrowa, założyła rodzinę, spełnia się w pracy społecznej, ostatnio brała udział w panelu poświęconym seksualnemu niewolnictwu na Uniwersytecie w Wenecji.

▶ Targ z nerkami w cieniu piramid

W kwietniu 2016 r. na plażę w Aleksandrii fale wyrzuciły ciała dziewięciu osób. Wszyscy nieszczęśnicy pochodzili z Somalii. Ciała nosiły znamiona operacji. Brakowało organów. Najmłodsza ofiara miała trzy miesiące. Matka dziecka i starsze rodzeństwo również byli pozszywani. Cała grupa została prawdopodobnie zwabiona na łódź, która miała ich zawieźć do wybrzeża Włoch. Zamiast do Włoch trafili do punktu w Aleksandrii. A tam odbyła się rzeźnia, bo trudno chyba o bardziej adekwatny termin. Ciała wrzucono do morza. O dobrowolnej donacji nie mogło być mowy, żadna matka nie pozwoli, by jej trzymiesięczne dziecko rozcięto od szyi do pępka i zaszyto czarną dratwą.

Już półtora roku przed tym makabrycznym odkryciem chodziły słuchy o grasującej w Egipcie grupie handlarzy ludzkimi organami, którzy oferowali afrykańskim imigrantom złote góry za nerkę. Grupę docelową stanowili imigranci, którzy utknęli w Kairze w drodze do Europy, bez pieniędzy i dokumentów. Potrzebowali środków, by zapłacić przemytnikom za miejsce w łódce. Handlarze żerują na takich jak oni. Jedni wracają do domu bez nerki, inni są mordowani. W takiej sytuacji to handlarz decyduje, czy pacjent przeżyje.

Według autorów British Journal of Criminology[4], w handel narządami w Egipcie angażuje się wielu obywateli Sudanu, którzy od lat mieszkają w egipskich miastach, znają każdą dziurę, wiedzą, jak złowić afrykańskich imigrantów, dysponują siatką informatorów, którzy obserwują, kto jest nowy w mieście i czy ma się z czego utrzymać. Informatorzy pracują w hotelach, urzędach, punktach usługowych, mają więc oko na przyjezdnych. Pośrednicy zaś są w stałym kontakcie z egipskimi klinikami, gdzie przeprowadza się operacje. Reszta to już nie ich sprawa, oni tylko pośredniczą.

28-letni Shari z Darfuru przez kilka lat łowił zdesperowanych imigrantów gotowych za 4 tys. dolarów oddać nerkę. „Stałem na rogu ulicy i zaczepiałem ludzi, pytałem, czy chcą sprzedać nerkę. Średnio dziesięć osób tygodniowo zgadzało się na deal. Negocjacje prowadzi się zazwyczaj w kafejkach" – opowiada Sudańczyk.

[4] Excavating the Organ Trade: An Empirical Study of Organ Trading Networks in Cairo, Egypt, 27 August 2016

Wielu nabywców organów to bogaci Arabowie z państw Zatoki Perskiej, dla nich kilka tysięcy dolarów za nerkę to prawie darmo. Ale dla ludzi takich jak Huba, samotna matka z Sudanu, która wylądowała w Kairze, te kilka tysięcy za nerkę brzmiało jak zapowiedź lepszego życia. – Pod hotelem, w którym mieszkałam, kręciło się wielu ludzi, którzy proponowali mi, bym sprzedała im swoją nerkę. Byli natarczywi, przekonywali, że wszystko będzie dobrze, nawet zapoznali mnie z mężczyzną, który poddał się operacji, tyle że on wcale nie wyglądał, jakby wszystko było z nim w porządku. Chodzili za mną tygodniami, tłumaczyli, że polepszę byt swój i dzieci. W końcu się zgodziłam. W szpitalu doktor wręczył mi kopertę, ale było w niej mniej niż kwota, na którą się umawiałam. Odmówiłam donacji. Wtedy zamknęli mnie w pokoju, dostałam jakiś lek, kiedy się obudziłam, było po wszystkim, i po mojej nerce też – opowiada kobieta.

Inna, również z Sudanu, zapewnia, że chciała wycofać się z transakcji, kiedy znajomy ostrzegł ją, że podczas operacji mogą jej usunąć obie nerki i inne organy. – Powiedziałam im, że zmieniłam zdanie. Nachodzili mnie, grozili, że mam wobec nich dług, bo płacili za badania stwierdzające grupę krwi etc. Bałam się wracać do domu, nie odbierałam telefonu, wciąż mi grożono. W końcu dałam za wygraną. Z zarobionych pieniędzy zapłaciłam za pogrzeb siostry, pomogłam rodzinie – wspomina.

Gazety w brzuchu

Handel organami nie jest domeną krajów biednych. W 2013 r. amerykański nastolatek Kendrick Johnson został znaleziony martwy na sali gimnastycznej. Rodzice nie byli przekonani co do raportu sekcyjnego. Zażądali ekshumacji. W ciele brakowało wątroby, mózgu, płuc, a zwłoki wypchano gazetami. Do dziś sprawa czeka na wyjaśnienie. Podobnie tajemnicza sprawa miała miejsce rok później w Kalifornii. 24-letni Ryan Singleton został znaleziony martwy w Death Valley. Nie miał oczu, płuc, nerek, serca i wątroby. Pozostałe członki jego ciała były w stanie nienaruszonym. Śledczy stwierdzili, że to dzikie zwierzęta pożarły narządy. I ta sprawa do dziś budzi kontrowersje. W świecie, gdzie serce ludzkie wycenia się na 60 tys. dolarów, płuca na 50 tys., a nerkę na 20 tys., trudno pozbyć się wrażenia, że zaginięcie organów jest jedynie tragicznym zbiegiem okoliczności.

I jedna z najbardziej bulwersujących spraw ostatnich lat – w 2013 r. sześcioletni Binbin w chińskiej prowincji Shanxi wyszedł pobawić się nieopodal domu. Długo nie wracał na obiad, zaniepokojeni rodzice ruszyli na poszukiwania. Znaleźli synka leżącego w trawie, był nieprzytomny i zakrwawiony. Ktoś usunął mu gałki oczne. Chiny są jednym z głównych celów turystyki transplantologicznej, a organy dla zainteresowanych z dużym portfelem oferuje się praktycznie na żądanie. W 2006 r. w raporcie „Bloody Harvest" David Matas i David Kilgour opisywali proceder pozyskiwania organów od więźniów sumienia, członków ruchu Falun Gong. Do tego zbrodniczego procederu wielokrotnie wracała na łamach „Nowego Państwa" Hanna Shen.

Polowanie na albinosa

W marcu 2015 r. władze Tanzanii zaaresztowały ponad 200 czarowników zamieszanych w morderstwa albinosów i wykorzystywanie ich organów w celach rytualnych. Według ONZ-u od 2000 r. w Tanzanii zabito 80 albinosów, jedną z ostatnich ofiar fanatyków był roczny chłopiec. Czarownicy oferują za ciało albinosów nawet od 75 tys. do 150 tys. dolarów. Amulety wyrabiane z ich ciał mają przynosić szczęście, zapewnić bogactwo, użyźniać ziemię, pomóc wygrać mecz piłkarski. Klientami czarowników są nawet lokalni politycy przekonani, że amulet zapewni zwycięstwo w wyborach. Niektórzy czarownicy oferują nawet „rękę albinosa lokalizującą diamenty" i „włosy zapewniające rybakom zawsze udany połów". Polowania na albinosów odbywają się nie tylko w Tanzanii, lecz także Malawi i Mozambiku. W tym ostatnim państwie tylko w latach 2014–2016 doszło do ponad stu ataków. Co robią rządy tych państw, by powstrzymać eskalację agresji wobec albinosów i handel ich organami? Zapytaliśmy o to Ruth Krcmar z Mozambiku, koordynator programu dotyczącego ochrony afrykańskich albinosów z Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji. – IOM wspomaga rządy Mozambiku, Tanzanii i Malawi we wdrażaniu mechanizmów zapobiegających i zwalczających wszelkie formy handlu ludźmi. Oferujemy też wsparcie prawne ofiarom handlu ludźmi, w tym albinosom. Wiemy, że istnieje potrzeba jeszcze lepszej kooperacji między naszymi państwami, na poziomie śledczym i prokuratorskim. Organizujemy wspólne szkolenia dla policjantów, strażników granicznych, ta współpraca przynosi efekty – mówi nam Ruth Krcmar. Brzmi rozsądnie i bardzo urzędowo. Oby tylko IOM przekonało do swoich racji miejscowych czarowników. To w końcu oni, tak jak i ci w Nigerii, nakręcają sporą część krwawego biznesu. Biznesu, który w swojej nieludzkiej metodzie sprowadza człowieka do roli chodzącej witryny rzeźnickiego sklepu. ■

Grzegorz Wierzchołowski

Rosyjski handel ludźmi

Uprowadzanie, bicie, transport w nieludzkich warunkach, nierząd lub katorżnicza praca, a nieraz tortury i brutalne egzekucje – tak wygląda codzienność dziesiątek tysięcy niewolnic i niewolników rosyjskiej mafii. Za gangsterami, którzy pilnują wartego setki milionów dolarów biznesu, stoją rosyjskie służby specjalne.

Gdy w 2013 r. amerykański Departament Stanu zaszeregował Rosję jako kraj, w którym kwitnie handel ludźmi, Moskwa zareagowała oburzeniem. Rosja spadła bowiem w dorocznym rankingu tej instytucji na ostatni, trzeci szczebel, znajdując się w towarzystwie zaledwie kilku państw, m.in. Chin, Kuby, Republiki Środkowoafrykańskiej i Zimbabwe. W klasyfikacji dotyczącej handlu ludźmi lepiej od Rosji wypadły m.in. Afganistan i Rwanda.

Niewolnicy i niewolnice

Rok później – w 2014 r. – furia Kremla była jeszcze większa, bo Rosja znów umieszczona została na samym dole listy, a do poprzednich zarzutów doszły nowe. Chodziło m.in. o zatrudnianie niewolniczej siły roboczej z zagranicy przy budowie obiektów olimpijskich w Soczi. Okazało się, że powiązane z władzą rosyjskie spółki wyzyskiwały w okrutny sposób pracowników, którym odebrano wcześniej paszporty. Robotnicy – głównie z Tadżykistanu, Kirgistanu i Uzbekistanu – pracowali na wysokości często bez zabezpieczeń i przeszkolenia, co wielu z nich przypłaciło życiem. Dokładne statystyki ofiar śmiertelnych nie są znane, ale wiadomo, że podczas budowy olimpijskiej infrastruktury w Soczi zginęło co najmniej 33 obywateli Mołdawii. O wiele więcej tragicznych zgonów odnotowano wśród robotników z Azji Środkowej, co oznacza, że podczas przygotowań do igrzysk w Rosji śmierć poniosło ponad 100 osób. Dla porównania: przed olimpiadą w Wielkiej Brytanii w 2012 r. nie zginął żaden robotnik, a na olimpijskim placu budowy w Vancouver przed 2010 r. zmarła tragicznie zaledwie jedna osoba.

Jak zagraniczni pracownicy trafili do Soczi? Poprzez powiązane z mafią agencje pracy, które oferowały zatrudnienie na zupełnie innych warunkach, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Zastraszeni, pozbawieni dokumentów robotnicy byli faktycznie niewolnikami rosyjskich spółek, które na Soczi zbiły miliony dolarów. Największą z nich były Koleje Rosyjskie, kierowane przez Władimira Jakunina – byłego komunistycznego aparatczyka od dawna znającego się z Władimirem Putinem.

Powiązane z Kremlem spółki – głównie te z branży budowlanej i wydobywczej – zarabiają również na niewolnikach z KRLD. W 2015 r. konserwatywny amerykański portal Breitbart dokładnie opisał funkcjonowanie na terenie Rosji niewolniczych obozów, w których pracują obywatele Korei Północnej. Otóż komunistyczny koreański reżim sprzedaje ich pracę za pieniądze pozwalające rozwijać program nuklearny. Według źródeł wywiadowczych USA na terenie Rosji – konkretnie na Syberii – w takich obozach przebywa około 25 tys. Koreańczyków z KRLD. Z relacji osób, które stamtąd uciekły, wynika, że koreańscy robotnicy pracują w skandalicznych warunkach po 16 godzin dziennie, a ich jedynym wyżywieniem jest ryż i zupa z mięsem. Wszystko to odbywa się, rzecz jasna, za wiedzą i zgodą Kremla.

Ale najważniejsza gałąź rosyjskiego handlu ludźmi to prostytucja. A raczej cały rozwinięty wokół niej biznes: wynajdowanie „żywego towaru", transport przez granice i dostarczanie odbiorcom. Prostytutki z Rosji i byłych republik sowieckich (przede wszystkim z Ukrainy) trafiają za sprawą gangów do Europy Zachodniej, Azji (Japonia, Chiny, Singapur, Hongkong), na Bliski Wschód (Izrael, Turcja, kraje arabskie) oraz do USA, gdzie „opiekuje się" nimi najczęściej rosyjska mafia. Według ujawnionego raportu CIA z 2008 r., młode kobiety z Rosji sprzedawane są do ponad 50 państw na całym świecie.

Mafijni alfonsi

Schemat jest niemal zawsze ten sam: młode dziewczyny zwabione obietnicą dobrze płatnej pracy (jako hostessy, kelnerki itd.) przekraczają granicę – albo same, albo w towarzystwie pośredników. Następnie odbiera im się dokumenty, zastrasza i bije, czasem otępia środkami odurzającymi. Potem sprzedawane są mafijnym sutenerom, którzy zarabiają na nich ogromne pieniądze. Na przykład w Izraelu taki „opiekun" zarabia na jednej rosyjskiej prostytutce od 50 do 100 tys. dolarów rocznie.

Z raportów Interpolu i zachodnich służb wynika, że pośrednictwem w dostarczaniu przyszłych prostytutek zajmują się niewielkie gangi liczące najwyżej do 20 osób. Dlatego identyfikacja i rozbicie jednej grupy niewiele daje. Wielkie mafijne organizacje, powiązane z rosyjskimi służbami specjalnymi, wkraczają do akcji dopiero w momencie odbioru „towaru". One też czerpią największe profity z całego procederu, kontrolując hotele, kasyna, „salony masażu" i inne miejsca, w których klienci spotykają się z kobietami. Przykładem może być tu słynna mafia sołncewska – zdaniem FBI największa euroazjatycka organizacja kryminalna na świecie – na której czele stoi poszukiwany przez Interpol Siemion Mogilewicz.

O tym, że za dostarczaniem prostytutek z Europy Wschodniej stoją największe rosyjskie organizacje mafijne, otwarcie mówią zachodni politycy, prokuratorzy i służby specjalne. W 2004 r. jeden z izraelskich ministrów wprost opisał, jak rosyjska mafia transportuje swoje ofiary do Egiptu, a następnie szmugluje przez granicę do Izraela. Naloty hiszpańskich służb na hotele i rezydencje na Majorce oraz

wybrzeżach Costa Brava i Costa del Sol w 2008 r. nie pozostawiły żadnych wątpliwości, że na seks-niewolnicach ze Wschodu zarabiali rosyjscy oligarchowie i mafia. A w 2006 r. FBI ujawniła, że to właśnie rosyjskie syndykaty mafijne działające na terytorium USA czerpią zyski z nierządu około 8 tys. kobiet z byłych republik sowieckich. Rosjanie kontrolują m.in. wiele kasyn w Las Vegas, w których Rosjanki i Ukrainki zatrudnione są formalnie jako hostessy.

Szokujące przykłady działań przestępców z Rosji opisują w książce „International Sex Trafficking of Women and Children" Leonard Territo i George Kirkham. Na przykład jeszcze niedawno w Mediolanie rosyjska mafia organizowała aukcje kobiet – przypominające targi afrykańskich niewolników z XVIII w. Częściowo rozebrane kobiety z Rosji i Ukrainy sprzedawano nowym „właścicielom" za średnio tysiąc dolarów. Dziewczęta, które próbowały uciekać lub zgłaszać się na policję, karano niezwykle okrutnie. Według „New York Times", we Włoszech mafia morduje co miesiąc przynajmniej jedną nieposłuszną prostytutkę, dochodzi też do wielu przypadków celowych okaleczeń. Wyżej wymieniony amerykański dziennik opisywał, jak w Stambule wyrzucono z balkonu dwie ukraińskie dziewczyny na oczach ich rosyjskich koleżanek – wszystko po to, by pokazać, czym grożą próby stawiania oporu. W Serbii doszło nawet do dekapitacji prostytutki z Ukrainy, która chciała wyrwać się z seksualnej niewoli.

▶ Seks Petersburg

Osobnym i najbardziej odrażającym aspektem rosyjskiego handlu ludźmi jest prostytucja dziecięca na terytorium Rosji. Stolicą tego dochodowego interesu od lat jest Petersburg, dokąd podróżuje wielu obywateli państw Europy Zachodniej, Skandynawii i USA. Ofiarą procederu padają głównie „dzieci ulicy" oraz dziewczynki i chłopcy z rozbitych rodzin. Część nieletnich ofiar zmuszana jest nie tylko do prostytucji, lecz także do udziału w pedofilskich filmach pornograficznych.

Według „Frankfurter Rundschau", wśród kilkunastu tysięcy tzw. dzieci ulicy żyjących na co dzień w Petersburgu aż 40 proc. dziewczynek zmuszanych jest do prostytucji lub do pracy dla producentów pornografii. Połowa z nich ma poniżej 13 lat. Trudniące się nierządem dzieci dostają za swoje usługi drobne pieniądze, żywność lub – w przypadku nieletnich narkomanów – najtańsze środki odurzające. Gros pieniędzy od zachodnich dewiantów trafia do mafii. Według szacunków kanadyjskiej SA Foundation, ceny seksualnych usług świadczonych przez dzieci wahają się od 5 tys. do 50 tys. rubli za seks oralny oraz od 30 tys. do 200 tys. rubli za pełen stosunek płciowy. Są to więc kwoty od 300 zł do nawet 13 tys. zł. Łatwo zatem można zorientować się, jak ogromne to wpływy dla organizatorów tego procederu.

Kilka lat temu nawet rosyjska „Prawda" przyznawała, że aż 75 proc. pedofilskiej pornografii internetowej produkowana jest na terenie Rosji, głównie w Moskwie, Petersburgu i Irkucku. Ofiarami producentów padają nie tylko dzieci mieszkające w tych miastach, lecz także uprowadzani oraz zastraszani nieletni z rosyjskiej prowincji. Według chrześcijańskiej fundacji World Vision, w samej Moskwie pośród około 80 tys. ofiar seksualnego handlu „żywym towarem" aż 20–25 proc. stanowią dzieci. Oprawcom zdarza się angażować do swojego biznesu nawet mieszkańców sierocińca, jak miało to miejsce w głośnej sprawie Andrew Mogiliańskiego (podwójnego obywatela USA i Rosji), który w Petersburgu otworzył agencję towarzyską „Berenika". Wykorzystywano w niej miejscowe sieroty z domu dziecka.

▶ Podobieństwo do sprawy Magdaleny Ż.?

Rosyjscy handlarze ludźmi działają także w ośrodkach wypoczynkowych w Egipcie. Już w raporcie przygotowanym dla amerykańskiej ambasady w Tel Awiwie w 2004 r. opisano, że właściciele hoteli w Egipcie zgłaszają przypadki zaginięć turystek z krajów Europy Wschodniej. Co ciekawe, w ich pokojach znajdowano wszystkie rzeczy osobiste, łącznie z paszportami. Z raportu wynika, że kobiety odurzano i transportowano do Izraela, gdzie trafiały do domów publicznych i podszywających się pod nie przybytków (na przykład salonów masażu, prywatnych klinik zdrowia). Właścicielami tych lokali jest rosyjska mafia, zakorzeniona w silnej, ponadmilionowej rosyjskojęzycznej społeczności Izraela.

W ostatnich latach – po arabskiej wiośnie – egipski szlak wykorzystywany przez handlarzy prostytutek (szmuglem przez granicę egipsko-izraelską zajmowali i zajmują się Beduini) stracił na popularności. Ale obecnie znów odżywa. Cena, jaką pośrednicy otrzymują za dostarczoną kobietę od właścicieli domów publicznych w Izraelu (usytuowanych przede wszystkim w Tel Awiwie), wynosi od 3,5 tys. do 7 tys. dolarów (więcej płaci się m.in. za niebieskookie blondynki). Amnon Ziv – który z ramienia izraelskich służb specjalnych prowadził w 2013 r. operację przeciwko szmuglerom – powiedział portalowi journeyman.tv, że handel kobietami jest dla gangów dużo bardziej dochodowy niż sprzedaż narkotyków. ■

Małgorzata Matuszak

Czym jest... sens życia

Sens zdefiniować można, za Józefem Herbutem, jako „to, przez co pewna czynność (jej wytwór) lub stan rzeczy stają się zrozumiałe lub akceptowalne (na płaszczyźnie teoretycznej) albo chciane i godne i godne realizacji (na płaszczyźnie praktycznej szeroko pojętej)". Jest to pojęcie wieloznaczne, które rozpatrywać można, najogólniej ujmując, na poziomie semiotycznym i niesemiotycznym. Niesemiotyczne znaczenie „sensu" można różnicować wielorako, rozpatrując choćby, tak ja zrobił to prof. Władysław Stróżewski, problematykę sensu w perspektywach fenomenologicznej, ontologicznej, ontycznej, aksjologicznej i metafizycznej. W tej ostatniej stawia się pytanie o sens istnienia, choć oczywiście w metafizyczne rozważania na temat sensu życia włączają się rozstrzygnięcia, których dokonujemy na innych płaszczyznach rozumienia sensu. Problematykę sensu życia rozpatrywać przecież można wielowymiarowo.

Pojęcie sensu pochodzi od łacińskiego „sensus", oznaczającego przede wszystkim zmysł, poznanie zmysłowe lub czucie. W drugorzędnym znaczeniu „sens" określa sposób myślenia, pewien sąd, aż wreszcie także smak czy gust. W swym rozwoju filozoficznym termin „sens" przeszedł więc ewolucję i choć początkowo nie był wiązany z pojęciem życia ludzkiego, w językach nowożytnych zaczęto go z czasem wiązać z pojęciem celu życia człowieka. Dziś oba te terminy, sens i cel, występują w odniesieniu do ludzkiego życia zamiennie. Mówiąc o sensie życia, na myśli mamy bowiem najczęściej właśnie ten najwyższy, nadrzędny cel, który nadaje mu wartość i sens, ład i porządek, pewną ideę, która wyraża przeświadczenie o istnieniu pozytywnej odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące ludzkiej egzystencji. Rozumiemy go jako osiąganie celów, które człowiek uzna za najdonioślejsze w swoim życiu, porządkując swe działanie, tak by je zrealizować, by się spełnić. Dlatego sens życia przenika całą psychikę człowieka, jego myślenie i decyzje. Jego przeciwieństwem jest poczucie absurdalności i bezsensowności życia, nieumiejętność spojrzenia na swe istnienie jako pewną całość, uporządkowaną i celową, zgubienie i brak punktu odniesienia, który sens właśnie tworzy.

Ksiądz prof. Józef Tischner określa sens jako „to, co będąc dane w konkretnym doświadczeniu, wykracza w ten sposób poza to doświadczenie, że stanowi jego konieczny horyzont, powodując tym samym, że wszystko, cokolwiek niesie ze sobą doświadczenie, jest czymś dla świadomości, dla podmiotu". Sens życia nie jest czymś danym, ale za-danym, właściwie wciąż za-dawanym. Wykracza poza to, co jest człowiekowi aktualnie dane, co może poddać swojej władzy poznawczej. W tym też znaczeniu sens w odniesieniu do całości życia nie może być pierwotnie ani konstytuowany, ani odkrywany, ale niejako postulowany. Zasadza się ostatecznie na nadziei, która pozwala dostrzec go nawet pomimo zupełnie czasem niezrozumiałych, absurdalnych wręcz kolei naszego życia, nieszczęść i cierpienia. To, co nas w życiu dotyka, czasami nasze poczucie sensu życia podważa, niszczy nawet, z drugiej jednak strony pozwala go poczuć na nowo, lepiej, głębiej.

Czyż ostatecznie nie chodzi o to, co miał na myśli ksiądz Tischner, pisząc, że: „Może właśnie o to naprawdę chodzi, może jesteśmy na tym świecie po to, żeby na końcu powtórzyć najpiękniejsze słowa, jakie Pan Bóg wypowiedział w dniu naszego stworzenia: »Dobre było«"? ■

POJĘCIE SENSU POCHODZI OD ŁACIŃSKIEGO „SENSUS", OZNACZAJĄCEGO PRZEDE WSZYSTKIM ZMYSŁ, POZNANIE ZMYSŁOWE LUB CZUCIE. W DRUGORZĘDNYM ZNACZENIU „SENS" OKREŚLA SPOSÓB MYŚLENIA, PEWIEN SĄD, AŻ WRESZCIE TAKŻE SMAK CZY GUST.

Piotr Wielgucki „Matka Kurka"

„UCHO PREZESA" – apolityczny serial o politykach

W „Uchu prezesa" nie zobaczymy nic, co w zamiarze podcina skrzydła rządzącym lub dodaje ich opozycji. Górski poszedł na znaną łatwiznę, wrzucił PiS z opozycją do jednego wora i podpisał „Politycy są śmieszni".

fot. mat. pras.

W Polsce przedmiotem debaty publicznej może stać się wszystko, zresztą nie jest to wyłącznie polska specyfika. Internet potrafiła rozpalić martwa wiewiórka, wcześniej rządziły korniki i konie. Polityka wkrada się wszędzie i w dowolnym głupstwie strony politycznego sporu potrafią doszukać się racji stanu.

Kabaret apolityczny

W takiej atmosferze i temperaturze politycznej „Ucho prezesa" musiało się znaleźć na topie tematów obecnych w rozmowach Polaków. Zanim pojawił się pierwszy odcinek serialu, powstały recenzje pisane według nudnego klucza ideologicznych preferencji. Z lewej strony słyszeliśmy, że Górski musiał uciekać z telewizji narodowej do Internetu, co miało być dowodem na kaczystowski reżim. Z prawej podniósł się lament, że odradza się przemysł pogardy. Sam przez dłuższy czas nie miałem ochoty zapoznać się z nową produkcją, jestem tak znudzony zalewem kabaretowej tandety, że po słowie „kabarety" rzucam się na pilota. Po drugie, kabaret polityczny skończył się na erze Laskowika, Smolenia i Pietrzaka, potem nikt się nie zbliżył do tego poziomu. Dopiero obowiązki zawodowe zmusiły mnie do obejrzenia „Ucha prezesa", a ponieważ do obowiązków podchodzę poważnie, to obejrzałem wszystkie odcinki. Po skonsumowaniu „Ucha prezesa" w całości stawiam kontrowersyjną tezę, że w wymiarze politycznym jest to kabaret apolityczny, tudzież poprawny politycznie, co należy rozmieć jako pełną asekurację.

Teza pozbawiona argumentów zamienia się w pustosłowie, dlatego zacznę od uporządkowania spraw wokół telewizji i Internetu. Dziś wiemy, że telewizja narodowa nie cenzurowała Roberta Górskiego, przeciwnie – Jackowi Kurskiemu nie udało się podpisać umowy na emisję „Ucha prezesa". Podobne starania, z identycznym skutkiem, czynił Polsat. Mamy zatem do czynienia z wyjątkowym przypadkiem, gdy artysta z wyrobioną marką świadomie rezygnuje z telewizji i ucieka do Internetu. Decyzja Górskiego o przeprowadzce do Internetu to pierwszy poważny argument na rzecz asekuracji politycznej. Było jasne, że „Ucho prezesa" w TVP z miejsca stanie się „pisowską propagandą", z kolei Polsat lub TVN automatycznie przypinały łatkę rozrywki dla lemingów. Górski jest inteligentny i ma słuch społeczny, wybrał neutralny grunt, co pozwoliło mu postawić krok do przodu na ścieżce artystycznej kariery.

Obiektywne poczucie humoru

Pod dyktando tej samej strategii stworzył serial, gdzie z premedytacją pokazuje skecze, które nie służą żadnej opcji politycznej. W ten sposób otworzył sobie szerokie pole do pozyskiwania widzów – od „moherów" po „lemingi". Kabaret polityczny to nie to samo co kabaret o politykach, i taką właśnie formułę przyjęło „Ucho prezesa". Zwracam uwagę, że najważniejsi politycy PiS, z Jarosławem Kaczyńskim na czele, nie zgłaszali pretensji do Górskiego. „Dobrze, że się śmieją, bo trzeba się śmiać" – powiedział Kaczyński. Z całego PiS histerycznie zareagowała tylko Krystyna Pawłowicz. Reakcje opozycji były bardzo podobne, wierchuszka z dystansem, jedynie odrealniony Niesiołowski zobaczył spisek: „Przykro to powiedzieć, ale program ten działa na korzyść PiS-u". Słowa Kaczyńskiego i Niesiołowskiego zostały wykorzystane w reklamie „Ucha prezesa" i nie ma tu przypadku. Górski od początku zamierzał pokazać „obiektywne poczucie humoru", czyli takie, które nie daje powodów do zadowolenia żadnej partii.

Istnieją oczywiście przeciwne opinie wyrażane przez część wyborców PiS, która widzi brutalny atak na „dobrą zmianę". Paradoksalnie niektóre autorytety „Wyborczej" mówią dokładnie to samo i żyją nadzieją, że „Ucho prezesa" rozwali rząd PiS-u. Z całą stanowczością odrzucam tę niespotykanie spójną ocenę sytuacji i dopisuję kolejny argument na rzecz apolityczności. Robert Górski nie jest facetem z łapanki i zbyt wiele ma do stracenia, żeby się deklarować politycznie. Wypuścił idealny produkt popkulturowy, uniwersalny w przekazie i kasuje nim miliony widzów zasiadających w różnych sektorach trybuny politycznej. „Ucho prezesa" wbrew radykalnym opiniom nie przedłuża przemysłu pogardy i nie jest trampoliną dla opozycji dającą odbicie od dna w kierunku powrotu do władzy. Pod każdym względem mamy do czynienia z komercyjnym i lukratywnym projektem artystycznym, który sam się promuje i reklamuje. Jednego dnia słyszymy, że reżyser Tadeusz Śliwa przypomina Jakuba Wojewódzkiego, w czym jest sporo prawdy, ale drugiego dnia Mikołaj Cieślak, grający Mariusza Błaszczaka, udziela wywiadu „Wyborczej" i mówi, że nie wie, co się stało w Smoleńsku, a środowisko artystów zachowuje się stadnie w swojej antypatii do PiS. Dla każdego coś miłego, jednak najważniejsza jest sama apolityczność skeczów, która polega na opisywaniu politycznego ringu, bez kibicowania bokserom.

Zrównoważone echo politycznego Internetu

Górski zajmuje wygodną pozycję stenotypisty politycznej nawalanki i celuje w gust większości Polaków. Do wyborów chodzi 45 proc., z tego niewielka grupa oddałaby życie za swoich polityków, cała reszta ustawia się pośrodku lub z boku. „Ucho prezesa" wyprodukowano właśnie dla takich klientów. W produkcji nie ma niespodzianek, są przeniesione do kabaretu codzienne rozmowy Polaków, bo uszy i usta debaty publicznej należą do przeciętnego Polaka. Któż to jest ten przeciętny Polak? W politycznym aspekcie chodzi o tego, który z niechęcią odniesie się do Radia Maryja, ale też z obrzydzeniem potępi agresję Obywateli RP. Przeciętny Polak pośmieje się z kociej sierści na marynarce Kaczyńskiego, ale nie zobaczy nic śmiesznego w „zimnym Lechu". Dla przeciętnego Polaka PiS idzie za ostro z reformami TK i sądów, ale żenujący Kijowski, Giertych i Lis jako obrońcy demokracji zostaną wyśmiani.

Przeciw podejrzeniom, że „Ucho prezesa" jest zaplanowaną akcją polityczną, najmocniej przemawiają „uśrednione" dialogi Polaków, odnoszące się do bieżących wydarzeń, co nie może wzbudzać skrajnych emocji koniecznych do wywołania rewolucji. Prawie każdy odcinek odnosił się do rozmów Polaków sprzed tygodnia i w żadnym nie słyszałem niczego poza tym, z czego wcześniej śmiał się Internet. „Ucho prezesa" to złagodzone i zrównoważone echo politycznego Internetu. Było Seicento, 27:1, Misiewicz i lex Szyszko. Ubawili się przeciwnicy PiS, ale tylko do momentu, gdy w 13 od-

> Zdecydowanie zgadzam się z tym, że „Ucho prezesa" ociepla wizerunek Kaczyńskiego, uznaje klasę prezesa PiS i ustawia go poza polityczną konkurencją.

cinku Górski kasuje wszystkich liderów opozycji, a Kaczyńskiego wygodnie kładzie do łóżka.

Umiejętne zmienianie kierunku satyry sprawia, że swoje radości i łzy w oczach mają wszyscy widzowie, i to się Górskiemu zgodnie z planem udało perfekcyjnie. Każdy się doszukuje czegoś innego, bo taka jest specyfika produktu przeznaczonego dla masowego odbiorcy. „Ucho prezesa" nie generuje, ale rozładowuje społeczne napięcia, raz śmieje się opozycja, innym razem rządzący. Rzecz jasna, satyra z natury rzeczy poluje na ofiary, ale jeśli zastosujemy rzymskie *cui bono,* dowiemy się też, kto wygrywa.

Wygrani i ofiary satyry

Serialowy prezes PiS nie ma nic z psychopaty i zamordysty, Kaczyński jest stereotypowym starym kawalerem, trochę abnegatem, bezradnym wobec umizgów partyjnej koleżanki i wyraźnie zdystansowanym do zwariowanej współczesności. Poza tymi uszczypliwościami Górski pokazał króla w politycznym królestwie. On jedyny inteligentnie panuje nad całym chaosem, jaki wywołują dwór i koterie. Być może zabrzmi to dziwnie, ale Górski stworzył męża stanu, poirytowanego prozaicznymi sprawami i marnymi politykami. Zupełnie inaczej wygląda reszta polityków PiS i tutaj nie znajdziemy nikogo poważnego czy zdolnego do czynów. Kaczyński „Uchem prezesa" wygrywa, ofiarą jest prezydent Andrzej Duda. Nikomu tak się nie dostaje, nawet Antoniemu Macierewiczowi, ale dla drugiej strony Górski też nie ma litości i ze wszystkich liderów opozycji robi „Adrianów". Patrząc oczami twórcy serialu, widzimy prawie dokładnie to, co sądzi „przeciętny Polak", gapiąc się w telewizor. Wszyscy oni są siebie warci, jeden Kaczyński potrafi poukładać polityczne sprawy, tylko jest jakiś taki dziwny i śmieszny w swojej życiowej nieporadności. Rzecz w tym, że „śmieszny" Kaczyński inteligencją bije na głowę własne otoczenie i wszystkich przeciwników. Trudno o bardziej brutalne podsumowanie klasy politycznej niż pokazanie sekretarki Basi jako drugiej rozsądnej obok prawdziwego polityka Jarosława Kaczyńskiego.

Zdecydowanie zgadzam się z tym, że „Ucho prezesa" ociepla wizerunek Kaczyńskiego. W moim przekonaniu nie tylko ociepla, lecz także uznaje klasę prezesa PiS i ustawia go poza polityczną konkurencją. Dużo gorzej Górski potraktował prezydenta Andrzeja Dudę, któremu odebrał wszelkie kompetencje i nawet imię. Dla polityka jest to zabójcze, szczerze jednak wątpię, aby Górski chciał robić miejsce dla Tuska, po prostu znów przepisał dialogi Polaków toczone na przystankach autobusowych i tu, niestety, PiS sam dostarczył materiału. Jeśli politycy PiS między wierszami deprecjonują rolę i pozycję prezydenta Andrzeja Dudy, trudno mieć pretensje do satyryka, że korzysta z okazji. Andrzej Duda dostrzegł problem i zrozumiał, że na wizerunku petenta w sekretariacie PiS drugiej kadencji nie zbuduje, stąd ostra zmiana kursu w jego kancelarii.

„UCHO PREZESA" NIE GENERUJE, ALE ROZŁADOWUJE SPOŁECZNE NAPIĘCIA, RAZ ŚMIEJE SIĘ OPOZYCJA, INNYM RAZEM RZĄDZĄCY.

Rewolucji nie będzie

Prócz takich politycznych smaczków, które są produktem ubocznym satyry, nie widzę wielkiej polityki, to letni serial o politykach. W „Uchu prezesa" nie zobaczymy nic, co w zamiarze podcina skrzydła rządzącym lub dodaje ich opozycji. Górski poszedł na znaną łatwiznę, wrzucił PiS z opozycją do jednego wora i podpisał „Politycy są śmieszni". Proste i skuteczne środki wyrazu, zastosowane z pełną premedytacją. Za priorytet przyjął Górski apolityczność, gwarantującą sprzedaż produktu szerokiemu widzowi. Osiągnął niemały sukces, usamodzielnił się, uniknął kłopotów, żadnego mostu za sobą nie spalił i tym samym zapewnił sobie artystyczną przyszłość. „Ucho prezesa" nie wywoła politycznej rewolucji, ponieważ inteligentny Górski ma gdzieś los polityków i dba o swoje interesy. Ogólnie dla polskiej polityki serial należy uznać za nieszkodliwy, a momentami pożyteczny. W wymiarze indywidualnym najwięcej zyskuje Robert Górski i Jarosław Kaczyński, najwięcej traci Andrzej Duda i liderzy opozycji, ale takie jest życie, zwłaszcza w polityce i w kabarecie. ■

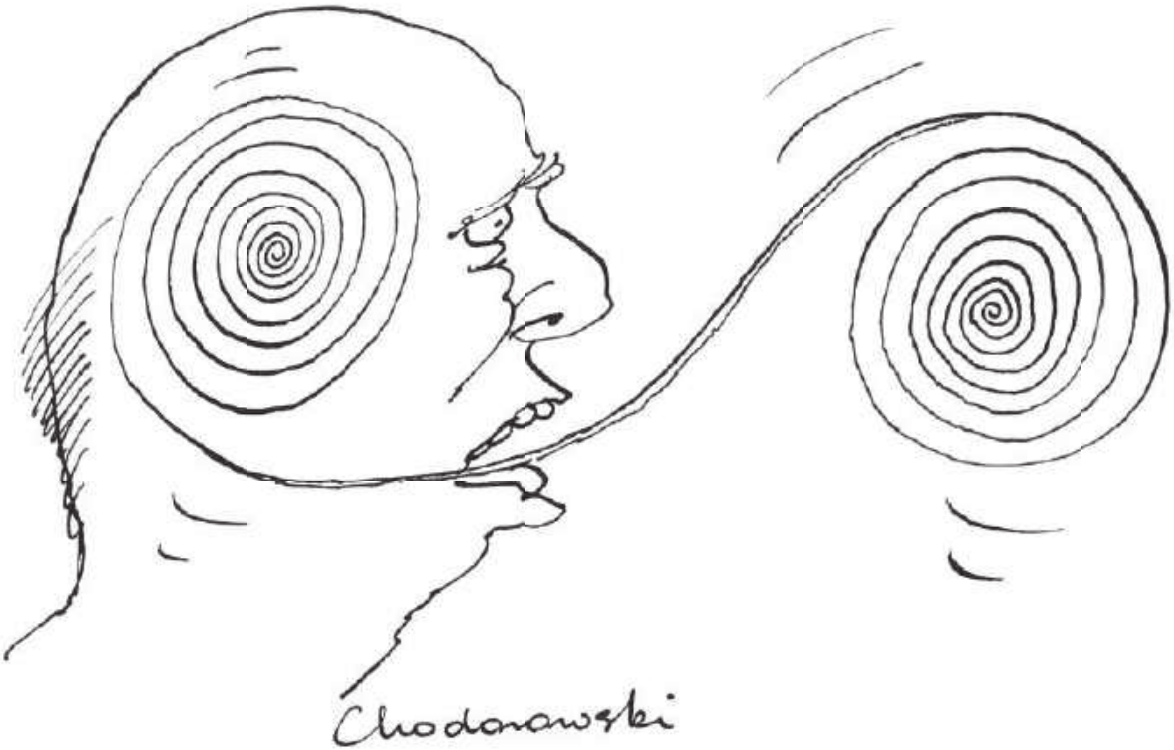

Ewa Polak-Pałkiewicz

Kiedy filister wypiera inteligenta

Krytykanctwo zamiast krytycznej refleksji z pewnością może dostarczyć prymitywnej rozrywki „gnijącym odpadkom burżuazyjnej kultury", jak mawiał Witkacy, ale jest zawsze tylko świadectwem intelektualnego bankructwa.

Nie warto mówić o wynajętych prowokatorach, którym się płaci za słowne plucie i kopanie władz politycznych Rzeczypospolitej. Chodzi o ludzi tzw. kulturalnych. I o pytanie, dlaczego środowisko dziennikarskie – tak samo jak aktorskie (zwłaszcza jego najbardziej znani przedstawiciele) – nie jest w stanie zdać sobie sprawy ani z moralnych konsekwencji jątrzącego stosunku do obecnych władz, ani z własnej groteskowości, gdy wszystko, co dobrego dzieje się w Polsce, próbuje obrócić w żart, zachowując się nie jak inteligencja, lecz najgorszy gatunek mieszczan. Filistrzy.

Życie na wielkiej scenie

Sfera dobrze uposażonych, wygodnych i zadowolonych z siebie mieszczan, w których przeobrazili się dawni komuniści i ich sprzymierzeńcy, jest uznawana przez wielu luminarzy zawodu dziennikarskiego i aktorskiego za upragniony wielki świat. Nie chcą go utracić. Odbieranie wiarygodności rządzącym, którzy zastąpili w 2015 r. ekipę PO, przez kłamliwe oskarżenia, publikowanie naciąganych sondaży i rozdzieranie szat nad rzekomym brakiem „skuteczności" polityków PiS, tak samo jak rozpowszechnianie plotek i oszczerstw, ma swoją cenę rynkową i towarzyską. Jest biletem wstępu na dzisiejsze mieszczańskie salony.

XIX-wieczna burżuazja była zawsze zajęta pielęgnowaniem swojego materialnego statusu i potrzebą błyszczenia. Toalety, powozy, konie, pałace, sztuczne szczęki – a potem samochody, kolejne jachty, wreszcie implanty, by przebić wszystkich w uśmiechu triumfu – to był główny temat codziennych komentarzy w domach nowobogackich. Pokazywanie się, bycie popularnym – nawet za cenę kłamstwa, szyderstwa z tych, którzy zostali wyklęci przez arbitrów elegancji w ponowoczesnych areopagach – jest dziś rodzajem narkotyku, bez którego część ludzi mediów, a także artystów sceny i estrady, nie potrafi żyć.

W każdym społeczeństwie przed kamery – tak jak niegdyś do lóż w operach – pcha się towarzystwo, które uważa, że wszystko, łącznie z honorem i rozumem, można kupić. To, że władze stalinowskie postawiły w PRL na artystów, nie było jakimś ekscesem, tylko wykorzystaniem psychologicznej prawidłowości. Na ludzkiej próżności zawsze można zarobić. Przekonania nie były w ogóle, zdaniem komunistów, ważne, wszystko było kwestią ceny.

Ludzie bez butów lub lokaje

Już Cyprian Kamil Norwid zauważył, że ludzie, którzy posługują się głębszą refleksją i nie działają na zasadzie instynktów grupowych czy niskich pobudek, zwykle eliminowani są z głównego nurtu życia towarzyskiego i kulturalnego przez postaci „modne", intelektualnie miałkie, opływowe. „Ale cała Polska, poniżywszy zupełnie od tyla czasu całą Inteligencję swoją i wyłączywszy ją z wag społecznych i zamieniwszy na korepetytorów, pisarków, klientów, rezydentów – naturalnie że w najważniejszych pytaniach zupełnie jest nieoświecona i niewczesna... Kiedy cała Inteligencja są ludzie bez butów lub lokaje, nie może być odwagi cywilnej – i nie ma jej" – pisał w liście do Mariana Sokołowskiego.

Norwid trafił w sedno diagnozą, która uprzytamnia podrzędną pozycję społeczną tych, którzy mają odwagę myśleć i wyciągać wnioski. I aktywnie zwalczać niskie pobudki, szalbierstwo intelektualne i tchórzostwo osobistości ustosunkowanych. Tym właśnie, przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat, zajmowała się polska inteligencja. Służba społeczna, troska o dobro wspólne, patriotyzm, demaskowanie zdrajców były najważniejszym składnikiem etosu inteligenckiego; traktowano je jako życiową misję. Choć kolejni okupanci pozbawiali tych Polaków majątków, skazywali często na skrajne ubóstwo, czuli się oni spadkobiercami kulturowymi polskiej szlachty i ziemian – i dlatego nadal stanowili faktyczną elitę. Złośliwości z wielu stron, jakie spotykają na przykład publicystów i komentatorów „Nowego Państwa" czy „Gazety Polskiej" (zwłaszcza wtedy, gdy piszą o osiągnięciach komisji smoleńskiej) udowadniają, że zjawisko obserwowane przez Norwida jest trwalsze, niż można sądzić.

Wyjechał i nigdy nie wróci!

Juliusz Kaden-Bandrowski wspomina moment, gdy jego ojciec, szacowny krakowski lekarz, kierowany pragnieniem, by na co dzień przebywać w eleganckim świecie, w ciągu jednego dnia wyzwolił się – raz na zawsze – ze swoich obowiązków wobec chorych i przyjął posadę dyrektora teatru. Chciał błyszczeć, przeżywać co wieczór wielką galę, żyć premierami, wiwatami. Gratulacje, kosze kwiatów, przyjęcia, toasty, okrzyki zachwytu – to był jego żywioł.

Żeby zerwać z dawnym życiem, doktor Bandrowski musiał uciec się do psychodramy. „Rano, po śniadaniu, kazał ojciec wyjść Tomaszowi [staremu służącemu] do sieni i zadzwonić w charakterze chorego. Musieliśmy być przy tym wszyscy w przedpokoju.

Cóż miał Tomasz robić? Zadzwonił i jak mu kazano, spytał w drzwiach:

– Czy zastałem pana konsyliarza?

Ojciec ukłonił mu się nisko i odpowiedział:

– Przepraszam pana dobrodzieja, ale pan doktór wyjechał i nigdy już nie wróci.

Ilustracja Antoni Chodorowski

Wybuchnęliśmy śmiechem. Tomasz się zaczerwienił, ojciec dobył z pularesu papierek dwudziestokoronowy i wręczył go uniżenie pacjentowi:

– Służę panu dobrodziejowi i bardzo przepraszam za zawód. Pan będzie łaskaw powiedzieć chorym pana konsyliarza, że każdemu chętnie zapłaci, byleby ich już nigdy w życiu nie oglądać".

Tomasz się nie śmiał, bo całą tę maskaradę, zabawę w odwracanie ról uznawał za rzecz gorszącą. Był człowiekiem myślącym logicznie i traktował hierarchię jako fundament budowy świata.

Świat z zakłóconą hierarchią – zawód dyrektora teatru, miejsca rozrywki, stał w jego poczuciu hierarchii daleko niżej niż czcigodne zatrudnienie lekarza – był mu z natury obcy.

Stary kamerdyner wymówił służbę niedługo potem. W dniu, gdy jego pan, przejęty modnymi w rozdyskutowanym Krakowie ideami równości społecznej, posadził przy swoim stole w jadalni chłopską parę z podkrakowskiej wsi. Pojawiła się ona którejś niedzieli w całej paradzie malowniczego stroju, brzęcząc cekinami, potrząsając piórami, sypiąc rubasznymi dowcipami. Tomasz miał tym ludziom usługiwać. Stary sługa uznał, że system porządkujący świat według odwiecznych zasad został w tym domu bezpowrotnie zniszczony. Mimo miłości, jaka łączyła go z Bandrowskimi, musiał odejść. Dla tego prostego, lecz rozumnego człowieka ważne były nie uczucia, lecz myślenie i wypływający z myślenia porządek społeczny.

Tysiące podłostek i miłostek własnych

Henryk Sienkiewicz zmuszony był w pewnym okresie swojego życia przyjąć posadę korepetytora, a nawet „pisarka", czyli dziennikarza, żeby nie głodować. To ostatnie zajęcie wyjątkowo mu ciążyło, bo wiedział, że nawet najzdolniejszy dziennikarz nie jest w stanie utrzymać się dłużej niż jeden sezon w roli zabawnego czy też niezmiernie oryginalnego komentatora.

Gdy po ślubie z Marią Szetkiewiczówną podjął pracę jako redaktor warszawskiego „Słowa", skarżył się w liście do Stanisława Witkiewicza: „Co za pies ze mnie że muszę tak harować, i to w rzeczach, których nie cierpię. Prócz tego chodzi za mną tuman konkurencji, niechęci, złości, nienawiści, plotek, intryg, polemik... Każdy dziennikarz musi żyć w infamii. Tysiące małostek, podłostek, egoizmów, miłostek własnych, insynuacji tworzy atmosferę, która wzrokiem nie da się ocenić, ale która zaczadza z wolna".

„Luksusowy dziennikarz" – to określenie, które robi dziś karierę i na pewno nie kojarzy się z obroną prawdy. Tomasz Sakiewicz zastanawia się w jednym z komentarzy, dlaczego dziennikarze – nie tylko mediów głównego nurtu, lecz także tzw. niepisowskiej prawicy oraz prawicy tzw. rozsądnej, zwalczają „Gazetę Polską" i nie ustają w atakowaniu Antoniego Macierewicza. „Zazdrość, konkurencja, agentura, wyrzuty sumienia?... Są w różnych miejscach, ale działają dość solidarnie". Być może prawda jest jeszcze mniej złożona. Przyczyną może być traktowanie jako osiągnięcia życiowego swojego wysokiego statusu materialnego, a wraz z nim popularności. Tu słabość ludzka zawsze wygrywa. To dlatego miejsce należne dawnej inteligencji – tej jej części, która nie dała się skomunizować – zajęła w mediach wąska elita finansowa, do której należą ludzie uprawiający zawody inteligenckie: oprócz prominentów uczelni wyższych, nauki, części ludzi pióra i aktorów, także przedstawiciele najbardziej wpływowych mediów. Nie tylko politycy, finansiści, lecz właśnie dziennikarze, grupa tak niegdyś usłużna wobec marksizmu, są koryfeuszami esprit bourgeois. Tak wygląda kulturowy spadek po marksizmie. Ludzie rozsmakowani w dobrobycie nigdy nie opowiedzą się za czymś, co może zagrozić karierze i odebrać komfort życia, na który ciężko zapracowali życiowym konformizmem.

„Wystarczy być"

Liberalny świat, w którym dobrze żyje się ludziom układnym i dyspozycyjnym, wzywa do nieustannej maskarady. Wiele anegdot pokazuje niebywale rozpowszechnione pragnienie, przeradzające się często w rodzaj obsesji, połączone z zatraceniem wszelkiego krytycyzmu i odrealnieniem: być obecnym w mediach. Zasiadać w studio telewizyjnym. Oglądać swoją twarz na ekranie, czytać o sobie w gazetach. Jednym słowem: powtórnie się narodzić. Tym razem do życia „prawdziwego" – tam, gdzie publicznie wypowiadają twoje nazwisko.

W filmie Hala Ashby'ego „Wystarczy być" (1979 r.) zawrotną karierę polityczną robi mężczyzna ograniczony umysłowo, który przez całe życie pracował jako ogrodnik u starszego, zamożnego pana, a całą wiedzę o świecie czerpał z telewizji (gra go Peter Sellers). Przypadek sprawia, że jako ofiara ulicznego wypadku trafia na salony medialno-polityczne. Jego ciemny garnitur i biała koszula oraz enigmatyczne wypowiedzi powodują, że zostaje wzięty za kogoś innego, niż jest. Wpływowi protektorzy, którzy nie znają jego prawdziwej tożsamości, robią z niego maskotkę mediów. Amerykańskie wcielenie Nikodema Dyzmy, niepotrafiące sklecić zdania, które zawierałoby początek i koniec, wzbudza jednak niebywałe zainteresowanie, wręcz entuzjazm grona klakierów towarzyszących wszystkim dobrze rokującym debiutantom oraz reporterów i sprawozdawców telewizyjnych na ich usługach. Waszyngtońska śmietanka medialno-towarzyska uznaje jego sposób bycia i wypowiadania

się, typowy dla osób znajdujących się poza rzeczywistością, za szczyt towarzyskiego wyrafinowania.

Film to studium konformizmu i zarazem przenikliwy obraz skutków, jakie przynosi kokietowanie dowolnego środowiska głupotą. Środowiska wystarczająco zwartego i solidarnego, by jej nigdy nie demaskować, bo ważniejsze są korzyści, jakie z tej komedii omyłek czerpią. Przylepione uśmieszki fanów ogrodnika – nikt z nich się nigdy nie wyłamie, nikt się za żadne skarby nie zdradzi, że rozpoznał mimowolnego oszusta! – zapowiadają rychło nadciągającą epokę królowania upozowanego kłamstwa w życiu publicznym. I przypominają łudząco zmowę na temat krytykowania jednym głosem wszelkich poczynań Jarosława Kaczyńskiego i nowego rządu RP.

Kariera ociężałego umysłowo ogrodnika – na sam szczyt – jest już prostą konsekwencją tej maskarady. Enigmatyczne, w istocie czysto wariackie teorie głoszone z coraz większą swadą przez naszego bohatera – w miarę jak potęguje się zachwyt widzów spektaklu – na temat sensu życia, gospodarki, przyszłości świata etc., uznawane są za objawienie.

„Wystarczy być" jest dziełem już nieco zapomnianym, a profesjonalnych hochsztaplerów brylujących na międzynarodowych salonach politycznych, w studiach telewizyjnych, zasiadających w unijnych radach, a nawet kierujących nimi nastał szczególny urodzaj. Jesteśmy świadkami degeneracji umysłowej rzesz osób publicznych, które zaakceptowały bez mrugnięcia fałszywe reguły gry.

Film Asbhy'ego nakręcono według powieści Jerzego Kosińskiego pod tym samym tytułem, wyraźnie inspirującego się przypadkami Nikodema Dyzmy. Urodzony w Polsce, osiadły w Ameryce pisarz pochodzenia żydowskiego jest także autorem pamiętnego „Malowanego ptaka", książki, która ukazała się drukiem w latach 80. ubiegłego wieku (ruszyły właśnie z wielkim hałasem zdjęcia do filmu według niej). To jedna z pierwszych publikacji na Zachodzie pokazujących Polaków jako antysemitów, chamów, zwyrodnialców i okrutników. Osobników bliższych światu zwierząt niż ludzi. Niebywały rozgłos towarzyszący książce – wiele wydań i entuzjastyczne recenzje – otworzył epokę zniesławiania Polaków za oceanem i w Europie. Popularność Kosińskiego pozwoliła mu nawet przez dwie kadencje być prezesem amerykańskiego PEN Clubu.

Autor bestselleru przeżył bezpiecznie całą wojnę jako dziecko dzięki polskiej rodzinie katolickiej, która ukrywała go z narażeniem własnego życia na podkarpackiej wsi. Dyskretnie pomagał chłopcu i rodzinie jego opiekunów proboszcz, ks. Eugeniusz Okoń.

Czy Kosiński nie przedstawił w „Wystarczy być" własnej, przetworzonej i osadzonej w odmiennych realiach historii? Historii mistyfikacji, jakiej dokonał, a której konsekwencje sięgają o wiele dalej niż pierwotny zamysł i cała misterna aranżacja? Minęło niedawno 25 lat od dnia, gdy Jerzy Kosiński odebrał sobie życie.

▶ Jedyny warunek dziennikarskiej godności

Są w Polsce dziennikarze, dla których pojęcia: służba społeczna, praca na rzecz dobra wspólnego, patriotyzm są jakimś głupim żartem i oni nie pozwolą sobie publicznie wypowiadać podobnie żenujących słów. Są matki, które zasłaniają się swoją godnością, by nie urodzić dziecka. Są żony, które nie chcą, z uwagi na swoją wyjątkową godność, być poddane mężom. Są mentorzy i nauczyciele, którzy w miejsce Boga wstawiają człowieka. Przekonują, że człowiek jest kimś tak wielkim, że Pan Bóg stworzył go „dla niego samego". To on powinien być panem wszechświata. Wszyscy ci ludzie chcą tylko jednego: spokojnie cieszyć się uwielbieniem idoli i fetyszy konsumpcjonizmu. Nie znoszą tych, którzy im tę mieszczańską idyllę zakłócają.

Kosiński pokazał, jak niezwykle łatwo – w świecie, który uprawia grę pozorów – obrastając w piórka pychy, karmiąc się próżnością i pochlebstwami innych, zyskać pieniądze, władzę, medialny rząd dusz. Ów świat czyni bowiem zawsze wszystko, byśmy wzięli złudzenia za rzeczywistość: powierzchowne i błędne schematy oraz frazesy podkultury za prawdę.

Niejeden z filisterskich widzów po seansie „Wystarczy być" dojdzie do wniosku, że postawą, jaką warto zajmować w życiu, jest potakiwanie tym, których mają za silniejszych. Nawet wbrew oczywistym faktom. Wbrew ustaleniom rządowej komisji badającej przyczyny katastrofy polskiego TU-154M, złożonej z wybitnych ludzi nauki. Wbrew własnej biografii – skoro tyle lat żyło się w Polsce i doświadczało się dobra od ludzi. Wbrew całej historii Polski, której tragicznym rozdziałem był 10 kwietnia 2010 r. „Wystarczy być" to antyteza opowiadania Andersena, w którym kilkuletni chłopiec wykrzyknął: „Król jest nagi!". Dziś tak wielu uczestników życia publicznego, idąc w ślad za ogrodnikiem, zasiadając uroczyście przed mikrofonami, zapewnia gorąco: ależ król jest wytwornie ubrany. Powiedzenie prawdy byłoby nie tylko skandalem, zbrodnią, lecz także ośmieszeniem się. Tak dzieje się, gdy ludzie nie wierzą już, że wcześniej czy później ta prawda, której się wyrzekli, oskarży ich przed nimi samymi. Nie wiadomo, czy będą wtedy potrafili się podnieść. ■

Fragment książki „Czego chcą od nas biedni Niemcy", przygotowywanej do druku w Oficynie Wydawniczej Volumen.

Cytaty pochodzą z: C.K. Norwid, List do Mariana Sokołowskiego z 6 lutego 1864 r.; Juliusz Kaden-Bandrowski, „Miasto mojej matki", Kraków 1957.

Wiara? To brzmi dumnie

Małgorzata Matuszak

W imię politycznej poprawności neguje się dzisiaj wyznania wiary. Piętnuje się je i z nich szydzi. Śmieszą, niekiedy oburzają, odczytywane są jako przejaw zaściankowości i zacofania bądź hipokryzji czy też ekshibicjonizmu. Czy bycie chrześcijaninem i przyznawanie się do tego jest dzisiaj rzeczywiście czymś wstydliwym?

Staramy się być postępowi, nowocześni, iść z duchem czasu. Hołdujemy nauce, która otwiera przed nami możliwości, o jakich kiedyś mogliśmy mówić jedynie w kategoriach science fiction. Nie mamy czasu, by zatrzymać się, pomyśleć o sobie i swoim miejscu w świecie. Gonimy za czymś, co nas nie syci i wciąż się nam wymyka, albo stoimy w miejscu, nie robiąc ze swoim życiem nic. Czy w tej sytuacji, tu i teraz w dzisiejszym świecie, jest jeszcze miejsce na wiarę? Na bycie chrześcijaninem, a przede wszystkim na okazywanie swej wiary i mówienie o niej?

Chodakowska na cenzurowanym

Ewa Chodakowska, popularna instruktorka fitness i trenerka personalna, umieściła na swym profilu facebookowym w Wielki Piątek zdjęcie krzyża i pod nim taki wpis: „W czasach kiedy umierają prawdziwe wartości... »Życzę wam wszystkim, drodzy bracia i siostry, byście przeżywali to Triduum sacrum, Czwartek, Piątek, Wielką Sobotę, wigilię paschalną, a potem Wielkanoc, coraz głębiej. Przeżywali, ale także dawali świadectwo. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« – Jan Paweł II". Chodakowska ma na swoim profilu ponad 2 mln fanów, oddźwięk jej wpisu był więc ogromny. Niestety pojawiło się wiele komentarzy negatywnych, w których fanki trenerki nie kryły swego oburzenia, jak choćby ten: „Rzadko komentuję, jednak jest to tak bulwersujące, że nie omieszkam wspomnieć, posty z zawartością religijną oraz polityczną są ostatnimi jakie powinna Pani umieszczać, tym bardziej dopingując Polki by o siebie walczyły, podkreślając patos marek marketingowych, którym również pewnie niesmak po tym poście pozostanie. Wiara to intymna sprawa – proszę to zostawić dla siebie i najbliższych" czy też: „Ewa come onnnnnnnnnnnnn!!! Dlaczego z fajnej platformy fitnessowo-zdrowotno-lifestylowej robić kazalnice? Mówiłaś że nie angażujesz się politycznie i religijnie? Wiara to prywatna sprawa. Szkoda! Bardzo cię szanuje i lubię i tak i tak. Ale uważam że fitness i faith to radykalnie inne sprawy. Co Ty Ewka nie wspierasz kobiet w walce o ich prawa ale wrzucasz jakiś katolicki bełkot? Ja Ci życzę żebyś otworzyła oczy. Mogłabyś zrobić tyle dobrego dla kobiet w Polsce..." (w obu przypadkach pisownia oryginalna).

Trenerka nie pozostawiła tych i podobnych im komentarzy bez odpowiedzi. Pisze, że „tylko słabi ludzie wstydzą się swojej wiary", że Bóg jest Kimś w jej życiu niezwykle ważnym, tak samo bycie praktykującą katoliczką, że „nie jest święta", ale w swym życiu stara się nikogo nie krzywdzić i swym życiem dawać świadectwo i „dobry przykład na co dzień". Zapewnia, że jej słowa nie były jedynie chwytem reklamowym i – co jej zarzucano – „prowokacją dla podniesienia klikalności". Przyznaje też, że doświadczyła hejtu, który przekroczył granice – jej skrzynka mejlowa została zhakowana, ktoś wysyła jej obraźliwe memy i wulgarne komentarze, próbuje zastraszyć i szantażować. Pyta się: „Czego mogę się obawiać? Prześladowań? [...] Czy to AŻ TAK źle, że jestem katoliczką? Czy naprawdę chcesz odebrać mi prawo do tego, kim jestem? Nie wiem, kto za tym stoi. Ale nie boję się!!".

Wiara to prywatna sprawa?

Wielkanocny post rozpoczął długą dyskusję, trwającą właściwie aż do teraz. Chodakowska nie ustaje w obronie swego prawa do wiary. W swym poście z 18 maja napisała: „Bóg dał Ci 86 400 sekund każdego dnia. Poświęciłaś chociaż jedną, żeby mu podziękować za kolejny dzień? PS pod postem jak zwykle dyskusja. Słuchajcie :) nie mnie oceniać... wmawiać... mówić, co dobre, a co złe :) ta strona jest o mnie i o wszystkim co ze mną związane. Nie możecie mi mówić, że z wiarą nie powinno się obnosić, bo ktoś kiedyś tak powiedział etc :) Nic mnie to nie interesuje :) Możecie mnie za to lubić albo nie, ale nic nie zmieni faktu, że jestem wierząca, dobrze mi z tym i o tym głośno mówię... tym głośniej od kiedy usłyszałam, że mało osób się do tego oficjalnie przyznaje... Moja deklaracja nie powinna być zestawiana na równi z dyskryminacją :) Pozwólcie mi, że pozostanę sobą".

Wyznania wiary osób nazywanych „znanymi" traktowane jest obecnie także jako przejaw koniunkturalizmu. Po tym jak Misiek Koterski udostępnił filmik, w którym opowiada o swoim nawróceniu, a Modest Amaro powiedział w telewizji TVN, że „Pan Bóg pochylił się nad jego życiem i je poukładał", Karolina Korwin-Piotrowska ich zachowania skomentowała tak: „A czy TY już chwaliłeś się publicznie dzisiaj, jak mocno kochasz Jezusa/Boga-?Maryję? Czy nikogo nie zastanawia, dlaczego, kiedy u władzy jest ten, kto jest, to nagle tylu celebrytów zaczęło opowiadać o Bogu publicznie, w mediach, książkach, wywiadach? Grunt to wyczucie czasu... A wcześniej, co sama wiele razy próbowałam, końmi by z nich tego NIKT nie wyciągnął, bo to było kilka lat temu »zbyt intymne«... Aż tu nagle... Wszyscy tacy bogobojni. Fałsz na kilometr". W podobnym tonie były także niektóre komentarze odnoszące się do wpisów Ewy Chodakowskiej, choćby ten: „Ewa wie, skąd wieje wiatr. Dobra zmiana, Ewa". Pani Korwin-Piotrowska powinna się chwilę chociaż

fot. icomp-Fotolia

zastanowić nad sobą i nad tym, co ją skłania do tego typu wypowiedzi.

Wiara jest sprawą osobistą człowieka, to prawda. Nie byłaby jednak wiarą w pełni, gdyby nie chciała o sobie świadczyć. Jeśli jest ona częścią osoby wierzącej, w nią wbudowaną, bo przecież powinna taką być, nie sposób jej się pozbyć na okoliczność uczestnictwa w przestrzeni publicznej. Byłoby to równoznaczne z wyparciem się swej tożsamości, samego siebie. Gdyby Ewa Chodakowska na swoim profilu umieściła obrazek z pisankami, kurczaczkami czy zajączkiem opatrzony niezobowiązującym podpisem „Wesołych Świąt", jej post nie wywołałby takiej reakcji. Co innego, gdy na jej profilu pojawił się krzyż, a pod nim słowa św. Jana Pawła II odnoszące się do Tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusa... Dodać trzeba – na własnym, facebookowym profilu...

Prawo do wiary?

Świat Zachodu laicyzuje się w szybkim tempie. Społeczeństwo polskie nie chce być gorsze. Z przerażeniem słucham i czytam o tym, że we Francji czy Włoszech nawet święta Bożego Narodzenia nie mogą być Boże. Także krzyż traci dziś znaczenie religijne, stając się symbolem kulturowym, a nawet po prostu elementem dekoracyjnym czy rodzajem biżuterii, „zwykły" zaś dla chrześcijanina gest – przeżegnanie się, staje się coraz bardziej „niezwykły", narażający na kpiny bądź chociaż szyderczy uśmieszek.

Wiarę w Boga uważa się za sprawę prywatną. Jednocześnie publiczne przyznawanie się do dokonania w przeszłości aborcji, mówienie o tym, że jest się gejem, lesbijką, transwestytą, transseksualistą czy też innym przedstawicielem społeczności LGBT, postrzega się jako coś chwalebnego i wartego, „by o tym mówić". Dzielenie się swoimi doświadczeniami w tym zakresie, manifestowanie swej odmienności jest „cool", publiczne zaś przyznawanie się do Boga, Chrystusa narazić może na hejt. Mówi się o tolerancji, o wolności, nie do końca jednak rozumiejąc, na czym ona polega.

Ewa Chodakowska nie jest jedynym sportowcem, który naraził się na szykany w konsekwencji tego, że nie bał się przywołać w swych wypowiedziach Boga. Polski piłkarz ręczny Piotr Wyszomirski po przegranym meczu z reprezentacją Niemiec podczas Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro ze łzami w oczach powiedział przed kamerami: „Przychodzi w życiu człowieka taki czas, w którym dźwiga krzyż, naciągnięty bólem, cierpieniem, niespełnionymi marzeniami i brakiem radosnych perspektyw. Często ten krzyż nas przygniata. Ciężko jest wtedy wstać, ale ja ci mówię: wstań i walcz, to twoje życie, twój największy skarb". Te słowa, wypowiedziane wcześniej przez kickboksera Marka Piotrowskiego, przysporzyły wtedy Piotrowi Wyszomirskiemu wielu przeciwników. Nie ma on jednak problemów z tym, by publicznie dawać świadectwo swojej wiary. Pytany o to, czy zdarzało mu się być z tego powodu wyszydzanym, odpowiada: „Niejeden raz. Zawsze znajdą się ludzie, którym nie pasuje Ewangelia. Ale nie mam z tym problemu. Nie przejmuję się tym, bo Jezus nam powiedział, że jeśli chcesz iść za Nim, to musisz wziąć swój krzyż. To dla mnie normalne, że ktoś się będzie śmiał, ale nic sobie z tego nie robię". Podobnie myślą inni szczypiorniści – Sławomir Szmal mówi głośno o swojej wierze, nie wstydzą się jej bracia Jureccy, Piotr Chrapkowski.

W co chcę wierzyć?

Każdy człowiek w coś wierzy. Nie można żyć bez wiary, bez niej istnienie staje się nie do wytrzymania. Ta wiara może być dojrzała lub nie, może mieć charakter religijny lub świecki. By wiara ta była mocna i stała, musi zasadzać się na czymś, co samo jest stałe i mocne. Gilbert Keith Chesterton pisał: „Kiedy ludzie przestają wierzyć w Boga, to nie znaczy, że już w nic nie wierzą – wierzą we wszystko". Niestety, dziś coraz częściej takiej „wiary we wszystko" stajemy się świadkami. W przeszłości tendencje odchodzenia od Boga nie przyniosły rezultatów uszczęśliwiających człowieka. Dobitnie wskazują na to doświadczenia historyczne, szczególnie XX wieku – antychrześcijański socjalizm rosyjski i narodowy socjalizm niemiecki nie przyniosły nic dobrego, zniszczyły miliony istnień ludzkich i ogromną część dorobku wielu pokoleń. Czy niczego one nas nie nauczyły?

Z badań wynika, że religijność Polaków jest selektywna. Wciąż 90 proc. Polaków deklaruje przynależność do Kościoła katolickiego, jednak tylko 39 proc. chodzi regularnie na msze. Profesor Wojciech Świątkiewicz z Uniwersytetu Śląskiego stoi na stanowisku, że obecnie w Polsce tempo sekularyzacji, czyli wycofywania religii, symboli i instytucji kościelnych z przestrzeni życia społecznego, się zmniejsza, przyspiesza zaś i staje się coraz bardziej agresywną laicyzacja, czyli wycofywanie się religii z naszego myślenia, odrzucanie wartości religijnych przy podejmowaniu decyzji dotyczących sposobu i stylu życia. Przykładów takiej postępującej, agresywnej laicyzacji można dziś, niestety, przytoczyć wiele. Nawet tak naturalny przecież gest Ewy Chodakowskiej wywołał falę dyskusji, której kształt w katolickim kraju powinien wszystkim dać do myślenia. ■

Tomasz P. Terlikowski

Bracia Miłosierdzia od eutanazji

News sprzed kilku tygodni o tym, że katolickie zgromadzenie zakonne ma dokonywać w prowadzonych przez siebie szpitalach eutanazji, zszokował wielu. A informacja ta wzburza jeszcze bardziej, gdy poznamy jej cały belgijsko-kościelny kontekst.

fot. Tomasz Adamowicz/Gazeta Polska

Zacznijmy od przypomnienia podstawowych faktów. Kilka tygodni temu najpierw belgijskie, a później także światowe media obiegła informacja o tym, że po wielu latach oporu zgromadzenie Braci Miłosierdzia, kontrolujące sporą część szpitali i instytucji psychiatrycznych w Belgii, zapowiedziało, że zacznie dokonywać eutanazji osób chorych psychicznie. Do niedawna zgromadzenie stanowiło fundament oporu wobec zabijania przez lekarzy takich pacjentów, a jego przełożony generalny, brat René Stockman, był jednym z największych wrogów eutanazji. To się jednak zmieniło. Zarząd kontrolujący w Belgii instytucje Braci Miłosierdzia poinformował, że od teraz eutanazja będzie dokonywana także w ich instytucjach.

Zwycięstwo cywilizacji śmierci w Kościele

„Poważnie traktujemy beznadziejne cierpienia nie do zniesienia i prośbę pacjentów o eutanazję. Z drugiej jednak strony chcemy chronić życie i zadbać o to, by eutanazja była wykonywana tylko wtedy, gdy nie ma już rozsądnej możliwości wyleczenia pacjenta" – napisali przedstawiciele zgromadzenia na swojej belgijskiej stronie internetowej. O jakie osoby miałoby chodzić? Odpowiedź jest prosta: te ze schizofrenią, zaburzeniami osobowości, depresją czy autyzmem. I choć przełożony generalny zgromadzenia, z pochodzenia zresztą Belg, od razu sprzeciwił się tej decyzji, to jego sprzeciw nic nie zmienił, bowiem szpitalami zarządza rada złożona w większości ze świeckich, a ci okazali się być za eutanazją. – Chcemy, by nasi pacjenci mieli możliwość wyboru opcji: pro life albo eutanazji – mówił szef ciała zarządzającego szpitalami zgromadzenia Raf De Rycke. Jego zdaniem postawa taka nie jest sprzeczna z tym, czego naucza Franciszek, który mocno sprzeciwia się eutanazji. – Zaczynamy od tych samych fundamentalnych wartości: nienaruszalność życia jest dla nas ważna, ale nie jest ona dla nas wartością absolutną. W tej kwestii nadajemy na innych falach niż Rzym – mówi De Rycke.

To podejście znalazło poparcie także u – przynajmniej niektórych – belgijskich hierarchów. Biskup Johan Bonny z Antwerpii, który zresztą zaznaczył, że dokumentu Braci Miłosierdzia dopuszczającego do eutanazji nie czytał, podkreślił, że jego zdaniem i dokument, i postawa zakonników jest „zniuansowana". – Wyobrażam sobie, że kongregacja taka jak Bracia Miłosierdzia, która jest aktywna na całym świecie, może mieć trudności z zachowaniem takich samych standardów moralnych w różnych miejscach – mówił biskup Bonny. – Szczególnie bracia muszą wypracować *modus vivendi* w naszym społeczeństwie między medycznym punktem widzenia, moralnymi ocenami, opinią publiczną i otaczającą kulturą – przekonywał biskup. Ale to nie wszystko. Biskup Bonny podkreślił, że jest bardzo możliwe, iż zgoda Braci Miłosierdzia na zabijanie chorych jest bliska myśleniu belgijskich biskupów. – W kwestiach etycznych trudno, by wszyscy na ziemi mieli takie samo podejście. Kultura i mentalności są bardzo zróżnicowane, nie tylko w różnych zakonach i zgromadzeniach, lecz także wewnątrz Kościoła – powiedział.

Ta opinia, i to jest chyba w tej sprawie najbardziej bolesne, może być zresztą bliska prawdy. Tak się bowiem składa, że belgijscy biskupi potępili na przykład wykładowcę filozofii na katolickim Uniwersytecie w Louvain, który uznał, że aborcja jest zabójstwem, a wcześniej akceptowali sytuację, w której w szpitalach należących do wspomnianego uniwersytetu wykonywano nie tylko aborcję, lecz także eutanazję.

Zgromadzenie Braci Miłosierdzia zostało założone w 1807 r. przez księdza z Belgii Petrusa Jozefa Triesta. Bracia mieli żyć duchowością św. Wincentego à Paulo i opiekować się upośledzonymi i chorymi psychicznie, a także osobami starszymi z demencją.

Charyzmat i jego likwidacja

Taka postawa oznacza w istocie, że przynajmniej pewna część belgijskich hierarchów, a także instytucji, choć z nazwy pozostaje jeszcze katolicka, niewiele ma już w istocie wspólnego z Kościołem. I nie ma w tym nic zaskakującego, bowiem w tym kierunku Kościół w Belgii zmierza od dawna. Jeśli coś może martwić, to jedynie fakt, że zasłużona dla Kościoła instytucja, jaką jest zgromadzenie Braci Miłosierdzia, podejmując taką decyzję, w istocie wyrzeka się charyzmatu swojego założyciela, który chciał, by jego członkowie zajmowali się przede wszystkim osobami z demencją starczą i chorymi psychicznie.

Zgromadzenie to zostało założone w 1807 r. przez księdza z Belgii Petrusa Jozefa Triesta. Bracia mieli

żyć duchowością św. Wincentego à Paulo i opiekować się upośledzonymi i chorymi psychicznie, a także osobami starszymi z demencją. Konstytucje nowego zgromadzenia zostały zatwierdzone przez Leona XIII w 1899 r., kiedy zakon był już – przynajmniej w ojczystej Belgii – potęgą, bowiem liczył około tysiąca braci pracujących w 42 ośrodkach i zajmujących się ponad 6 tys. osób chorych psychicznie, a także 9 tys. sierot i dzieci z problemami. W tym czasie zgromadzenie było już jednak obecne także w innych krajach. W 1865 r. pierwsi bracia wyjechali do Kanady, w 1882 r. do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a w 1894 r. osiedlili się w Holandii. W XX wieku zgromadzenie, złożone wyłącznie z braci, rozpoczęło pracę w Kongo, Afryce Południowej, Rwandzie, Burundi, Indonezji, Indiach, Papui Nowej Gwinei, Pakistanie, we Włoszech, na Filipinach, a ostatnio także w Zambii i Etiopii. Wszystko to zaś w oparciu o belgijskie korzenie.

W samej Belgii zgromadzenie zresztą nadal jest potęgą, bowiem choć zaczyna mu już brakować powołań, to nadal prowadzi wiele szpitali (także takich mających pełne finansowanie państwowe), w których przebywa ponad 5 tys. osób chorych psychicznie. Państwo od wielu już lat próbowało zmusić organ prowadzący te ośrodki do tego, by zaczął on dokonywać eutanazji, ale zakonnicy, a także świeccy zarządcy, odmawiali. Nie oznacza to, warto to wiedzieć, że osoby przebywające w tych ośrodkach nie mogły zostać eutanazjowane. Mogły, ale... oznaczało to, że musiały zmienić ośrodek na niekatolicki. I właśnie to było kamieniem obrazy, za który ośrodki i szpitale Braci Miłosierdzia były karane grzywnami i karami. Teraz, wiele na to wskazuje, już nie będą, bowiem udało się je zmusić do dokonywana eutanazji.

To nie koniec historii

Decyzja ta wcale nie oznacza jednak końca sporu. Tak się bowiem składa, że już teraz przełożony generalny (z wykształcenia zresztą doktor psychiatrii) w bardzo gorzkim tekście zamieszczonym na łamach „Catholic Herald" nie tylko podkreślił, że decyzja belgijskiego zarządu jest „głęboko bolesna", lecz także zaznaczył, że sprawa nie zostanie pozostawiona sama sobie.

Jego zdaniem decyzja ta jest absolutnie nie do pogodzenia z etosem zgromadzenia i dlatego wezwał on do wycofania się z niej. – Od 200 lat Bracia Miłosierdzia i nasi pracownicy robili wszystko, aby towarzyszyć, leczyć, wspomagać pacjentów w najlepszy z możliwych sposobów – podkreślił brat. – Obecnie medycyna czyni ogromne postępy w leczeniu chorób psychicznych, a nawet gdy nie jesteśmy w stanie wyleczyć ich do końca, zawsze możemy towarzyszyć chorym – zaznaczył. Brat Stockman podkreślił, że przeprowadzanie eutanazji jest całkowicie niezgodne z kodeksem Braci Miłosierdzia i że przypominałoby spychanie w przepaść stojących nad nią chorych. Jego zdaniem decyzja organu zarządzającego szpitalami Braci Miłosierdzia jest „nielojalna, oburzająca i niedopuszczalna".

Uważa ponadto, że podtrzymanie tej decyzji miałoby złe konsekwencje prawne, bowiem mogłoby oznaczać, iż szpitale Braci Miłosierdzia przestaną być bezpiecznymi miejscami dla chorych. Dlatego, podkreśla brat Stockman, jedynym rozsądnym wyjściem jest... wycofanie się z tej decyzji i przywrócenie sytuacji całkowitej nienaruszalności życia ludzkiego. – Możemy mieć jedynie nadzieję i modlić się, że przekonanie o całkowitej nienaruszalności życia stanie się z powrotem jedyną dopuszczalną opcją. To jedyne podejście zgodne z charyzmatem naszej kongregacji. W ten sposób żył i taki sposób życia i posługiwania powierzył nam nasz umiłowany założyciel, sługa Boży Peter Joseph Triest – podkreślił brat Stockman.

A co jeśli tak się nie stanie? Prawdopodobnie zainterweniuje Stolica Apostolska. Już wiadomo, że Watykan wszczął dochodzenie w tej sprawie. Jakie są możliwe decyzje? Najbardziej ostrą, ale wcale niewykluczoną, jest odebranie szpitalom Braci Miłosierdzia w Belgii miana katolickich i zobowiązanie władz zakonnych do wycofania braci z ich wspierania. Czy do tego rzeczywiście dojdzie? Zobaczymy. Już teraz jednak widać, że prawdziwy charyzmat zgromadzenia przynajmniej w Belgii został poddany eutanazji. ■

Przełożony generalny Braci Miłosierdzia podkreślił, że przeprowadzanie eutanazji jest całkowicie niezgodne z kodeksem zakonu. Jego zdaniem decyzja organu zarządzającego szpitalami Braci Miłosierdzia jest „nielojalna, oburzająca i niedopuszczalna".

Piotr Lisiewicz

Warszawska Syrenka z San Francisco

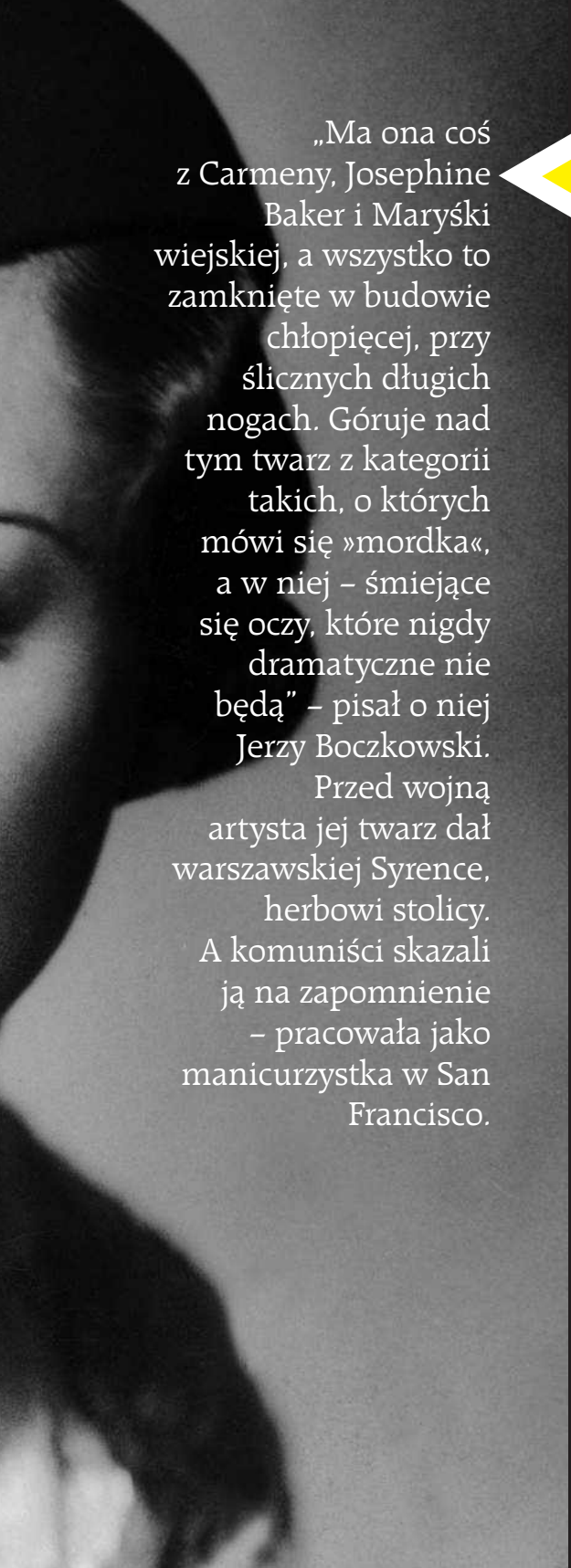

„Ma ona coś z Carmeny, Josephine Baker i Maryśki wiejskiej, a wszystko to zamknięte w budowie chłopięcej, przy ślicznych długich nogach. Góruje nad tym twarz z kategorii takich, o których mówi się »mordka«, a w niej – śmiejące się oczy, które nigdy dramatyczne nie będą" – pisał o niej Jerzy Boczkowski. Przed wojną artysta jej twarz dał warszawskiej Syrence, herbowi stolicy. A komuniści skazali ją na zapomnienie – pracowała jako manicurzystka w San Francisco.

fot. NAC

Na YouTube obejrzeć można dziś ocalały filmik reklamowy z udziałem Leny Żelichowskiej, na który patrzy się ze wzruszeniem, jakby było to wielkie filmowe dzieło. Aktorka z dumą zachwala w nim polską markę samochodową:

Gdy humor zły
Dokucza mi
Lub coś do głowy strzela,

Nie myślę kląć,
Bo bądź co bądź
Wiem, że mam przyjaciela...

I na mym wozie pierwszej klasy
Wyruszam sobie, hen w daleki świat
I niesie mnie przez wsie i lasy
Nasz Polski Fiat, nasz Polski Fiat.

Pędzę szczęśliwa i swobodna,
Bo niesie mnie za wichrem w ślad
Mój ścigły druh,
Ta marka niezawodna,
Ten 508 wóz, nasz polski Fiat.

Choć sławne nogi aktorki są zakryte, jej oczy, głos i duma z polskiej marki powodują, że to dziś nie reklama, a poezja.

Aktorka, z której oczu bije wesołość, mówiła jednak o sobie co innego. „Jakie lubię piosenki? Sentymentalne i melodyjne. Wesołych nie lubię, bo sama z natury nie jestem wesoła. Każdy wybuch radości znika we mnie tak prędko, jak nieoczekiwanie przychodzi. Jestem zdeklarowaną neurasteniczką... i na to nie ma żadnej rady" – zwierzała się na łamach pisma „Kino i Rewja dla Wszystkich" (1934, nr 10).

Ten paradoks da się chyba wytłumaczyć, śledząc losy artystki. Do tego, by przypomnieć Lenę Żelichowską, przymierzałem się od dawna, ale materiałów nie było za wiele. A tu nagle niespodzianka. W tym roku nakładem wydawnictwa Muza ukazała się książka Grzegorza Rogowskiego „Skazane na zapomnienie", a w niej szkic o Lenie Żelichowskiej. Szukając śladów po zagubionych w świecie polskich przedwojennych aktorkach, autor jeździł wszędzie. Tekst opieram w wielkiej części na jego ustaleniach.

Wśród piosenek Żelichowskiej, które ocalały i są dziś w Sieci, jest ta zatytułowana „A ja nic, tylko ty", czyli zabawny dialog pomiędzy nią a legendarnym Fryderykiem Jarosym:

„– Chodź do Adrii.
– Nie mam pieniędzy.

– To choć do kina.
– Nie mam ochoty.
– Nie pal tyle.
– Och!
– Nie pij wina
– Ach! [...]
– Kochasz mnie?
– Jak chorobę!
– A mnie nie pytasz?
– Bo mam chrypkę.
– A co piszesz?
– Testament!
– A co czytasz?
– Poradnik dla morderców!
Bo ona nic, tylko on!
A on nic, tylko S.O.S.!!!".

Tajemne ogniki

Grzegorz Rogowski pisze: „Gdy spotkałem się z jej synem Andrzejem w San Jose w Kalifornii, powiedział mi, że o jego ojcu wiadomo już właściwie wszystko. Matka natomiast to historia, którą trzeba opowiedzieć". Ojcem tym, czyli drugim mężem Żelichowskiej, był wybitny malarz Stefan Norblin.

Dzieciństwo Leny nie było łatwe. Jej matką była Henryka z domu Fronczyk, a ojcem Jerzy Michał Florian Żelichowski. „Matka nie pracowała, ojciec był buchalterem (księgowym) i współpracował w »Kurjerem Warszawskim«. Oboje wywodzili się z niższych klas społecznych. Mieszkali w Śródmieściu przy ulicy Marszałkowskiej 131. Była to niewielka, skromna kamienica czynszowa" – pisze Rogowski. Nie była oczekiwanym dzieckiem. „Mała Helenka niewiele czasu spędziła ze swoimi biologicznymi rodzicami. Gdy miała zaledwie dwa lata, oboje postanowili oddać ją innej rodzinie na wychowanie. Matce los córki był na tyle obojętny, że pierwszy raz spotkała się z nią dopiero po zakończeniu I wojny światowej" – czytamy.

Jako 8-letnia dziewczynka zaczęła uczęszczać do szkoły baletowej Piotra Zajlicha przy Teatrze Wielkim. Jej nauczyciel wspominał na łamach pisma „Światowid", że na początku wcale nie zapowiadało się, by mogła kiedykolwiek zostać gwiazdą: „Owszem, nogi miała zawsze bardzo długie i zgrabne. Ale ani śladu późniejszego temperamentu i werwy scenicznej. Gdy już była podlotkiem, także niczym szczególnym się nie wyróżniała. Była szczupła i dość wysoka, ale niepozorna i bezbarwna. Rysy – raczej brzydkie niż ładne. Dość pospolite. I wtedy jeszcze była dość pospolita i zamknięta w sobie. Nie cieszyła się sympatią koleżanek".

Ale zmiana o 180 stopni dokonała się dość wcześnie: „Aż tu nagle, gdy Lena miała lat – mniej więcej – szesnaście, zauważyliśmy wszyscy, że coś się w niej nagle przebudziło. Tańczyła raźniej i z większym zapałem. W oczach połyskiwały tajemne ogniki. Na ustach zjawiał się zalotny uśmiech. Więc stopniowo wysuwano ją do bardziej czołowych szeregów. Tańczyła już teraz z ogniem i impetem" .

Rżała i fikała jak młody źrebak

W 1929 r. mając zaledwie 19 lat, w wyniku konkursu trafiła do słynnego kabaretu Morskie Oko i rewii Andrzeja Własta. Wystąpiła w programie „Cała Warszawa". Reporter „Światowida" pisał o niej: „Na scenę wychodziła... nie: wpadała radosna młodość, pokazująca niezliczoną ilość zębów w szerokim, niekłamanym uśmiechu. Rżała i fikała jak młody źrebak i widać było, że jej samej robi to przyjemność, że ma potrzebę wyładowania się".

Po Morskim Oku był teatrzyk Wesoły Wieczór. Śpiewała wtedy „Dwie tęsknoty" z repertuaru Josephine Baker. Jak pisze Rogowski „utwór bardzo spodobał się publiczności. Tak bardzo, że Lena dostąpiła czegoś niezwykłego w realiach przedwojennej fonografii – jej głos uwieczniono na płycie gramofonowej!".

Potem były epizody w teatrze Kameleon i Operze Buffo. „Ten ostatni angaż stał się zresztą wdzięcznym tematem żartu pisma satyrycznego »Bocian«, które znając warunki warszawskich teatrzyków, pozwoliło sobie uszczypliwie donieść, że Lena Żelichowska będzie od tej pory zarabiała 5000 złotych miesięcznie. Oczywiście żaden, nawet największy teatr nie mógł zaproponować tak olbrzymich gaż" – czytamy w „Skazanych na zapomnienie".

W 1932 r. zaproponowano jej natomiast angaż w kabarecie Banda, co oznaczało dopuszczenie do elity kabaretowych aktorów. Kazimierz Krukowski w książce „Moja Warszawka" wspominał: „Fascynująca i egzotyczna uroda i wielki talent Leny zwracają uwagę prasy i publiczności. Jarosy angażuje ją do Bandy i daje jej do wykonania tekst Hemara »Na parkanie«. Żelichowska waha się, boi... przy Pogorzelskiej, Ordonce... twierdzi, że nie potrafi, że jest właściwie tylko tancerką, trochę pieśniarką. Jarosy nie ustępuje. Wreszcie Lena decyduje się... i zwycięża. Jej recytacje – monologi stają się prawdziwym teatrem, odegranym przez jedną aktorkę".

Pismo „Świat" (1932, nr 24) tak pisało o jej wykonaniu piosenki „Może tak, może nie": „Rewelacją pewnego rodzaju jest finezyjna, wycieniowana gra Leny Żelichowskiej, która szybko z tancerki i miłej piosenkarki przeistacza się w aktorkę dramatyczną".

Szpieg w masce

Marzyła o roli w filmie fabularnym. I to marzenie spełniło się, gdy zagrała agentkę polskiego kontrwywiadu w filmie Mieczysława Krawicza „Szpieg w masce",

w którym główną rolę grała Hanka Ordonówna. Komentowała wówczas: „Interesują mnie tylko role demonów. Czułabym się źle w roli naiwnej i ckliwej kobiety".

Jak stwierdza Rogowski, nie zdawała sobie wówczas sprawy, że tak zaszufladkowana zostanie przez reżyserów i scenarzystów. Irena Hradyska we wspomnieniu o niej opublikowanym w emigracyjnych londyńskich „Wiadomościach" wspominała: „W kilku przed wojną nakręconych polskich komediach filmowych odtwarzała role pretensjonalnych uwodzicielek przegrywających życiowe stawki, zepsutych kobiet pokonanych przez świeże i czyste anielice i zwyczajnych dziwek wielkomiejskich".

Po kilku latach sama Żelichowska żalić się będzie na to w piśmie „Kino" (1937 r., nr 25): „Kobieta-wamp, kobieta-demon, kobieta-szpieg i mnóstwo innych określeń tego typu przylgnęło do mnie jak rękawiczki i nie opuszcza ani na chwilę. W życiu, w filmie, na scenie, na ulicy, w kawiarni – wszędzie wlecze się za mną niby potwornych rozmiarów tren sukni, owo nieszczęsne powołanie. A ja? Nieprawda, ja nie jestem wampem; nigdy nie myślałam o tym, że los obdarzy mnie akurat takim genre bycia filmowego. [...] Nudzi mnie ten rodzaj ról filmowych, jakie są dotąd moim udziałem. Tak bardzo chciałabym zagrać kobietę z krwi i kości, kobietę o duszy tkliwej i pięknej, jak macierzyńskie uczucie, a nie te ekranowe lale bez serca, z papierowego nieprawdziwego zdarzenia".

Różnice pomiędzy Żelichowską na scenie a tą prawdziwą tak opisywała reporterka „Kina i Rewji dla Wszystkich" Ziuta Heymanówna: „Oczy – na scenie pełne złowrogiego blasku, ciskające sine błyskawice – w życiu? Łagodne, prawie dziecięce, bez »podmalowania«, trochę marzycielskie, najczęściej mile uśmiechnięte".

Irena Hradyska pisała zaś: „Niczego bardziej nie tępiła niż taniego zgrywania się, aktorstwa uprawianego w życiu, a także przesadnego trzymania się konwenansu".

„To jest jedno wielkie g..o"

Za sprawą swych nóg oraz granych przez siebie ról stała się obiektem westchnień wielu mężczyzn. Jak pisze Rogowski: „Kochali się w niej mężczyźni i chłopcy. Przychodzili do garderoby, błagali o chociaż jedną rozmowę. Niektórzy byli tak wytrwali, że stali się tematem krążących po teatrze anegdot".

Najzabawniejsze wspomnienie, dotyczące adwokata i komediopisarza Gustawa Beylina zachował Ludwik Lawiński w książce „Kupiłem: wspomnienia zza kulis": „Beylin, który bardzo Lenę adorował, odwiedził ją pewnego wieczoru w garderobie i zalał ją z miejsca potokiem wyszukanych frazesów i komplementów, przemycając od czasu do czasu jakieś miłe słówko francuskie, a całej tej gadaninie było tyle przesadnej emfazy i nudnej zarozumiałości chorego na zdobywczość donżuana, że znudzona Lena w pewnym momencie przerwała mu i powiedziała krótko: »To wszystko, co pan gada, to jest jedno wielkie g..o«. Niespeszony Beylin odpowiedział z miejsca: »To słówko w ustach pani nabiera zapachu«".

W końcu dokonała wyboru. 22 kwietnia 1934 r. wzięła ślub z 31-letnim kupcem Januszem Grzędzicą. Świadkami byli dwaj przemysłowcy, koledzy pana młodego. I okazał się to wybór mało trafny, bo małżeństwo szybko się rozpadło.

Ostatnia miłość

Gdy Eugeniusz Bodo zaproponował jej rolę w jego filmie „Czarna Perła", mówiła reporterowi „Kina": „Gram wampa, ale »pozornego«, bo w końcu okazuje się, że jestem dobrą dziewczyną. Rola jest ciężka, dramatyczna, ale świetna".

W 1935 r. na deskach Teatru Letniego grała w „Pięknej Helenie" razem z Adolfem Dymszą oraz w „Muzyce ulicy" z Marią Żabczyńską. Od 1935 r. dołączyła do teatru Fryderyka Jarosego Cyrulik Warszawski, gdzie występowała aż do 1939 r.

Recenzent „Kina" pisał: „Podziwiam jej ruchy, kocie – przedziwne, szybkie i pewne, podziwiam piękny, głęboki alt i wężowe, białe ramiona, którymi łapie powietrze jak oddech". Recenzent „Kurjera Łódzkiego", który zaznaczał, że nie oglądał Żelichowskiej przez trzy lata, tak opisywał jej artystyczny rozwój: „Między tamtą Żelichowską a Żelichowską z dzisiejszego »Cyrulika« jest olbrzymia przepaść. Wówczas reprezentowała ta nadzwyczajna artystka bodajże jedynie walory zewnętrzne. Dzisiaj jest to artystka o głęboko ugruntowanym talencie".

W 1937 r. artystka zatoczyła w swojej karierze koło – wróciła do Teatru Wielkiego. Jej nauczyciel na łamach „Światowida" pisał: „Była tu pionkiem, wróciła jako... królowa". Pojawiła się w operetce „Słońce Meksyku". Kazimierz Krukowski w książce „Moja Warszawka" wspominał: „Największym chyba dniem w życiu Żelichowskiej był jej występ w Teatrze Wielkim, w głównej roli w opero-operetce »Słońce Meksyku« w tym samym teatrze, gdzie właściwie tańczyła tak niedawno w kordebalecie. Po premierze ukochany jej profesor, długoletni dyrektor baletu Opery Warszawskiej, Piotr Zaljich, który uczył ją stawiać pierwsze kroki na scenie, jeszcze wczoraj łajał, karał i bił po łapach nieznośnego podlotka – przy wszystkich na scenie pocałował ją w rękę".

W latach 30. trwała dyskusja na temat herbu Warszawy, który w 1938 r. został oficjalnie ogłoszony jedynym obowiązującym. Jego autor zaprzeczał, jednak

Adam Słomczyński, kustosz Archiwum Miejskiego, potwierdził to, co dostrzegło wielu – nowa Syrenka miała twarz Leny Żelichowskiej.

Zagrała też w filmach „Barbara Radziwiłłówna" oraz „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie". Rogowski pisze: „Wykonała wtedy dwie piosenki: »Wspomnienie dzieciństwa« i »Są trzy słowa« – wprawiając swoją interpretacją w osłupienie wszystkich zebranych w atelier".

Gdy, jak dziś, posępnie wicher szepce,
Budzi się w mej duszy wspomnień moc [...]
Wszystko znikło, miotam się w udręce,
A dni życia są jak pusty kłos.
Tylko jeden ty i nikt, nikt więcej,
Lecz i ciebie zabierze mi los.

Te śpiewane wówczas słowa miały stać się niestety prorocze w jej życiu. Był jeszcze film „Granica", filmowa adaptacja powieści Zofii Nałkowskiej. Irena Hradyska pisała o jej roli: „Sama jednak nie była z siebie zadowolona, twierdząc, że jako kobieta wielkomiejska nie potrafiła zespolić się całkowicie z postacią młodziutkiej dziewczyny wiejskiej".

W filmie „Żołnierz królowej Madagarskaru" otrzymała z kolei główną rolę Kamilli. Film wszedł na ekrany już podczas niemieckiej okupacji, a aktorka nigdy go nie zobaczyła.

Wcześniej jednak przyszła ta wielka miłość. Lena odwzajemniła uczucia wybitnego malarza, portrecisty i plakacisty, sporo od niej starszego Stefana Norblina. Pytana przez dziennikarza, czy jest w nim zakochana, odpowiadała: „Przeżywam teraz moją największą, ostatnią miłość". I wyjaśniała: „Ostatnia miłość, jeśli istotnie jest ostatnią, będzie najwięcej emocjonalna; znajdzie się w niej wszystko, co się przeżyło w poprzednich miłościach: będzie najsilniejszą i najtrwalszą".

Indyjskie pałace

„Stanęła na balkonie niewykończonego domu, spojrzała w górę i zobaczyła, że niemiecki samolot leciał w jej kierunku. W samolocie był karabin maszynowy, wycelowany dokładnie w nią. Wbiegła do domu" – tak opowieści matki o początku wojny relacjonuje w „Skazanych na zapomnienie" syn Andrzej Norblin.

W zamieszaniu września 1939 r. zdołała ewakuować się wraz z mężem do Rumunii, stamtąd przez Turcję trafili do Indii. Wykazała przytomność umysłu, zabierając ze sobą sporo swojej biżuterii.

W Indiach prasa odnotowała, że do kraju tego przyjechał „słynny polski artysta Pan Stefan Norblin i jego żona". To miał być krótki postój, który zmienił się jednak w... pięć lat życia na Dalekim Wschodzie. Zachowały się zdjęcia Leny Żelichowskiej w mundurze, dającej występy dla polskich żołnierzy, którzy również tam trafili.

Początkowo żyli z oszczędności, które szybko zaczęły się kurczyć. Jednak „słynnemu polskiemu artyście" udało się dostać w 1943 r. zlecenie na udekorowanie wnętrz pałacu należącego do maharadży Sir Lakhdhirji Waghji wybudowanego w Morvi na północ od Bombaju.

Prace polskiego malarza wzbudziły podziw maharadżów, za którym poszły kolejne sukcesy – zlecenie na ozdobienia rezydencji Ramgarh w Patanie, która należała do maharadży Kamakshyi Naraina Sigha. W efekcie uznania prac powstałych w tych rezydencjach zaproponowano mu indywidualną wystawę w galerii Sir Cowasji Jehangir Hall w Bombaju.

Gdy mąż święcił sukcesy, żona czuła się nieco osamotniona, zostając w domu tylko z psem Felusiem. Myślała o macierzyństwie, ale były przeszkody zdrowotne – by mogła zostać matką, musiała przejść niebezpieczną operację. Zdecydowała się na nią. A potem na świat przyszedł długo oczekiwany syn Andrzej. „Zagłębiona po uszy w sprawy dziecinne i gospodarskie, nad podziw dobrze w tych obcych rolach dawała sobie radę" – wspominała Hradyska.

Podjęła w tym czasie decyzję, że do filmu już nie wróci. Chociaż ciągnęło ją do dawnego sposobu życia. Hradyska wspominała: „Czasem opanowującą ją na nowo radość życia wyładowywała w urządzaniu wieczoru wokalnego dla znajomych i przyjaciół. Występowała wtedy w toaletach zachowanych jeszcze z Warszawy i stwarzając w ten sposób atmosferę czasów pokoju, umożliwiała zapomnienie o nękających nas troskach".

Bardziej niż ktokolwiek z otoczenia przeżywała to, co działo się z Polską. „Jako dziecko Warszawy ciężko przeżyła powstanie. W tym czasie trudno było ją oderwać od mikrofonu. Udawało się to tylko lnianowłosemu Andrzejkowi, ale spełniwszy obowiązki macierzyńskie, powierzała dziecko śniadej piastunce, by czym prędzej przylgnąć uchem do aparatu. Słychać wtedy było między jednym a drugim zdaniem »speakera« wykrzyki Leny określające jej stanowisko wobec Niemców i ich sojuszników z Rosją na czele" – pisała Hradyska.

Denerwowało ją wszystko, co w innych okolicznościach mogłoby ją cieszyć: „Inni słuchacze, znużeni nie dającym się uchwycić odbiorem, często jeden po drugim wymykali się cichaczem na taras, by się zachłysnąć urokami tropikalnych wieczorów. Raz Lena, wykrywszy ich, wyskandowała: – Ach więc tu jesteście. Oszałamia was ten księżyc w pełni, ten Ocean Indyjski. A szlag by to trafił!".

Tymczasem mąż odnosił coraz większe sukcesy. Ostatnie i największe zlecenie jakie otrzymał, to była dekoracja wielkiego pałacu Umaid Bhawa. Był on wtedy jednym z największych pałaców na świecie, na który

składało się 347 pokoi. Norblin wykonał tam malowidła ścienne, portrety oraz wielkoformatowe kompozycje na płótnach. Zaprojektował też meble do pałacu. Zarobione pieniądze inwestowali w orientalne dywany i kosztowności.

Być może zostaliby w Indiach do końca życia, gdyby nie choroba syna. W rozmowie z Rogowskim opowiadał on: „Zachorowałem na malarię i o mało nie umarłem. Maharadża, który musiał być z moim ojcem w naprawdę dobrych stosunkach, posłał prywatny samolot do Londynu po leki. Nadal trwała wojna. Pamiętam, jak mama mi opowiadała, że gdyby leki dostarczono choćby godzinę później, mógłbym już nie żyć. Wtedy powiedziała: wyjeżdżamy najszybciej, jak to możliwe. Rodzice wiedzieli już, że Polska jest dla nich stracona. Mama powiedziała wtedy mojemu ojcu: jestem pewna, że chcę jechać do Ameryki i chcę, aby nasz syn wychowywał się w Ameryce".

Manicurzystka

22 sierpnia 1946 r. wsiedli w Bombaju na statek „General W. H. Gordon". Płynęli do Nowego Jorku, jednak musieli zejść z pokładu w San Francisco, gdyż w oceanie nadal było pole minowe. „Była akurat mgła i było bardzo chłodno. Po całej wilgoci i upale Indii, to była naprawdę spora odmiana" – wspominał syn. Kupili duży dom na wzgórzach San Francisco, a Lena przygarnęła czarnego kota i nazwała go Smokey. Stefan malował murale przedstawiające Dziki Zachód dla jednego z banków oraz murale w kilku kościołach.

Jak pisze Rogowski, ze względu na komunistyczne rządy w Polsce absolutnie nie brali pod uwagę możliwości powrotu do ojczyzny. „Ojciec kupił pierwszy telewizor w 1951 lub 1952 roku. Pamiętam, że siedzieliśmy z mamą i oglądaliśmy program o Polsce, gdy nagle ona zeskoczyła z kanapy i krzyknęła: to nasz dom! Ale nigdy nie słyszałem, żeby mówiła coś o powrocie" – wspominał syn.

Jak mówił, matka miała możliwość powrotu do filmu i amerykańskiego show-biznesu, przed wojną o jej rolach w polskich filmach pisał „New York Times". Ale uznała to za rozdział zamknięty.

Z czasem żyło się im jednak coraz trudniej, indyjskie dywany i diamenty okazały się być w Ameryce mniej warte, niż przypuszczali. Musieli sprzedać duży dom i kupić niewielki segment w szeregowcu.

Lena musiała znaleźć pracę. Poszła do szkoły kosmetycznej, a po uzyskaniu dyplomu zaczęła pracę w salonie kosmetycznym, zajmując się pielęgnacją paznokci. „Koleżanki z pracy bardzo polubiły Lenę. Ponieważ szybko poznały jej dramatyczną historię, nadały jej nawet urocze przezwisko. W salonie nazywano ją nie Leną, a Laną, na cześć Lany Turner, która była wówczas szalenie popularną gwiazdą filmową" – pisze Rogowski.

Życie płynęło spokojnie, aż do czwartku, 14 sierpnia 1952 r. Tego dnia Lena wróciła z pracy do domu, gdzie czekał na nią tylko syn. Chwilę potem zadzwonił telefon. „Intuicja mówiła mi, że stało się coś złego. Mama odsunęła słuchawkę od ucha i powiedziała: »Tatuś nie żyje«" – wspominał Andrzej.

Następnego dnia w gazetach pojawiły się dziesiątki tytułów o samobójczej śmierci znanego artysty z Polski. „Przyczyna śmierci Stefana J. Norbina, światowej sławy portrecisty, została dziś ustalona przez policję jako akt samobójstwa, spowodowany strachem przed ślepotą" – pisano. „Stefan był człowiekiem honoru i uświęconych tradycją zasad. Wolał śmierć niż stanie się ciężarem dla swojej ukochanej żony" – stwierdza Rogowski.

„Moja mama, która była dużo młodsza od ojca, naprawdę mocno go kochała. Wiem to, ponieważ dokładnie pamiętam, że zaraz po jego śmierci... nie wszedłem wtedy do pokoju, ale drzwi były otwarte i pamiętam jej szlochanie i łzy przez wiele dni. Płakała i cały czas powtarzała: Stefan, Stefan, Stefan!" – zapamiętał syn.

Jak mówił, po śmierci męża Żelichowska „cały swój wolny czas spędzała na martwieniu się o to, co się ze mną stanie, jeżeli jej zabraknie".

Pudełko cukierków

Nie związała się już z nikim innym, niewielu miała też przyjaciół. Paliła nałogowo papierosy i fatalnie się odżywiała. Próbowała związać koniec z końcem. Do nielicznych przyjemności należały wypady do kina.

To, jak żyła, obrazuje anegdotka, którą w „Skazanych na zapomnienie" przytacza syn: „Klientki zawsze dawały jej prezenty w okresie świąt Bożego Narodzenia. Ponieważ byliśmy wtedy naprawdę biedni, nie robiliśmy sobie wielu podarunków. Gdy mama wracała do domu z torbami pełnymi prezentów od klientów, to ja byłem tym, który pierwszy je otwierał. Cieszyła się, jeżeli znalazło się tam pudełko cukierków. Kochała słodycze. Gdy ja otwierałem pudełka, ona zawsze komentowała z poczuciem humoru, co chciała, a czego nie".

W czwartek, 28 sierpnia 1958 r., będąc w pracy, dostała zawału serca. Nie udało się jej uratować. Synem zajęli się zaprzyjaźnieni sąsiedzi, Waltersowie. Dali mu prawdziwy dom, wyrósł na wirtuoza gitary klasycznej.

Jej prochy miały zostać – jak sobie zażyczyła – rozrzucone w okolicach San Francisco. Ale tak się nie stało. Dlatego w 2012 r. Stefan Norblin i Lena Żelichowska pochowani zostali – za zgodą syna – na warszawskich Powązkach. „Polska jednak dalej istnieje i jestem dumny z mojego dziedzictwa i mojej narodowości" – powiedział podczas pobytu w ojczyźnie rodziców Andrew Norblin. ■

Ambicje Anioła, pracoholizm Dyzmy

Magdalena Złotnicka

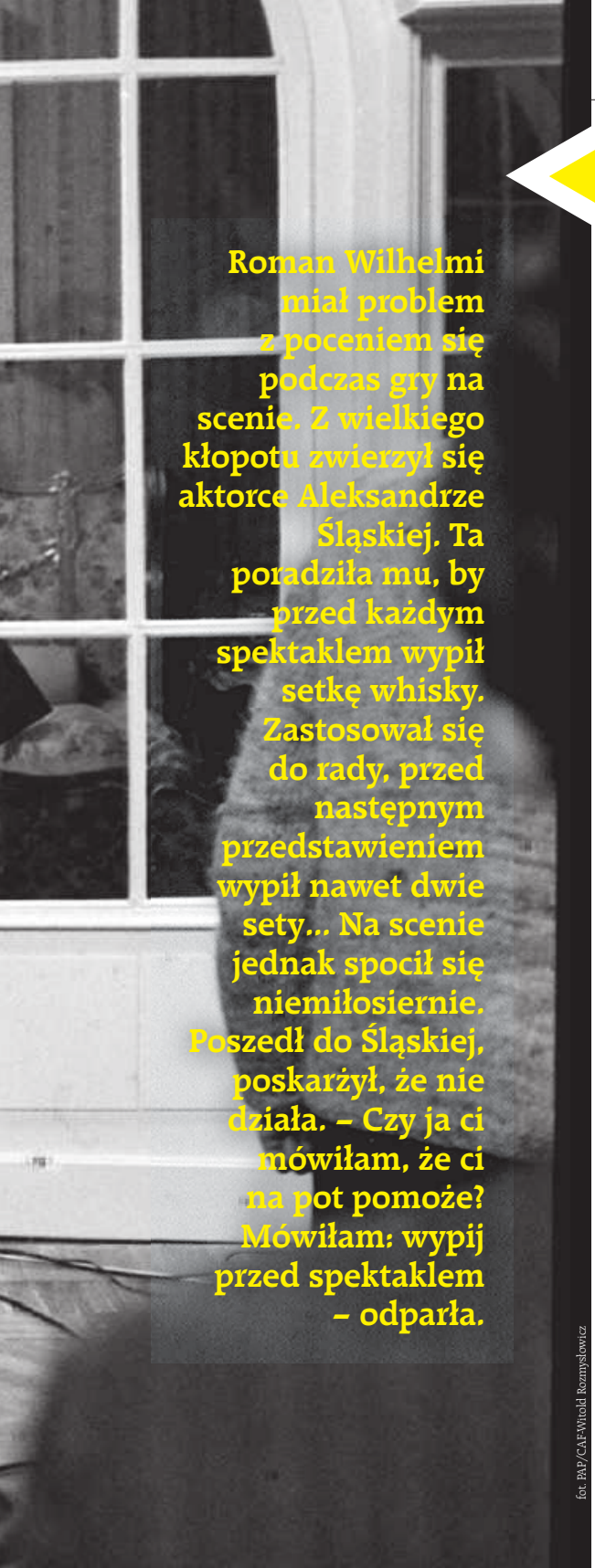

Roman Wilhelmi miał problem z poceniem się podczas gry na scenie. Z wielkiego kłopotu zwierzył się aktorce Aleksandrze Śląskiej. Ta poradziła mu, by przed każdym spektaklem wypił setkę whisky. Zastosował się do rady, przed następnym przedstawieniem wypił nawet dwie sety... Na scenie jednak spocił się niemiłosiernie. Poszedł do Śląskiej, poskarżył, że nie działa. – Czy ja ci mówiłam, że ci na pot pomoże? Mówiłam: wypij przed spektaklem – odparła.

fot. PAP/CAF-Witold Rozmysłowicz

Charyzmatyczny, czarnooki Nikodem Dyzma. Demoniczny dozorca Anioł z bloku przy Alternatywy 4. Olgierd z czołgu, do którego załogi należał sympatyczny owczarek Szarik. Setki ról teatralnych. Roman Wilhelmi zapisał się w polskiej kulturze złotymi zgłoskami. Jednocześnie do legendy przeszły opowieści o jego napadach złości, o tym, jak trudno się z nim pracowało, a także – mocno przesadzone opowieści o jego zamiłowaniu do alkoholu. Był postacią, której nie można było nie zauważyć. Albo się go kochało, albo nie znosiło. Z całą pewnością mógłby jeszcze więcej, gdyby nie dwie okoliczności: przedwczesna śmierć i to, że tam, gdzie innym, gorszym od niego szło gładko, on całe życie musiał coś komuś udowadniać. To powodowało złość, rodziło frustrację, zachęcało zarazem do jeszcze intensywniejszej pracy. Zaowocowało bujnym, trudnym, ciekawym życiem. Życiem złożonym na ołtarzu sztuki, choć Wilhelmi nie miał do niej wcale kapłańskiego stosunku. To życie opisał w książce „Roman Wilhelmi. I tak będę wielki" Marcin Rychcik, docierając do osób, które znały aktora i były z nim blisko. Bez tej świetnej, mądrze napisanej książki zapewne nie powstałby ten tekst. Z niej także pochodzi powyższa anegdota o Śląskiej.

Aparat, ząb i drut w ręce

Chociaż działalność artystyczna Romana Wilhelmiego była związana przede wszystkim ze stolicą, to warto przypomnieć, że aktor był rodowitym poznaniakiem. Na świat przyszedł na Wildzie, 6 czerwca 1936 r. Miał dwóch młodszych braci, Adama i Eugeniusza. Jak wspomina Adam Wilhelmi w książce Marcina Rychcika, jego najstarszy brat w dzieciństwie był bardzo żywy i trudny do opanowania. Lubił na przykład ciągnąć za kokardy na warkoczach ładne dziewczyny, które zresztą biegały do jego rodziców na skargę. Adam Wilhelmi opowiada także, że kupił sobie rower, a potem wraz z Romkiem jeździł na nim „na czas" dookoła konsulatu amerykańskiego. Starszemu z braci zależało na wygranej do tego stopnia, iż wjechał w końcu wprost w samochód. Jemu wprawdzie nic się nie stało, za to rower był całkowicie zniszczony. Jest oczywiste, że takie wybryki nie mogły podobać się rodzicom. „Mnie ratowało to, że byłem najmłodszy, ale Romek miał z tatusiem trudne rozmowy. W końcu rodzice postanowili wysłać braciszka do szkoły z internatem w Aleksandrowie Kujawskim. Od teraz tym diabłem zajęli się księża salezjanie" – mówił Adam.

To właśnie we wspomnianej szkole Roman Wilhelmi przeżył swoje pierwsze doświadczenia aktorskie. Rolę miał co prawda dość nietypową i z całą

pewnością niewymagającą jakiegokolwiek kunsztu aktorskiego: zagrał małego Jezusa, w dodatku noszonego w koszyku. Jednak to wystarczyło, by porzucił plany zostania marynarzem lub lotnikiem (o których to marzeniach wspominał w rozmowie z „Gazetą Robotniczą" w czerwcu 1991 r.) i zdecydował się na to, by być aktorem.

Matka Wilhelmiego w filmie dokumentalnym TVP Poznań zatytułowanym „Nie pasuje do ciebie ta śmierć" wspomina z kolei, jak piętnastoletni wówczas Romek, nie mówiąc nic nikomu, wystartował w konkursie recytatorskim poznańskiego radia. Gdy rodzice wrócili z teatru do domu, niespodziewanie znaleźli w pokoju syna rosyjski aparat fotograficzny. Postanowili więc go obudzić, by dojść, jak wszedł w jego posiadanie. Ten jednak wrzasnął tylko: „Wygrałem!". Aparat zresztą bardzo szybko zgubił.

Wilhelmi związał z aktorstwem swą edukację – chodził do szkoły reżyserii i inżynierii teatru w Poznaniu, po maturze zaś, w roku 1954, przystąpił do egzaminu do szkoły aktorskiej zorganizowanego w poznańskim Teatrze Polskim. Jak opowiadał „Trybunie Opolskiej" w październiku 1974 r., przed samym egzaminem rozbolał go ząb i potwornie spuchła mu twarz. Zdecydował się jednak nie poddawać i choć był opuchnięty, wyrecytował „Grób Agamemnona", dzięki czemu załapał się na obóz przygotowawczy. Potem były egzaminy w Warszawie, opuchlizna zdążyła zejść, a komisja egzaminacyjna była Wilhelmim zachwycona. Przyczepił się do niego jedynie Adam Hanuszkiewicz, który uważał, że aktor powinien być znacznie wyższy.

Problemy z zębem były jednak niczym w porównaniu z tym, co stało się po pierwszym roku studiów w PWST. Wilhelmi jadąc na rowerze, uległ tak poważnemu wypadkowi drogowemu, że zachodziła obawa, iż amputują mu rękę. Chociaż ostatecznie udało się ją ocalić, do końca życia nie mógł jej podnieść powyżej barku. „Długo nie mógł wyprostować ręki, wewnątrz miał wmontowaną metalową sztabę. Później perfekcyjnie operował chorą ręką, dla niepoznaki ogrywał ją na wiele sposobów" – mówi Adam Wilhelmi w książce Rychcika. Znajduje się też w niej opowieść Igi Cembrzyńskiej o tym, że apodyktyczny, złośliwy i zarazem uwielbiany przez studentów profesor Aleksander Bardini pokpiwał z Wilhelmiego, zarzucając mu braki intelektualne. I choć ewidentnie nie była to prawda, opinia taka przez lata była ferowana przez ludzi nieżyczliwych aktorowi.

Czekając na rolę

W czasach studenckich Wilhelmi i jego znajomi wiedli bujne pod względem towarzyskim, ale zarazem biedne życie. Henryk Boukołowski w rozmowie z Rychcikiem opisuje je tak: Wilhelmi potrafił wpaść do pokoju w akademiku na Lipińskiej, wrzasnąć z poznańska: „Dajcie skibkę!", a potem całe towarzystwo wypadało na miasto. Aktor miał nawet wypracowaną metodę na wejście do Kameralnej: wraz z kolegą pożyczali stówę, a następnie przyczepiali się do pijącej elity, w której bywali Jan Himilsbach czy Marek Hłasko. W czasach uczelnianych Wilhelmi wykazał się niesubordynacją. Mimo że studentom całkowicie zakazywano grania bez zgody władz szkoły, dał się zaangażować Bohdanowi Korzeniewskiemu do malutkiej rólki w przedstawieniu w Teatrze Polskim. „Miałem problemy w szkole, ponieważ otwarcie mówiłem, że ja kocham siebie w tym zawodzie. Nie kocham teatru ani filmu. Lubię to. Urodziłem się po to, by grać duże rzeczy. Dlatego chcę być aktorem. Trzeba mieć na to siłę i ja ją mam" – mówił w 1979 r. w audycji radiowej „Portret słowem malowany".

Skończył szkołę aktorską w 1958 r. Miał jechać na Wybrzeże – do Gdańska, do teatru Zygmunta Hübnera. Jednak Bardini, który objął stanowisko dyrektora Teatru Ateneum, zażądał, by właśnie u niego pozostali wszyscy absolwenci, także Wilhelmi. „Zapytałem tylko – gdzie będę mieszkał? Zakrzyczano mnie, że choćby pod mostem" – mówił aktor „Dziennikowi Zachodniemu" w 1990 r. Jak wynika z relacji Henryka Łapińskiego, Wilhelmi co prawda nie wylądował pod mostem, ale niewiele lepiej. Zamieszkał w teatrze, w pomieszczeniu usytuowanym nad główną sceną, gdzie znajdowały się sztankiety, urządzenia wentylacyjne i setki kabli.

Jeszcze w czasach studenckich poznał swoją przyszłą żonę Danutę. Szczególne to wydarzenie miało miejsce w stołówce wspólnej dla Wydziału Dziennikarstwa, który kończyła Danuta, i dla studentów PWST. „Nosiłam jeszcze wówczas warkocz i byłam dziewczyną okropnie nieśmiałą. Romek natomiast był czarujący, zabawny, ale wydawał mi się chłopcem zupełnie niepoważnym. Toteż przez dłuższy czas opędzałam się przed nim jak mogłam, a w końcu zakochałam się" – opowiadała Rychcikowi była żona aktora. Pobrali się w 1958 r., jednak na wspólne zamieszkanie nie było szans. Wilhelmi mieszkał w pracowni krawieckiej Teatru Ateneum, jego żona zaś w różnych wynajmowanych pokojach. Potem oboje umieścili się w teatralnej maszynowni, która miała tę zaletę, że mogli, nie wychodząc z domu, oglądać wszystkie przedstawienia, mieściła się bowiem wysoko nad sceną teatralną.

Ten czas był dla Wilhelmiego trudny; ponieważ dyrektor Bardini za nim nie przepadał, obsadzał go w drugo-, a nawet trzecioplanowych rolach. Jedy-

nym „wyróżnieniem" z tamtego okresu była postać Stanleya w „Tramwaju zwanym pożądaniem" Tennessee Williamsa w 1959 r. Spektakl reżyserował sam Bardini.

Aktor nie odnajdował się w atmosferze intryg i kłótni teatralnych. Boukołowski wspomina, że Wilhelmi zwyczajnie zamknął się w sobie. A także, że był „pozbawiony wszelkiego łajdactwa". Henryk Talar w rozmowie z Rychcikiem przytacza zaś anegdotę dowodzącą egocentryzmu Wilhelmiego. Wystawiano wówczas „Ryszarda III" w reżyserii Jacka Woszczerowicza, który nakazał aktorom mocną charakteryzację. „Ten kurdupel każe mi przyklejać wąsy, brodę i jeszcze do tego jakieś bokobrody. Ja rozumiem, że aktor musi, ale po chuj mi ta broda, kto Romusia rozpozna?" – bulwersował się Wilhelmi.

Na kolejną znaczącą rolę musiał czekać do 1961 r. Wówczas zagrał Murzyna w sztuce „Murzyni" Jeana Geneta. W recenzjach chwalono jego dobre aktorstwo, został wreszcie zauważony. Niestety, jak podaje Rychcik, po kilku tygodniach przedstawienie zeszło z afisza.

Zaczęła się także przygoda Wilhelmiego z filmem, zagrał zbuntowanego byłego szofera w „Wianie" Jana Łomnickiego. Pierwsza żona aktora wspomina anegdotę z czasów, gdy robiono ten film. Otóż kiedy kręcono plenery nad Liwcem, cała ekipa mieszkała w jakichś wiejskich chałupkach, a po zdjęciach spotykała się w równie przaśnej knajpie i robiła to, co zazwyczaj robi się w knajpach: waliła wódę. Danuta dojechała do męża i postanowiła – korzystając z tego, że ma wolne – zobaczyć, jak to jest się upić (wcześniej miała mało doświadczeń z alkoholem). W ramach sprawdzania wlała w siebie ćwierć litra ciepłej wódki. Wystarczyło. O ile w knajpie było jeszcze zabawnie, o tyle w domu zaczęły się sensacje żołądkowo-alkoholowe. Mówiąc wprost, żona aktora wymiotowała jak kot. A Wilhelmi czule się nią opiekował, mówiąc: „Rzygaj dziecinko, rzygaj. Zaraz ci będzie lepiej".

Kariera aktora stopniowo się rozwijała, jednak jak wynika z opowieści właściwie wszystkich osób wypowiadających się w książce Rychcika, ten pierwszy okres, kiedy to inni, mniej zdolni, wypływali na szerokie wody, a Wilhelmi – bardziej od nich pracowity, musiał czekać na wartościowe role, jakoś zaciążył na jego osobowości: nieustająco odczuwał potrzebę pokazania, że jest dobry, najlepszy, że potrafi. Pracował nad granymi postaciami do upadłego, zamęczał wręcz reżyserów. Zrobienie kariery utrudniał mu jednak charakter. „Często nieświadomie zrażał do siebie ludzi. Czynił tak albo z głupoty, albo z braku rozeznania sytuacji [...] Trzeba go było brać z całym dobrodziejstwem inwentarza lub odejść" – wspominała pierwsza żona.

Opowiadała także o tym, jak w końcu dorobili się mieszkania. Otóż ekipa Ateneum jechała z „Tramwajem" do Paryża, ale miała problem z wyjazdem, bo Wilhelmiemu nie chciano wystawić paszportu. No bo przecież nie można być zameldowanym w teatrze. Zrobił się skandal, paszport ostatecznie wystawiono. A małżeństwo otrzymało mieszkanie przy ulicy Chełmskiej.

Z tych czasów pochodzi jeszcze inna anegdota. Podczas jednej z pijackich nocy aktor kazał dzwonić teatralnemu portierowi do swojej żony i poinformować ją, że Roman znajduje się w szpitalu. Ten posłusznie wykonał telefon. Żona zapytała, w którym szpitalu. – Na „Szolcu" – odpowiedział domniemany lekarz. Po gwarze (każdy powiedziałby „Solcu") został rozpoznany. Wściekły Wilhelmi mówił potem: „Źle go obsadziłem".

Jeden pancerny i fiordy

Jak to często bywa w przypadku sztuki, rozpoznawalność i uznanie przyszły do Wilhelmiego za sprawą serialu, który uchodzi dziś za kultowy, choć pod względem artystycznym stał na poziomie średnim. Chodzi o „Czterech pancernych i psa", w którym zagrał jednego porucznika Olgierda. Jego postać – dowódca czołgu, w cywilu meteorolog, a poza tym potomek Polaków zesłanych na Syberię przez cara – ginie na końcu pierwszej serii serialu, na Pomorzu, niedaleko Gdyni. Rychcik podaje, że twórcy zastanawiali się nad wskrzeszeniem Olgierda, ale Wilhelmi odmówił. Wyszło mu to zresztą na dobre. Janusz Gajos czy Franciszek Pieczka przez długi czas musieli zmagać się z zaszufladkowaniem. Zostawmy jednak pancernych w spokoju, większość czytelników zapewne i tak kojarzy ten pean na cześć polsko-radzieckiego braterstwa broni. Warto za to zwrócić uwagę na rolę tytułową w norweskim dramacie narodowym „Peer Gynt" Henryka Ibsena w reżyserii Macieja Prusa. Chociaż Rychcik podaje, że początkowo polscy recenzenci nie wpadli w euforię, to sztukę docenili Norwedzy, a spektakl dostał zaproszenie do Bergen na tamtejszy Festiwal Teatralny. Prus w rozmowie z Rychcikiem wspomina o panu Mue – szarej eminencji świata norweskiej kultury. Otóż rzeczonego Mue polskie przedstawienie zupełnie nie interesowało. Jednak kiedy je zobaczył, po zakończeniu wszedł na scenę i stwierdził, że „polski teatr musiał przyjechać tutaj, by Norwegowie zrozumieli »Peer Gynta«" i przeprosił za poprzednią niechęć. Mue zabierał głos bardzo rzadko, więc było to tym bardziej

niezwykłe. Jedna z gazet zamieściła ogromne zdjęcie Wilhelmiego z podpisem „zapamiętajcie tę twarz!!!".

W następnych latach Wilhelmi nadal grał na deskach Ateneum. Jak czytamy w portalu culture.pl, stworzył wiele niezapomnianych kreacji, w tym m.in. prokuratora Scurvy w dramacie Witkacego „Szewcy", Pozza w „Czekając na Godota" Samuela Becketta czy Mefistofelesa w „Tragicznych dziejach doktora Fausta" Christophera Marlowe'a.

Rok 1975 zaowocował z kolei wybitnymi rolami filmowymi: bandyty Pochronia w filmie Waleriana Borowczyka „Dzieje grzechu" na podstawie powieści Stefana Żeromskiego oraz kelnera Fornalskiego w „Zaklętych rewirach" Janusza Majewskiego. Zwłaszcza ta druga postać wiele mówi o sposobie grania czy też raczej może wręcz istnienia Wilhelmiego w filmie. Z postaci, która mogłaby być po prostu płaskim sadystą, stworzył kreację kogoś, kto jest agresywny dlatego, że to daje mu jedyną szansę na przetrwanie. Jednocześnie lata łykania doświadczeń gorzkiego zawodu kelnera sprawiły, że Fornalski jest postacią głęboko nieszczęśliwą, tragiczną. Duet, jaki stworzył z Markiem Kondratem, grającym młodego kelnera Boryczkę, to aktorstwo najwyższej klasy.

Warto zresztą zauważyć, że chociaż Wilhelmi bardzo wiele wymagał od swoich scenicznych partnerów, nie znosił u nich lenistwa, dyletanctwa i braku przygotowania, co potrafił akcentować bardzo gwałtownie, to umiał też docenić niewątpliwy talent. Grażyna Barszczewska wspomina w książce Rychcika, że kiedy grała wraz z aktorem w spektaklu „Dwoje na huśtawce", to on był tak zachwycony jej rolą, że powiedział jej najbardziej niecodzienny komplement: „Grażyna, ty... ty chuju". Nawet dziś, gdy się to czyta, dobrze można zrozumieć uczucia aktora: podziw, zazdrość, sympatię i zarazem ogromną życzliwość zawartą w tym komplemencie.

Sztuka wypiera wszystko

W 1967 r. rozpadło się pierwsze małżeństwo Wilhelmiego. Jego żona wspomina pewien epizod. Kiedy nie byli już razem, on zadzwonił do niej, pytając, czy może się wprowadzić. Chodziło o to, że miał dziewczynę, która bardzo nalegała na zalegalizowanie z nim związku. Chciał się wprowadzić do Danuty, by tamta „go nie dorwała". Iga Cembrzyńska z kolei wspomina, że Wilhelmi nie narzekał na brak powodzenia u płci przeciwnej, a do tego sam był bardzo kochliwy. Jedną z takich miłości była Iwona Bielska. „Mój dziadek pracował jako księgowy w Wytwórni Filmów Oświatowych. Któregoś dnia tuż po egzaminach w Krakowie zapytał, czy chciałabym zarobić kilka groszy. Pamiętam pierwszy dzień. Wchodzę do wielkiej stołówki, w oddali siedzi z reżyserem Roman Wilhelmi, był już wtedy bardzo znanym aktorem. Zobaczył mnie, wstał i tak został" – opowiadała Bielska „Wysokim obcasom", dodatkowi do „Gazety Wyborczej". Dodała także, że ukochany potrafił fundować jej niezłą huśtawkę emocjonalną. Dzwonił na przykład do akademika, gdzie wówczas mieszkała, i mówił, że skoczy, jeśli ona nie przyjedzie. Wówczas wsiadała w taryfę i jechała. Rozstali się po „dwóch czy trzech latach".

> Ten pierwszy okres, kiedy to inni, mniej zdolni, wypływali na szerokie wody, a Wilhelmi – bardziej od nich pracowity, musiał czekać na wartościowe role, jakoś zaciążył na jego osobowości: nieustająco odczuwał potrzebę pokazania, że jest dobry, najlepszy, że potrafi.

Drugą żoną aktora została węgierska tłumaczka Marika Kollar, którą poznał, gdy z „Niech no tylko zakwitną jabłonie" Agnieszki Osieckiej zespół teatralny wyjechał do Budapesztu i Sarajewa. Węgierka sprowadziła się dla niego do Polski. Urodził się im syn Rafał. Małżeństwo rozpadło się jednak, a w 1976 r. uzyskali rozwód. Jak podaje Rychcik, Wilhelmi po rozwodzie przestał utrzymywać rodzinę, a w 1981 r. Marika z dzieckiem wróciła na Węgry. „Nie było w nim potrzeby uduchowionych zwierzeń, opowiadań o czasie przeszłym [...] nigdy o tym nie mówił, bo też nigdy się nad sobą nie rozczulał, ale wiem, że jego pociąg do trunków wynikał z nie do końca szczęśliwego życia w rodzinie" – mówił Rychcikowi Henryk Talar.

Grochowiak poranny, Dyzma i Anioł

Skoro już mowa o trunkach, to nie sposób nie wspomnieć o roli Alfa w „Lękach porannych" Stanisława Grochowiaka w reżyserii Tomasza Zygadły, zrealizowanych dla Teatru Telewizji. „Ciemne wnętrze wypełnione kalekimi kadłubami lalek. Atmosfera osaczenia, za-

mknięcia w mrocznym kręgu, z którego nie ma już wyjścia. Uwięziona w ponurej przestrzeni postać mężczyzny. Jego twarz, pełna napięcia, niepokoju, bólu" – czytamy na stronie internetowej www.teatrtelewizji.tvp.pl. Ta twarz to właśnie oblicze Wilhelmiego.

Kolejna niezapomniana kreacja to zastępstwo. W 1977 r. Zygmunt Hübner wystawił „Lot nad kukułczym gniazdem". Na początku w McMurphy`ego wcielił się Wojciech Pszoniak, później zastąpił go Wilhelmi.

W świadomości społecznej twarz aktora na zawsze pozostanie jednak twarzą Nikodema Dyzmy, bohatera serialu Jana Rybkowskiego na podstawie powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Co ciekawe, Wilhelmi początkowo nie chciał zgodzić się na udział w przedsięwzięciu, raz odmówił. Po raz kolejny zaś zgodził się tylko dlatego, że Maciej Domański (który o całej historii opowiada w rozmowie z Rychcikiem) zagrał mu na ambicji, mówiąc, że znaleźli już innego odtwórcę roli, Jerzego Stuhra. Oczywiście był to blef, niemniej jednak Wilhelmi dał się namówić. „Wilhelmi nie uciekając całkiem od karykaturalnych tonów, odkrył jednak w tytułowym łajdaku, awansującym dzięki przypadkowi i ludzkiej głupocie, kogoś zupełnie innego. W mistyfikatorze rozpoznajemy chwilami szarego, zgnębionego przez życie człowieka, który próbuje się »odkuć« za wszystkie klęski i upokorzenia" – recenzował Krzysztof Demidowicz na łamach „Filmu" w 1977 r.

Sam aktor przyznawał, że miał z rolą Dyzmy problem. „Nie chciałem powtórzyć karykatury, którą w latach pięćdziesiątych – zresztą znakomicie – na ekranie zagrał Adolf Dymsza, zachowując ten właściwy mu dystans i urok. Musiał być to Dyzma bardziej prawdziwy, osadzony w epoce" – opowiadał „Dziennikowi Zachodniemu" rok przed śmiercią.

Domański wspomina, że roli w serialu gratulowali Wilhelmiemu dygnitarze państwowi, a premier Jaroszewicz wziął go pod rękę i zapytał, czy nie potrzebuje mieszkania. Aktor stwierdził, że nie, bo ma mieszkanie. Nie chciał też talonu na samochód, bo miał samochód. „Nie sądzę, by się brzydził. Po prostu naprawdę uważał, że mieszkanie i samochód posiada" – mówił Rychcikowi Domański.

Na planie serialu o Dyzmie poznał script girl Lilianę Kęszycką. Pod jej wpływem uspokoił się. „Zjawiła się Liliana [...] wiedziałem, że to ona go usidli" – opowiadał Rychcikowi przyjaciel aktora Tomasz Zygadło.

Aktor jest pamiętany także jako dozorca Stanisław Anioł z serialu „Alternatywy 4" Stanisława Barei, będącego absolutnym pastiszem na rzeczywistość Polski Ludowej. Kreowany przez niego bohater początkowo był kierownikiem Wydziału Kultury Miejskiego Komitetu PZPR w Pułtusku. W wyniku awansu został gospodarzem domu w bloku przy ul. Alternatywy 4 na warszawskim Ursynowie. Korzystając z funkcji, zaczął zastraszać lokatorów, a także zmuszać ich do udziału w czynach społecznych, licznych zebraniach, a nawet próbach chóru osiedlowego. Robił to, chcąc się wykazać i awansować. Ostatecznie, dzięki przypadkowi, ściągnął do „swojego" bloku światową delegację burmistrzów, by pochwalić się osiągnięciami. Udręczeni lokatorzy korzystając z okazji, dogadali się między sobą i zamienili popisowe wystąpienie Anioła w totalną klapę. Aparatczyk mimo to osiągnął sukces. Ostatecznie został kierownikiem osiedla.

Rak, w którego nie wierzył

Śmierć zabrała aktora 3 listopada 1991 r. „To był rak wątroby z przerzutami do płuc. Kiedy byłem u Romka w szpitalu na trzy dni przed jego śmiercią, nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Pamiętam, że dzwonił do Francji, by załatwić sobie angaż. Chciał osiąść w Paryżu – to były takie czasy, byli tam już i Pszoniak, i Seweryn. W kalendarzu wciąż notował daty spotkań" – opowiadał „Super Expressowi" brat Wilhelmiego.

Z kolei Grażyna Barszczewska w rozmowie z Rychcikiem wspomina, że kiedy Wilhelmi trafił do szpitala i czekał na badania, skurczony z bólu i z opuchniętą wątrobą, jeden z lekarzy żartem powiedział mu: „no i dosięgło Pana, Panie Wilhemi", aktor odparował: „Pana też dosięgnie".

Nie chciał poddać się śmierci. Wierzył, że jeszcze wiele przed nim. Miał plany i ambicje, których już nie udało się zrealizować. Pochowano go na cmentarzu w Wilanowie. Na pogrzebie pojawiły się tłumy wielbicieli i trochę kumpli, zebranych na różnych etapach życia. „I szkoda tylko, że nikt z aktorów, nikt z ZASP-u nad jego trumną nie powiedział kilku pożegnalnych słów. Jeszcze się go bali, bo przez całe swe życie z całych sił »uderzał« w ich małość" – mówił Talar Rychcikowi.

O Wilhelmim trzeba pamiętać. Nie tylko dlatego, że był wybitnym aktorem, lecz także – a może przede wszystkim – dlatego, że jego życie to modelowa wręcz opowieść o losach jednostek wybitnie zdolnych, które nie godzą się na lizusostwo. Które brzydzą się załatwianiem sobie czegokolwiek i wdzięczeniem się do przełożonych. Które wreszcie głośno i wyraźnie nie boją się mówić tego, co myślą, ale swoją pracą, oddaniem zawodowi i talentem udowadniają, ile są naprawdę warte. Takie jednostki zawsze będą miały ciężej. Zawsze będą patrzyły z rozczarowaniem na łatwą drogę śliskich karierowiczów. Banalna prawda, że człowieka powinno oceniać się przez pryzmat talentu i nakładu pracy jest, niestety – dziś także – bardzo mocno zapomniana. ■

1

Dariusz Jarosiński

SZKIC DO PORTRETU WILEŃSKIEJ LEGENDY

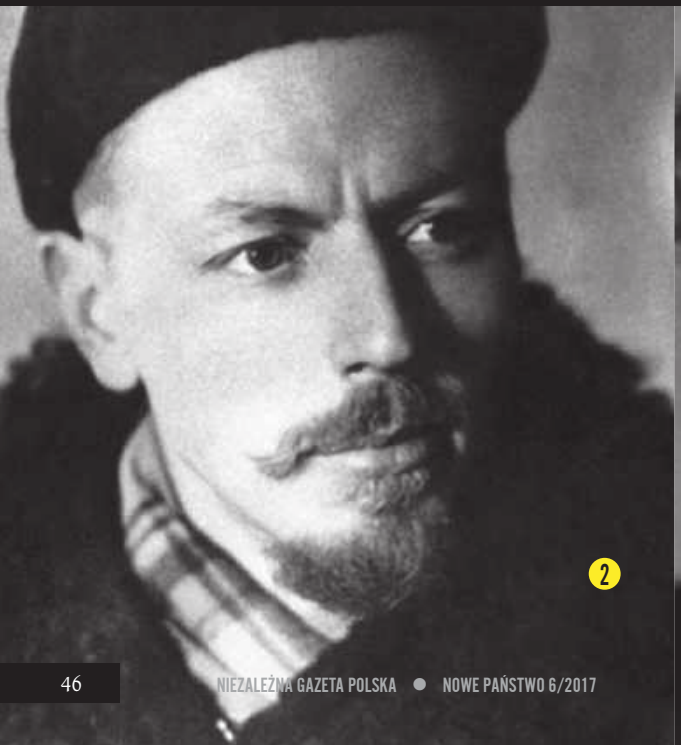

2

3

Obdarzony został przez Boga wieloma talentami, z których korzystał jak najlepiej w służbie ojczyźnie i bliźnim. Trudno zliczyć, ilu ludziom uratował życie. Wszyscy jego najbliżsi współpracownicy, a także ci, którzy znają jego losy, mówią w sposób zgodny: to jest legenda wileńskiej konspiracji, człowiek wybitny, święty.

Stanisław Kiałka „Bolesław" nie walczył z bronią w ręku, nie brał udziału w brawurowych akcjach zbrojnych, nie zginął w boju. Przed wojną był jezuickim klerykiem, we wrześniu 1939 r. uzyskał zgodę władz zakonu na walkę z okupantem. Oficer Armii Krajowej, siedmiokrotnie aresztowany, nigdy nie dał się złamać. Łagiernik, skazany na katorgę w Workucie w sierpniu 1945 r., wrócił do kraju jedenaście lat później. Historyk prof. Piotr Niwiński, najlepszy znawca wileńskiego podziemia, ocenia wileńską komórkę „Legalizacji" kierowaną przez Kiałkę, jako najbardziej profesjonalną w Polskim Państwie Podziemnym, która uratowała wolność i życie tysiącom ludzi.

Cholernie ważna postać

Stanisław Kiałka urodził się w 1911 r. w miejscowości Słupia Kapitulna w Poznańskiem. Był synem powstańca wielkopolskiego. W 1928 r. wstąpił do zakonu jezuitów w Kaliszu. Kształcił się w Pińsku i Krakowie. W 1937 r. podjął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. We wrześniu 1939 r. zamienił habit na mundur żołnierski i poszedł jako ochotnik na front. Znalazł się w szeregach kompanii sanitarnej, walczył pod Lwowem. Szczęśliwie uniknął niewoli. Po powrocie z kampanii wrześniowej do Wilna jego głównym celem już do śmierci (w 1980 r.) pozostała niezłomna walka o odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Do pracy konspiracyjnej zaangażował Stanisława Kiałkę ksiądz doktor jezuita Kazimierz Kucharski „Szczepan", bo tak się złożyło, że wileńską konspirację organizowali ojcowie jezuici. Otrzymał zadanie od Komendy Okręgu Wileńskiego Służby Zwycięstwu Polski (przekształconej później w Związek Walki Zbrojnej, a od lutego 1942 r. w Armię Krajową) zorganizowania i prowadzenia komórki legalizacji osób. „Legalizacja", bo tak nazywano tę komórkę, podrabiała dokumenty osobowe dla ludzi podziemia. Po wrześniu 1939 r. wielu oficerów, żołnierzy Wojska Polskiego potrzebowało dokumentów. Początkowo „Legalizacja" mieściła się w pomieszczeniach kolegium oo. jezuitów przy ulicy Wielkiej. Na początku 1940 r. komórka przeniosła się z klasztoru do lokali konspiracyjnych w mieście.

– Kiedy wybuchła wojna, to nie trzeba było jakichś specjalnych wezwań do pójścia do konspiracji – wspominał Tadeusz Żuk „Kot". – U nas w mieszkaniu przy ulicy Bonifraterskiej 1, gdzie ojciec mój miał też zakład krawiecki, zamieszkał pan Bolesław, tak oficjalnie o nim mówiliśmy, a był to Stanisław Kiałka, jeden z najbliższych współpracowników Komendy Okręgu AK. Kiałka był szefem „Legalizacji" AK, nie walczył z karabinem w ręku, więc nie był bohaterem, ale to była cholernie ważna postać Okręgu Wileńskiego AK. Do zakładu krawieckiego ojca przychodziło sporo ludzi, różni też ludzie, więc nie było to miejsce podejrzane, a poza tym Stanisław Kiałka miał sprytnie urządzone wyjście ewakuacyjne na wypadek ewentualnej wsypy. Ja też się wciągnąłem do tej jego roboty legalizacji, czyli wystawiania różnych potrzebnych dokumentów ludziom w konspiracji. Szło mi chyba całkiem nieźle, bo pan Bolesław był zadowolony. Kiedy byłem spalony w Wilnie, musiałem wiać do lasu, do oddziału. W końcu listopada 1943 r. trafiłem do „Szczerbca" – wspominał Tadeusz Żuk.

Władze zakonu jezuitów wyraziły zgodę na oddelegowanie Stanisława Kiałki do pracy w konspiracji, do dyspozycji Komendy Okręgu. Jednak nadal pozostawał jezuitą. Stanisław Kiałka szybko stał się bliskim współpracownikiem komendanta Okręgu ppłk. Nikodema Sulika „Ładyny", a później, po aresz-

1. Stanisław Kiałka (z lewej) i Wiktor Han, Workuta 1955 r. Zdjęcie wykonane aparatem fotograficznym własnej konstrukcji
2. Stanisław Kiałka „Bolesław", „Drzewica", „Jelonek", „Szarotka", „Ślęczek"
3. Danuta Janiczak-Szyksznian „Sarenka", łączniczka, kurierka z grupy „Kozy"

towaniu „Ładyny", najbliższym współpracownikiem jego następcy, mjr. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wesołowskiego" (ppłk. „Wilka"). W krótkim czasie „Bolesław" uczynił z „Legalizacji" świetnie funkcjonujące, profesjonalne przedsiębiorstwo. Pracownia, w której podrabiano dokumenty, otrzymała kryptonim „Kuźnia", biuro – które przyjmowało zamówienia, wydawało dokumenty – „Gospoda", drukarnia posługiwała się kryptonimem „Farba T". „Bolesław" pozyskał do pracy wiele profesjonalnych osób, m.in. prof. Jerzego Hoppena, wileńskiego grafika i artystę malarza, Franciszka Zaniewskiego, fachowca od chemigrafii. Szczególną rolę odgrywał w „Legalizacji" pisarz Sergiusz Piasecki – zajmował się on tzw. wywiadem dokumentowym. Sergiusz Piasecki, doświadczony przemytnik, zatrudniał grupę przeszkolonych włamywaczy, kieszonkowców, którzy kradli czyste blankiety dokumentów z biur oraz używane dokumenty z kieszeni Niemców i Litwinów. Stare dokumenty były „prane" w komórce zwanej „Pralnią" i służyły jako blankiety.

Jak wiadomo, na Wileńszczyźnie zmieniali się okupanci, zmieniały się też dokumenty przez nich wystawiane. Szacuje się, że „Legalizacja" w sumie, w czasie całej działalności, wyprodukowała prawie 90 tys. dokumentów, druków propagandowych ratujących życie ludziom, a były to m.in.: rosyjskie delegacje, tzw. komandirowki, karty ewakuacyjne, zaświadczenia tożsamości, zaświadczenia pracy, metryki urodzenia, przepustki do sowieckich instytucji, odpisy notarialne polskie i litewskie, zaświadczenia władz litewsko-niemieckich, zaświadczenia sowieckie, Vorläufiger Personalausweis (paszporty niemieckie), świadectwa szkolne i maturalne. Jednym z tych, których ocaliły dokumenty wileńskiej komórki, był ks. Michał Sopoćko, spowiednik s. Faustyny. W momencie szczytowym w „Legalizacji" pracowało prawie 40 osób. Ostatnimi zalegalizowanymi przez wileńską komórkę byli partyzanci z oddziału mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki".

Taki skarbnik to skarb

W kwietniu 1941 r. Sowieci aresztowali ppłk. Nikodema Sulika „Ładynę", komendantem Okręgu został ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wesołowski". Ppłk Krzyżanowski niezwykle cenił umiejętności organizacyjne, zmysł praktyczny, różnorodność zainteresowań „Bolesława". Łączyła ich też więź przyjacielska, jakiś czas razem mieszkali na Zwierzyńcu przy ulicy Starej 17, chodzili nawet na zmianę w tym samym ubraniu, co świadczy o ich stosunku do spraw doczesnych i materialnych. Aleksander Krzyżanowski darzył olbrzymim zaufaniem Stanisława Kiałkę. Nic zatem dziwnego, że latem 1941 r., po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Stanisławowi Kiałce przybyły nowe zadania – zajął się on porządkowaniem spraw finansowych Okręgu, założył skarbiec, stał się członkiem zespołu przygotowującego budżet, powołał komisję rewizyjną, która czuwała nad racjonalnym wydawaniem skromnych funduszy.

„Choć miał pieniądze organizacji w kieszeni, nie kupił nawet kajzerki" – wspominała późniejsza jego żona, Wanda Cejko-Kiałka „Marika". „Był niezwykle ofiarny. Chodził w podartych butach i wygłodniały".

„Bolesław" otrzymał awans na stopień podporucznika czasu wojny, a także został drugim adiutantem komendanta Okręgu i jego oficerem do specjalnych poruczeń. Zarządzaniem finansami Okręgu zajmował się do maja 1944 r.

W lutym 1942 r. „Bolesław" przekazał dobrze już działającą „Legalizację" studentowi Wydziału Sztuk Pięknych USB Michałowi Warakomskiemu „Piotrowi". Wileńska Armia Krajowa z każdym miesiącem powiększała swój stan osobowy, potrzebna była broń, amunicja, radiostacje, sprzęt poligraficzny etc. Choć oficjalnie został powołany na zastępcę szefa IV Oddziału Komendy Okręgu, czyli służb kwatermistrzowskich, to tak naprawdę on był szefem – stworzył świetnie funkcjonujące komórki, zorganizował zaplecze dla rozwijającej się AK w terenie.

Nie chce się wierzyć, ale potrafił rozwiązać niemal każdy problem, za który się zabrał. Posiadał wręcz nadprzyrodzone zdolności organizacyjne. Ze szkół jezuickich wyniósł wykształcenie humanistyczne, filozoficzne. Znał grekę, recytował wiersze po łacinie. W Wilnie studiował fizykę i matematykę. Jego osobowość była przedziwną syntezą pruskiej, poznańskiej organizacji, jezuickiej dyscypliny i polskiej fantazji. To Stanisław Kiałka sformował komórkę dywersyjną i słynną wileńską egzekutywę, która z powodzeniem przeprowadzała akcje sabotażowe, wykonywała wyroki wydawane przez Wojskowy Sąd Specjalny na konfidentach, zdrajcach narodu polskiego. Komórka ta później zasiliła wileński Kedyw.

Dzielne „Kozy"

To Stanisław Kiałka nazwał żartobliwie „Kozami" ze względu na młody wiek kilkunastoosobową grupę dziewcząt, łączniczek, kurierek, działających przy Komendzie Okręgu Wileńskiego AK w latach 1940–1944. Wszystkie były też ładne. Po latach wspominał: „W połowie 1940 roku spotkałem się w pracy konspiracyjnej z Marią Tomkiewiczówną »Grażyną«. Należała do komórki zwanej »Legalizacją« [...]. Szefem tej komórki był kpt. Góra »Czarny«. Po jego wpadce na początku lipca 1940 roku »Grażyna« przekazała mi pozostałość tej komórki w postaci walizki z blankie-

tami i pieczątkami, które w kwietniu 1940 r. dałem »Czarnemu«. »Grażyna« zgrupowała wokół siebie młode dziewczęta, które oprócz uczestnictwa w tajnym nauczaniu (jako uczennice) służyły jej jako kurierki. Najczęściej pośredniczyły w niesieniu pomocy poszkodowanym rodzinom, których żywiciele znaleźli się w więzieniu. Jako szef »Legalizacji«, zarazem adiutant szefa sztabu Okręgu »Wesołowskiego«, znanego dziś jako gen. »Wilk«, spotykałem służbowo sporo ludzi z podziemia, jak również potrzebowałem nowych przy montażu nowych komórek. Grupa »Grażyny« była mi bardzo potrzebna. Uderzył mnie u tych dziewcząt ogromny patriotyzm i zapał do pracy konspiracyjnej. Wychowane na tradycjach naszych powstań, idealistki, żądały pracy niebezpiecznej. Nie trzeba ich było zachęcać do działania, raczej cały czas musiałem ten zapał hamować, ostrzegać, przypominać, czym ta praca grozi".

Dziewczęta przerzucały żywność, ubrania, prasę podziemną, a także broń. Nosiły uszyte specjalnie do tego celu duże płaszcze z podwójnymi kieszeniami, pocztę i meldunki przenosiły w torbach ze skrytkami. „»Kozy« – wspominał Stanisław Kiałka – potrafiły nawet przetransportować na sankach całą drukarnię »Bostonkę« z kasetami czcionek z Nowego Światu na ulicę Filarecką. Po wsypie biura »Legalizacji« przy ul. Warszawskiej na Nowym Świecie, gdy gestapowcy opuścili już lokal, »Kozy« wyniosły w walizkach wyjęte ze skrytek pieczęcie, blankiety i inne materiały niezbędne do robienia lewych dokumentów. Niemcy nie zdołali wykryć tych skrytek".

Latem 1942 r. w ręce gestapo wpadła „Grażyna". Przeszła potworne śledztwo. Jednak Niemcy nie zdołali złamać dziewczyny. 18 grudnia 1942 r. została rozstrzelana w Ponarach. Przed egzekucją krzyknęła: „Niech żyje Polska!". W czerwcu 1943 r. przypadek sprawił, że pięć „Kóz" zostało aresztowanych. Zachowały się równie godnie, jak „Grażyna". Jedna z dziewcząt, Hanka Mahrburżanka, wyskoczyła przez okno z drugiego piętra budynku gestapo. Przeżyła, ocalała, choć została kaleką. Dzięki szybkiej interwencji „Bolesława" i pomocy Aliny Augustowskiej, która przekazała gestapowcom 300 rubli w złocie, dziewczyny uniknęły losu „Grażyny" – zostały osadzone w obozie pracy przymusowej w Prawieniszkach. Następczynią „Grażyny" została Basia Dudycz ps. „Wojtuś". Po operacji „Ostra Brama", po zajęciu przez Sowietów Wileńszczyzny, „Kozy" uciekły z obozu niemieckiego i nadal pracowały w konspiracji. Większość z nich trafiła do łagrów. Do kraju wróciły dopiero po 1956 r.

„Kozy" wprost uwielbiały Stanisława Kiałkę. Ufały mu bezgranicznie – był ich mistrzem, nauczycielem, ojcem, bratem, przyjacielem. Współpracę z nim traktowały nie jak dopust boży, lecz wielkie wyróżnienie. Danuta Janiczakówna-Szyksznian „Sarenka" wspominała po latach: „Pan Stanisław mnie fascynował. W twarzy miał coś dobrego. Chciałyśmy wszystkie służyć pod jego komendą. Na jego ręce złożyłam przysięgę. Prosiłam Boga, żeby mnie przyjął, bo nie miałam 17 lat. Cudowny, spokojny człowiek. Święty. Dwanaście nas było. To on nazwał mnie »Sarenką«". W rozmowie z Anną Kołakowską („Nasz Dziennik", „Przeżyłam własną śmierć", 29 marca 2014 r.) mówiła: „Moje pokolenie miało to szczęście, że wyniosło z domu wielką miłość oraz głęboką wiarę. Pomagały nam w kształtowaniu naszych religijnych i patriotycznych postaw Kościół oraz szkoła. W więzieniu i w łagrach dodawała nam sił modlitwa, a całą nadzieję pokładałyśmy w Panu Bogu. Czasami z kolegą mówimy sobie, że nikt nam w to, co przeżyliśmy, nie uwierzy, bo nam trudno w to wszystko uwierzyć. Pytamy siebie nawzajem, czy my przypadkiem nie fantazjujemy, ale gdy otrzymałam dokumenty z IPN, okazało się, że pamięć mnie nie zawodzi".

Przerzut i Perkun

„Bolesław" prowadził działalność z dużym rozmachem. W Warszawie założył stałą bazę zaopatrzeniową Okręgu Wileńskiego, do której należały magazyny, lokale konspiracyjne służące do odpoczynku, noclegów, spotkań. Prowadzenie bazy powierzył Kazimierzowi Augustowskiemu „Prusowi". Utworzona przez Kiałkę komórka o kryptonimie „Przerzut", którą dowodził Marian Czechowski „Szary", zajmowała się przemytem broni, sprzętu, materiałów z Warszawy do Wilna i w teren na Wileńszczyźnie. „Bolesław" zakupił do celów transportowych pięć samochodów ciężarowych, kilka samochodów osobowych. Kierowcy legitymowali się dokumentami firm pracujących dla Niemców. „Bolesław" nie byłby dobrym organizatorem, gdyby kilkakrotnie osobiście nie przetestował, jak funkcjonuje jego „patent" – w tym wypadku, gdyby sam nie wziął udziału w przerzucie. Osobiście przewiózł do Wilna ciężarówką kilkaset kilogramów materiałów wybuchowych, dwie radiostacje, dużą partię warszawskiej prasy konspiracyjnej i 400 tys. marek niemieckich. Kiedy indziej dostarczył dla wileńskiego BIP-u (Biura Informacji i Propagandy) maszynę drukarską z zapasem czcionek i materiałów poligraficznych. Pełniąc funkcję konwojenta, pod pozorem przewozu gwoździ przemycał transportem niemieckim broń. Zorganizowana przez „Bolesława" grupa budowlana zbudowała w Wilnie i w terenie kilkadziesiąt magazynów, w których były umieszczane najróżniejsze „skarby" – broń, amunicja, poczta, dokumenty. Mogli tam też znaleźć schronienie partyzanci, konspiratorzy.

„Bolesław" stale starał się uzupełniać swoją wiedzę o sprawach wojskowych – ukończył w Warszawie kurs dla pirotechników AK. Sformował później w Wilnie „Grupę Perkuna" produkującą różnego rodzaju materiały wybuchowe, m.in. granaty nazywane sidolkami. Szefem „Grupy Perkuna" mianował inż. chemika Zygmunta Sajdaka „Feniksa". Inną formą działalności zainicjowaną przez „Bolesława" była stała pomoc więźniom, rodzinom wojskowych pozbawionym środków materialnych. Między innymi na święta Bożego Narodzenia komórka przekazywała potrzebującym paczki z żywnością i odzieżą. Do każdej dołączony był opłatek z kartką „Polska swoim dzieciom". Dbał o wyszkolenie młodego narybku do kwatermistrzostwa. Wspólnie z kapitanem Edwardem Stefanowiczem utworzyli Szkołę Młodszych Dowódców przy Kwatermistrzostwie.

Profesor Piotr Niwiński zwraca szczególną uwagę na rzadko spotykaną charyzmę, jaką Pan Bóg obdarzył „Bolesława". Stanisław Kiałka posiadał zdolności aktorskie, które pozwalały mu w jednym momencie udawać starego, niedołężnego człowieka, zmienić tembr głosu. Te umiejętności w połączeniu z inteligencją ratowały mu często życie. Zawsze potrafił się wymigać z opresji. Poszukiwany przez NKWD i gestapo, siedmiokrotnie był zatrzymywany i aresztowany. Kiedyś wracał pociągiem z Warszawy do Wilna i zaproponował jadącym z nim w jednym wagonie żołnierzom niemieckim, aby sprzedali mu broń. Swoją brawurę, co tu dużo mówić, przypłacił zatrzymaniem na dworcu w Wilnie i osadzeniem w więzieniu na Łukiszkach. Musiał bardzo dobrze symulować w więzieniu atak ślepej kiszki, bo przewieziono go pod strażą do szpitala św. Jakuba. Akcją odbicia przez Kedyw „Bolesława" ze szpitala więziennego dowodził sam komendant Okręgu ppłk Aleksander Krzyżanowski „Wilk". Szczęśliwie wszystko zakończyło się sukcesem.

W sowieckiej niewoli

Na początku czerwca 1944 r. trwały ostatnie przygotowania do operacji „Ostra Brama". „Bolesław" otrzymał zadanie ulokowania sztabów Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego w bezpiecznym miejscu w Dziewieniszkach. Polscy żołnierze AK mieli zdobyć Wilno przed nadejściem Sowietów. 3 lipca komendant „Wilk" w czasie posiedzenia sztabu nakazał „Bolesławowi" udanie się w ubraniu cywilnym do Wilna i przekazanie rozkazu operacyjnego ppłk. Lubosławowi Krzeszowskiemu „Ludwikowi", że uderzenie na garnizon niemiecki ma zacząć się 7 lipca o godzinie 23.00. W czasie akcji zdobywania Wilna „Bolesław" znajdował się na stanowisku dowodzenia i został ranny w rękę. 13 lipca, przy wsparciu już Sowietów, Wilno zostało zdobyte. 17 lipca doszło do aresztowania przez NKWD komendanta gen. Krzyżanowskiego „Wilka" i jego dowództwa. Stanisław Kiałka uniknął aresztowania, powrócił do konspiracji. Potrzebna była choćby „Legalizacja", by ratować żołnierzy AK, ich rodziny, by ułatwiać zagrożonym aresztowaniem wyjazd za linię Curzona.

23 stycznia 1945 r. „Bolesław" wpadł w ręce NKWD w kościele św. Ducha przy ulicy Dominikańskiej. Siedem miesięcy trwały jego przesłuchania, o których nigdy nie chciał opowiadać. Jak wspomina jego żona, Wanda Cejko-Kiałka, dopiero kiedy był umierający, cierpiący, w malignie, zdarzało mu się wykrzyczeć: „Bijcie, zabijcie! Ja nic nie powiem!". Tak przeżywał tamte tortury NKWD przy ulicy Ofiarnej w Wilnie.

W sierpniu 1945 r. odbył się przed sowieckim trybunałem „proces" 15 działaczy polskiego podziemia niepodległościowego. Na ławie oskarżonych zasiedli m.in. ostatni komendanci Okręgu Wileńskiego AK: ppłk dypl. Julian Kulikowski „Ryngraf" i ppłk dypl. Stanisław Heilman „Wileńczyk". Stanisław Kiałka otrzymał wyrok 15 lat łagrów, po śmierci Stalina skróconych do 11 lat. Karę odbywał w Workucie.

W Workucie nadal Stach, jak o nim mówili najbliżsi, cieszył się dużym autorytetem. „Jego niezłomny charakter i mężne przetrwanie śledztwa, w czasie którego mimo tortur nie wydał nikogo, zjednały mu powszechny podziw i szacunek" – wspominał Kiałkę Zygmunt Sajdak „Feniks", współpracownik wileńskiej „Legalizacji". „Był inicjatorem samopomocy w łagrze i różnych uroczystości, które obchodziliśmy po cichu w naszym gronie. Słabszym dodawał otuchy i sił do przetrwania".

Stanisław Kiałka nawet tam, w nieludzkich warunkach, nie zapominał o bliźnich – organizował pomoc koleżeńską. A jego wiedza i pomysłowość nie znały granic – w Workucie skonstruował aparat fotograficzny i robił zdjęcia. Jedyne fotografie, które możemy dzisiaj oglądać z tego łagru, są jego autorstwa. Bolszewikom nawet do głowy nie przychodziło, że ktoś może zrobić aparat fotograficzny i utrwalać wszystko na zdjęciach. Naturalnie wymagało to dużej odwagi cywilnej.

Kiedy po śmierci Stalina w łagrach sowieckich zelżało i można było swobodniej się poruszać, Stanisław Kiałka poznał Wandę Cejkównę „Marikę", łączniczkę AK z Wileńszczyzny. „Marika" chłonęła opowieści „Kóz", a szczególnie Basi Dudycz, o Stanisławie. Jawił się jej jako „świętość narodowa". Obserwowała, jak młodzi chłopcy zwracają się do niego z różnymi

problemami, jak stara się im pomagać, pouczać ich, radzić im.

„Wyjechałam z Workuty pierwsza, nie czekając na koleżanki, gdyż otrzymałam telegram z wiadomością, że moja Mama jest umierająca" – pisała we wspomnieniach Wanda Cejko-Kiałka. „Tydzień po mnie wyjechały do Polski moje przyjaciółki: Basia, Bronka, Hanka i Stach z kolegami. Stach zamieszkał we Wrocławiu, jako nauczyciel w sztukatorni PWSSP. Ja w Bydgoszczy. Mama umarła. Miałam problemy ze zdrowiem – potworne bóle kręgosłupa. Sanatorium i leczenie zostały przedłużone dzięki życzliwym pracownikom PCK. Potem odpoczywałam u siostry Basi w Głuchołazach, dokąd po śmierci mojej Mamy zawiozła mnie Basia. Potem Wrocław. Stach interesował się, jak sobie radzę. Pomógł mi znaleźć mieszkanie blisko swego. On zaopiekował się mną, ja Nim, zachorował i leżał z wysoką temperaturą. 30 kwietnia 1958 r. pobraliśmy się. Stach miał mieszkanie, aparat radiowy, fotograficzny i garnek; ja imbryk i podarowany przez kogoś materac. Jednakowy start w nowe życie, z podobnym bagażem przeżyć, z poszerzoną »rodziną« o tych, co przez lata okupacji walczyli, a na katordze – tęsknili jak my".

Stanisław Kiałka był klerykiem jezuickim oddelegowanym do pracy konspiracyjnej, która miała służyć, i służyła, ojczyźnie. Wielokrotnie zadawał sobie pytanie, czy jego działalność jest zgodna z nauką Kościoła. Po powrocie z Workuty wystąpił do władz zakonu jezuitów o zwolnienie ze zobowiązań wynikających z niższych święceń kapłańskich i ślubów zakonnych. Zgodę uzyskał 12 marca 1958 r. Nie była to łatwa decyzja, aby wystąpić z zakonu. Przyjaciel Stanisława Kiałki, ks. Stefan Dzierżek, jezuita, współpracownik w komórce legalizacyjnej, stara się zrozumieć tę decyzję: „Zapytajmy więc, czy jego służba Ojczyźnie, tak heroiczna, tak bezinteresowna, nie była owocem powołania?".

Stanisław Kiałka nie zaszył się w domowych pieleszach po powrocie z Workuty. To m.in. dzięki jego staraniom zostały ekshumowane szczątki gen. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka" i mógł odbyć się pogrzeb komendanta Okręgu AK Wilno, przyjaciela. 27 kwietnia 1957 r. uroczyście przeniesiono szczątki generała „Wilka" na Cmentarz Wojskowy na Powązkach. Organizował, jak mógł środowisko żołnierzy AK Wileńszczyzny, nalegał na kolegów, aby pisali wspomnienia, dokumentowali swoją działalność. Sam też spisywał relacje, uznał to za swój obowiązek. Jeździł po Polsce, odwiedzał kolegów, pobudzał do aktywności. Cały czas w związku z tym był pod baczną obserwacją Służby Bezpieczeństwa, która mu odpuściła dopiero w dniu pogrzebu. Miał założony cały czas podsłuch w swoim wrocławskim mieszkaniu. Przeżył kilkadziesiąt lat inwigilacji, nigdy nie mogli go komuniści o nic oskarżyć, był specjalistą od konspiracji. Poświęcał wiele czasu na pracę ze studentami w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Lubił kontakt z młodzieżą, uważał, że jednak przyjdzie czas, kiedy komuniści utracą władzę, kiedy runie system zbudowany na kłamstwie.

Szczęśliwie zachowało się wiele wspomnień o Stanisławie Kiałce. Warto niektóre przytoczyć. Romuald Warakomski „Hilary" był jednym z braci Warakomskich pracujących w wileńskiej „Legalizacji". Cudem uniknął aresztowania przez NKWD. Po przyjeździe do kraju wstąpił do zakonu karmelitów bosych. We wspomnieniach zatytułowanych „Komórka legalizacyjna sztabu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej w latach 1939–1947" pisał o Stanisławie Kiałce: „Wysoki, szczupły blondyn, w okularach, przez co w niektórych domach okularnikiem był nazywany. Człowiek o nieograniczonej po prostu inicjatywie i fenomenalnej zdolności nawiązywania kontaktów. Gdy się do kogo przyczepił, nie sposób było wykręcić się od proponowanego zadania, czego wyrazem są i te wspomnienia pisane po 30 latach od tamtych czasów i zdarzeń. Zresztą ściśle biorąc »Bolesław« nie nawiązywał kontaktów, a w każdym razie nie szukał towarzyskiego z ludźmi zbliżenia, choć go nie wykluczał, bo warunki pracy konspiracyjnej nie sprzyjały temu. On powoływał ludzi, czynił ich konspiratorami. Cieszył się nieograniczonym zaufaniem i przyjaźnią »Andrzeja«, późniejszego gen. »Wilka« i dowódcy Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego, dzieląc z nim mieszkanie i ubranie, co daje pojęcie, jaka była stopa życiowa ówczesnych przywódców wileńskiego podziemia. Ta głęboka zażyłość i wzajemne zrozumienie nie ułatwiały »Bolesławowi« życia i pracy w sztabie Okręgu, gdzie w następnych latach pełnił oficjalną funkcję zastępcy kwatermistrza, a faktycznie był więcej niż kwatermistrzem. [...] Obok »Szymona« [ks. dr Kazimierz Kucharski, noszący też ps. Szczepan – przyp.D.J.] i »Wilka« należał do najpiękniejszych postaci wileńskiego podziemia". ■

_____

Podczas pisania artykułu korzystałem z publikacji „Stanisław Kiałka. Legenda wileńskiej konspiracji. Materiały biograficzne i pisma wybrane", Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej Oddział w Bydgoszczy, 2000 r.

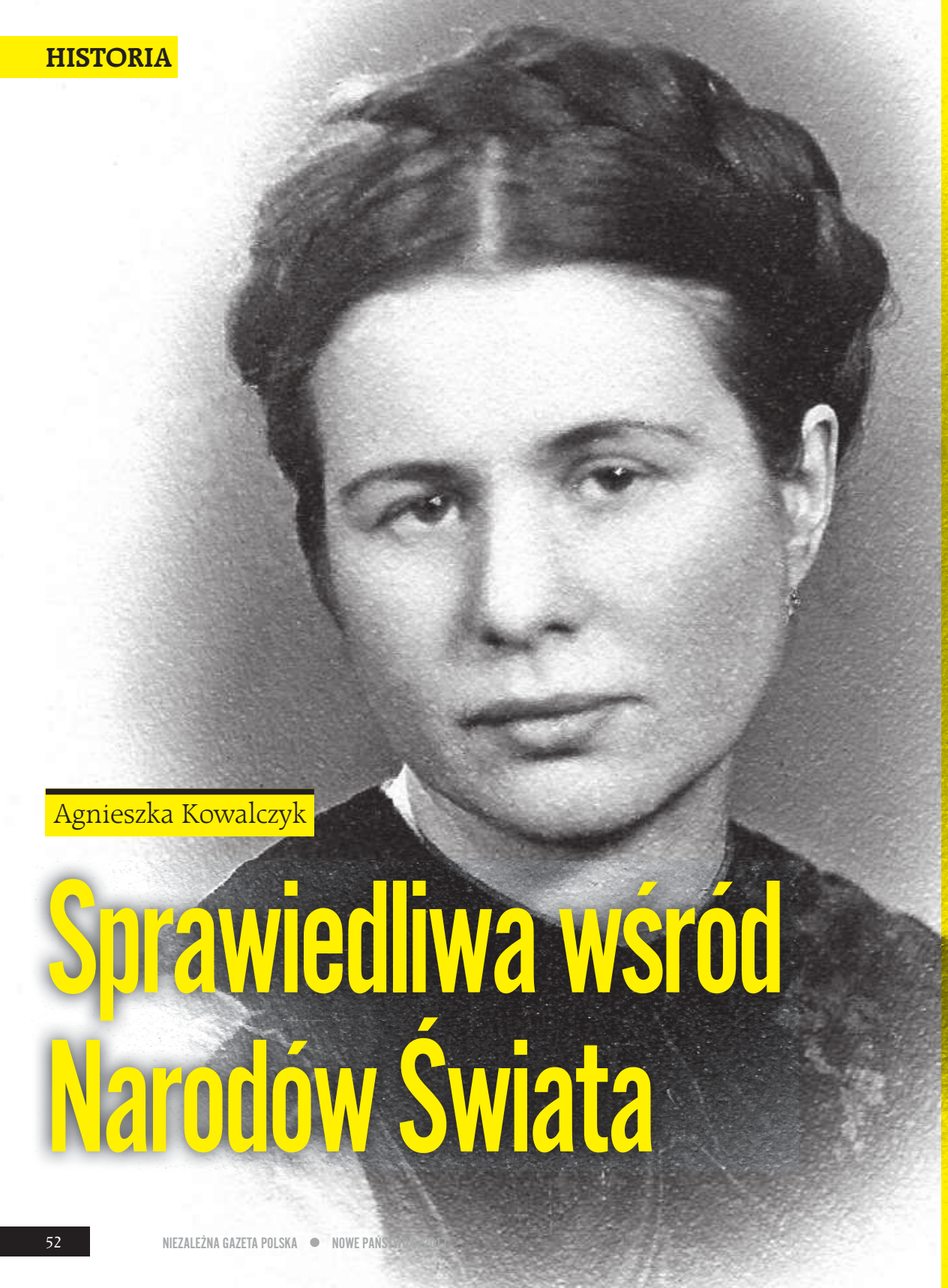

Agnieszka Kowalczyk

Sprawiedliwa wśród Narodów Świata

Żyła zgodnie z przesłaniem, jakie daje nam wszystkim w swojej poezji Zbigniew Herbert: „ocalałeś nie po to aby żyć/masz mało czasu trzeba dać świadectwo". Świadectwo takie dawała setki razy, ratując od śmierci tych, dla których nie było już żadnej nadziei. W czasach Zagłady, gdy za udzielenie pomocy Żydowi groziła najwyższa kara, ona walczyła o ocalenie tysięcy i tysiące wydarła śmierci szalejącej za murami warszawskiego getta.

Irena Sendlerowa wytrzymała brutalne przesłuchania i tortury gestapowców, nie wydając nikogo. W 1965 r. otrzymała tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Przez długie lata o jej bohaterskich czynach prawie nikt nie wiedział. Odkryły je przed światem dopiero cztery amerykańskie uczennice z Uniontown, które stworzyły osnuty na losach tej niezłomnej kobiety spektakl „Życie w słoiku", odsłaniając całą prawdę o Holokauście. Słynny znawca i teoretyk literatury Michał Głowiński, jako jeden z uratowanych przez Irenę Sendlerową, tak pisał o jej posłannictwie: „Pospieszyła z pomocą od samego początku, a gdy nastał czas wywożenia Żydów z warszawskiego getta do obozu zagłady w Treblince, zainicjowała wielką akcję ratowania. Dzięki jej oddaniu i poświęceniu, dzięki nadludzkiej odwadze i mistrzowsko opanowanej sztuce konspirowania udało się Jej uchronić przed niechybną śmiercią ponad 2500 istnień ludzkich. Jest to czyn porównywalny z tym, co dla ratowania Żydów uczynili dwaj inni słynni działacze: konsul japoński w Kownie, Ushikara, oraz wielki Szwed, Raoul Wallenberg. Wszyscy troje są z rodu tych moralnych olbrzymów, którzy ratowali świat, chroniąc przed śmiercią tysiące osób".

Początek apokalipsy

30 sierpnia 1939 r. Irena pełna najgorszych przeczuć odprowadzała na stację kolejową swego męża udającego się na front. Na zawsze pozostanie jej w pamięci odjeżdżający z nim pociąg, podobnie jak paraliżujący strach, który owładnął nią na wspomnienie I wojny światowej. Epidemia tyfusu, głód, wyczerpująca walka o byt, to, jak sama ciężko zachorowała na hiszpankę i przeszła trepanację czaszki – wszystko teraz stanęło Irenie przed oczami. Najbardziej wstrząsnęła nią jednak śmierć ojca, doktora Stanisława Krzyżanowskiego, który jak Judym poświęcał się innym bez reszty. Podczas gdy w Otwocku szalał tyfus, on sam jeden jeździł do pacjentów, bo pozostali lekarze bali się zarażenia. Za swoją odwagę zapłacił najwyższą cenę, umierając na tę straszliwą chorobę w wieku zaledwie 40 lat. Irena na całe życie zapamiętała jego słowa: „Ludzi dzieli się na dobrych i złych. Narodowość, rasa, religia nie mają znaczenia. Tylko to, jakim kto jest człowiekiem".

Teraz, stojąc tak na peronie, rozmyślała o tym, że koszmar wojny może powrócić. Bardzo się jej bała. Była tak zdenerwowana, że po odjeździe męża pomyliła przystanki tramwajowe i zamiast na Wolę, pojechała na Pragę. Przeczucie jej nie zmyliło. Nie minęły dwa dni, jak na Warszawę spadły pierwsze bomby. Nie tracąc ani chwili, co tchu popędziła do Wydziału Opieki Społecznej, gdzie pracowała po ukończeniu

fot. Wikipedia

studiów polonistycznych. Wszyscy byli już tam w najwyższym stanie gotowości. Gorączkowo organizowano w całej stolicy punkty opieki dla ludności uciekającej przed bestialstwem Niemców z Poznańskiego, Pomorza i innych ziem Polski. Każdy pracował bez wytchnienia dzień i noc, biorąc przykład z prezydenta Starzyńskiego, który nie opuszczał ani na chwilę swego posterunku. 23 września po zbombardowaniu elektrowni zamilkło Polskie Radio, a 28 – Warszawa skapitulowała. Irena widziała wokół siebie tysiące rannych i zabitych, zgliszcza spalonych domów, mogiły rozsiane po placach, skwerach i podwórzach. Miała poczucie, że na jej oczach dokonuje się jakieś apokaliptyczne dzieło zniszczenia, ale nie dając się ogarnąć czarnej rozpaczy, postanowiła działać i wstąpiła do konspiracji. Przekazywała środki finansowe profesorom Uniwersytetu Warszawskiego, którzy nie mieli z czego żyć, docierała z pomocą do rodzin, których członków uwięziono bądź rozstrzelano, dostarczała leki i materiały opatrunkowe ukrywającym się w lasach. Do głębi przejął ją los dzieci jako tych najbardziej bezbronnych i najniewinniejszych ofiar toczącej się wojny, o której badacz Holokaustu Feliks Tych napisał, że była ona „pierwszą w historii wojną świadomie zwróconą także przeciwko dzieciom. Wymordowanie dzieci [żydowskich] stało się jednym z celów wojennych Hitlera. [...] Umierały zabijane najokrutniej, jak tylko sobie można wyobrazić: w komorach gazowych, z głodu, przed plutonami egzekucyjnymi u boku swych mordowanych matek, palone żywcem w domach, synagogach i stodołach. Ten wyrok śmierci został wykonany na oczach ślepego na tę zbrodnię świata, mającego za jedyne alibi – niedowierzanie". Irena nie mogła patrzeć, jak dokonuje się ta potworna zbrodnia, jakiej nie widziała jeszcze ludzkość. Już w czasach studenckich, gdy na Uniwersytecie Warszawskim dochodziło do burd antysemickich, stawała zawsze po stronie prześladowanych. „W indeksach, jak wspomina, na ostatniej stronie znajdowała się pieczęć: prawa strona, aryjska, dla Polaków, lewa strona dla Żydów. [...] Ja zawsze siedziałam razem z Żydami, okazując w ten sposób swoją z nimi solidarność. Po każdym wykładzie młodzież zrzeszona w organizacjach skrajnie prawicowego ONR (Obóz Narodowo-Radykalny) biła i Żydów, i nas Polaków, tych, co siedzieli po lewej stronie [...]. Pewnego razu tak zbito moją koleżankę Żydówkę, że rzuciłam się z pięściami na jednego z oprawców i plunęłam mu pod nogi, mówiąc: »Ty bandyto!«". Gdy natomiast skreśliła w swoim indeksie zapis „prawa strona aryjska", została zawieszona w prawach studenckich. Trwało to przez trzy lata, aż do momentu, gdy zrozpaczona udała się do prof. Tadeusza Kotarbińskiego, który wówczas zastępował rektora i który poznawszy jej historię, orzekł, że słusznie postąpiła. „Idź już dziś na wykłady" – dodał na pożegnanie, a Irena wiedziała, iż tylko temu wielkiemu człowiekowi zawdzięcza swoje studia.

Teraz, gdy Żydom groziła całkowita zagłada, postanowiła zrobić wszystko, by ocalić ich jak najwięcej. Zdobyła dla siebie i innych łączniczek legitymacje pracownicze kolumny sanitarnej do zwalczania chorób zakaźnych. Umożliwiały one wchodzenie na teren getta aż do kwietnia 1943 r., bo Niemcy panicznie bali się tyfusu, którego epidemia mogła wybuchnąć w każdej chwili wskutek przeludnienia, głodu i tragicznych warunków sanitarnych. By nie mieć styczności ze źródłem zarazy, pozwalali Polakom na kontrolę sytuacji. „Przekraczaliśmy bramy getta czasem kilka razy dziennie – opowiada Irena. – Miałyśmy pieniądze z funduszy wydziału opieki, żywność, lekarstwa (w tym bezcenne szczepionki przeciw tyfusowi) i środki sanitarne. Przenosiłyśmy też ubrania, zakładając na siebie kilka sztuk odzieży, a ja, że byłam bardzo szczupła, nie miałam z tym problemu".

Irena, którą w konspiracji nazywano siostrą Jolantą, nie zapomni, jak kiedyś udała się na tajne szkolenia sanitarne organizowane dla chłopców i dziewcząt z getta. Wtedy, w zimnym lokalu komitetu domowego, przy blasku świecy, wykład prowadził stary doktor Henryk Landau, człowiek niezłomnego ducha. Wtem, „wśród głębokiej ciszy i powagi dał się słyszeć tuż za progiem charakterystyczny tupot niemieckich buciorów i przeraźliwe ryki oraz wstrząsający krzyk dziecka. I młodzież, i ja struchleliśmy [...]. Tylko nasz prelegent nie zareagował strachem [...]. Dopiero kiedy jedna ze słuchaczek wybuchła spazmatycznym szlochem, odezwał się: »Czy wyście nie zrozumieli dotąd jeszcze tego, że my tu wszyscy jesteśmy ciągle, dzień i noc, na froncie. Trwa ustawiczna walka. Jesteśmy żołnierzami pierwszej linii frontu. Żołnierze muszą być twardzi. Tu płakać nie wolno!«".

Na pierwszej linii frontu

Takim właśnie żołnierzem była Irena Sendlerowa. Pragnąc ocalić od zagłady jak najwięcej dzieci, wstąpiła do „Żegoty" (Rady Pomocy Żydom), tajnej organizacji powstałej z inicjatywy znanej pisarki Zofii Kossak-Szczuckiej i Wandy Krahelskiej. Nieludzkie warunki życia powodowały, że w wielu domach nie było już dorosłych, a pozostawały tylko bezbronne dzieci zdane na łaskę losu. Jedną z form ich ratowania było wyprowadzanie poza mury getta. „Ale nie mogliśmy wszystkich wyprowadzić od razu – przyznaje Irena – Trzeba było pomóc im doraźnie, organizując opiekę i żywność. Ulice getta były pełne żebrzących dzieci. Widziałyśmy je, wchodząc do getta,

a kiedy po paru godzinach wychodziłyśmy – często były to już trupki leżące na ziemi, przykryte gazetami". Zadanie Ireny polegało na tym, że docierała do rodzin z dziećmi i proponowała ratunek dla tych nieszczęsnych istot: „Wówczas padało zasadnicze pytanie o gwarancje powodzenia naszej akcji. Trzeba było uczciwie powiedzieć, że żadnej gwarancji dać nie możemy. Mówiłam szczerze, że nie wiem nawet, czy ja dzisiaj z dzieckiem szczęśliwie opuszczę getto. Wtedy odbywały się dantejskie sceny. Na przykład ojciec godził się na oddanie dziecka, a matka nie. Babcia tuliła dziecko najczulej i zalewając się łzami, wśród szlochu mówiła: »Za nic nie oddam wnuczki!«. Czasem opuszczałam tę nieszczęsną rodzinę bez dziecka. Nazajutrz szłam sprawdzić, co się stało z rodziną. I często okazywało się, że wszyscy byli już na Umschlagsplatzu". Swojego dziecka nie pozwoliła zabrać żona Artura Zygielbojma, mówiąc: „Cokolwiek ma być moim przeznaczeniem, stanie się też przeznaczeniem mego syna". Oboje zginęli podczas powstania w getcie. Prawdziwymi bohaterkami według uratowanej przez Irenę Katarzyny Meloch były Grynbergowa i Głowińska – matki, które oddały swoje niemowlęta obcym. Najdramatyczniejsze były momenty pożegnania. Irena widziała, jak łzy napływały do oczu matek, jak ciężko było im puścić rączkę swojego malca. Robiły więc wszystko, by przygotować dzieci do życia poza murami getta. Nieraz miesiącami wpajały im nową tożsamość, powtarzając bez końca: „Ty nie jesteś Icek, tylko Jacek. Nie Rachela, tylko Roma. A ja nie jestem twoją matką, tylko byłam u was gosposią. Pójdziesz z tą panią, a tam może czeka na ciebie twoja mamusia".

Dróg ocalenia było kilka. Często wykorzystywano samochód ciężarowy, który jeździł do getta ze środkami czystości. Szoferem był pan Antoni Dąbrowski, zaufany człowiek podziemia. Podjeżdżał pod umówione miejsce, gdzie czekała już Irena z dzieckiem. Musieli je dobrze ukryć w samochodzie, w jakimś dużym pudle albo w worku. Dopiero co oderwane od rodziców, było przerażone i rozpaczliwe krzyczało. „Nikt nigdy nie opisał, wspomina Sendlerowa, co się wtedy działo w jego serduszku: przecież trzeba było przejechać przez bramę, chronioną zawsze przez straż niemiecką, która w każdej chwili mogła je usłyszeć. I kiedyś pan Dąbrowski odezwał się do mnie: – Jolanta, nie będę dalej prowadzić z wami tej niebezpiecznej akcji, bo kiedyś straż usłyszy krzyki i Niemcy nas wszystkich rozstrzelają. – Prosiłam go usilnie, aby coś wymyślił i nie odmawiał dalszej współpracy. Po kilku dniach z miną ogromnie zadowoloną oświadczył: – Wymyśliłem coś dobrego. Będę zabierał do samochodu bardzo złego psa. Przy wjeździe do bramy mocno nadepnę mu na łapy, a wtedy wycie psa zagłuszy krzyk dziecka". W ten sposób uratowano m.in. sześciomiesięczną Elżbietę Ficowską, która opowiadała potem, że w swoim życiu miała trzy matki: „żydowską, której nigdy nie znała [...], polską, Stanisławę Bussoldową – która ją wychowała, i trzecią – Irenę Sendlerową, której zawdzięcza ocalenie".

Dla ratowania najmłodszych wykorzystywano również zajezdnię tramwajową w getcie. Mąż jednej z łączniczek, Leon Szeszko, był tramwajarzem i w dniu, gdy miał dyżur, przyprowadzano do niego dziecko, które ukrywał w pustym tramwaju i dowoził w umówione miejsce po aryjskiej stronie. Tam czekała już Irena, która wystraszone maleństwo odprowadzała do jednego z punktów opiekuńczych prowadzonych przez najbardziej zaufanych ludzi. Dzieci szmuglowano też przez piwnice graniczące z domami Polaków oraz przez przewody kanalizacyjne, którymi getto opuścił m.in. czteroletni Piotruś Zysman. Łączniczka przyprowadziła chłopca i jego siostrę do Ireny w samym środku nocy. Dzieci trzeba było natychmiast wykąpać i uprać im ubranka, a tu, jak na złość zabrakło mydła. Irena poszła więc do sąsiadki, by je pożyczyć, spotykając się z wyrzutem: „Pani chyba zwariowała! W nocy urządzać pranie!". Pewnie nawet nie przyszłoby jej na myśl, że Sendlerowa ma u siebie dzikich lokatorów z getta.

Małych podopiecznych przeprowadzano także przez gmach sądu przy ulicy Leszno. Miał on dwa wejścia – jedno od strony getta, drugie – od aryjskiej. Zaufani woźni sądowi na umówiony znak otwierali drzwi prowadzące do getta. Irena wchodziła tędy z dzieckiem, a wychodziła na ulicę Ogrodową znajdującą się już w części polskiej. Zdarzało się, że dzieci wynoszono w workach, pudłach, koszach, a niemowlęta usypiano i ukrywano w specjalnych skrzyneczkach z otworami. Najmłodszych przemycano też wraz z żydowskimi brygadami pracującymi po aryjskiej stronie. Tak uratowany został kilkuletni Stefanek, który przeżył szczęśliwie wojnę. Opowiadał potem Irenie, że w chwili ucieczki schował się pod płaszcz jednego z Żydów, swoje bose nóżki włożył do jego butów i z całych sił trzymał się paska od spodni. Gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, został za bramą odebrany przez łączniczkę.

Kartoteka ocalonych dzieci

Aby dzieci mogły zostać odnalezione przez rodzinę po wojnie, Irena podjęła się prowadzenia specjalnej kartoteki. Były to zwinięte w rulon bardzo wąziutkie paski z bibuły zawierające nazwiska i adresy ocalonych. Ze względów bezpieczeństwa sama prowadziła i miała pod opieką tę kartotekę. „Ale gdzie coś takiego trzymać?" – zastanawiała się początkowo,

bo wszystkie schowki, jak szafy, pawlacze, piece, podłogi, były już dawno zdekonspirowane przez Niemców. Wymyśliła więc, że zawsze przed snem ułoży malutki rulonik na środku stołu, a w razie stukania do drzwi wyrzuci go przez okno do przydomowego ogródka. „Wiele razy ćwiczyłam sprawność mego pomysłu, aby być dobrze przygotowaną na ewentualne nadejście niepożądanych gości".

Irenę nie zawiodło złe przeczucie. W dniu jej imienin, 20 października 1943 r., w środku nocy rozległo się brutalne walenie do drzwi. To byli Niemcy! Wyrwana ze snu Irena oraz jej chora matka, starsza ciocia i najlepsza łączniczka Janina Grabowska wyskoczyły z łóżek jak porażone. Skamieniałe ze strachu, usiłowały zachować zimną krew. Kiedy Irena oprzytomniała, rzuciła się do okna, żeby wyrzucić „kartotekę", ale było za późno, dom z każdej strony otaczało już gestapo. Prędko podała rulonik Janinie, a sama poszła otworzyć drzwi. Niemcy wpadli jak burza, było ich jedenastu. Rozpoczęła się trzygodzinna rewizja. Zrywali podłogi, rozpruwali poduszki, zaglądali w każdy kąt. Napięcie sięgało zenitu, a żadna z kobiet nie spojrzała na drugą ani przez ułamek sekundy, bo nawet wzrok mógłby je zdradzić. Każda z nich myślała o kartotece, którą Janka trzymała pod pachą, okryta szlafrokiem o zbyt długich rękawach.

„Kiedy gestapowcy kazali mi się ubierać, to choć zabrzmi to może niewiarygodnie, ale poczułam się szczęśliwa, bo wiedziałam, że spis dzieci nie wpadł w ich ręce. Tak bardzo się spieszyłam, że wyszłam z domu w rannych pantoflach, aby tylko ci zbrodniarze opuścili mój dom". Próbowała się opanować, by Niemcy nie wyczuli strachu, który ściskał jej gardło. Domyślała się przecież, co ją czeka... W ten dzień jednak zdarzyły się aż trzy cuda. Po pierwsze, gestapowcy nie znaleźli „kartoteki" i dzieci były bezpieczne. Po drugie, nie dotarli do ukrytej pod posłaniem dużej sumy pieniędzy i adresów jej podopiecznych ani też do prawdziwych i sfałszowanych kenkart oraz metryk. Uratowało ją to, że łóżko podczas przeszukania zarwało się, a Niemcy zajęci rozpruwaniem poduszek i wyrzucaniem rzeczy z szafy, nie zwrócili na nie uwagi. I jeszcze trzeci cud – udało się jej podrzeć i wyrzucić przez okno pędzącego samochodu schowaną w kieszeni karteczkę z nazwiskami dzieci, którym miała następnego dnia zanieść pieniądze. Teraz była już zupełnie spokojna o ich los.

▶ Jezu, ufam Tobie!

Wreszcie dotarła na miejsce kaźni, do siedziby gestapo przy alei Szucha. Tam przerażona i osłupiała spostrzegła, że nie jest sama. Tej feralnej nocy aresztowano kilka jej koleżanek z ośrodków opieki. Domyśliła się, że jedna ze skrzynek kontaktowych została odkryta. I tak w istocie się stało, bo aresztowano właścicielkę pralni przy Brackiej, gdzie mieścił się punkt konspiracyjny Żegoty. Nie wytrzymała tortur i wydała nazwisko Sendlerowej. Teraz Irenę wzięto w krzyżowy ogień pytań. Niemcy domyślali się, że istnieje jakaś organizacja pomocy Żydom, ale nie znali żadnych szczegółów. Toteż przesłuchania i tortury Ireny trwały na Pawiaku wiele dni i nocy. Ona jednak nie dała się złamać i nie wydała nikogo. „Milczałam. Wolałam umrzeć niż zdemaskować naszą działalność. Cóż znaczyło moje życie w porównaniu z życiem tylu innych osób, które mogłam narazić na śmierć?". Gestapowcy ani przez chwilę nie pomyśleli, że mają w swoich rękach jedną z najważniejszych członkiń organizacji, sądząc, że jest tylko pionkiem w sieci konspiracyjnej. Żądali podania adresów i nazwisk przełożonych. Irena była w szoku, gdy wyciągnęli cały plik napisanych na nią donosów. Po trzech miesiącach zapadł wyrok – rozstrzelanie. Przy życiu trzymała ją ciągle nadzieja na ocalenie. Dostawała bowiem grypsy od Żegoty z zapewnieniem, że robią wszystko, by ją uratować. Kiedyś do jej celi weszła ekipa sanitarna i rozległo się wołanie: „Sendlerowa, do dentysty". Odpowiedziała: „Mnie zęby nie bolą", ale gdy polecenie usłyszała po raz trzeci, zrozumiała, że to sprawa konspiracji. Dentystką była więźniarka Hania Sipowicz, a jej „gabinet" stanowił wąski pokój, na którego końcu siedział gestapowiec. „Rozwiercę dziurę i włożę duży opatrunek" – powiedziała lekarka, mając na myśli gryps. Dodała też cicho, że musi być ostrożna, bo w każdej celi jest kapo.

Irenę więziono w różnych celach, nawet z prostytutkami. Koszmarne obrazy z Pawiaka wciąż powracały i przywoływały to, co najboleśniejsze. Najgorsze były dla niej ubikacje – „cztery otwory (leje) w betonie, a pośrodku naprzeciwko siedział gestapowiec. I wychodzenie na komendę". To znów przeżywała na nowo scenę z pralni. „W więzieniu były dwie pralnie: czarna, w której prało się ubrania więzienne, i biała, gdzie prało się bieliznę gestapowców [...]. Najgorsze było pranie potwornie brudnej bielizny. Przyschnięty kał nie dawał się sprać. »Stare« więźniarki – praczki – poradziły nam, aby te zasuszone brudy szorować szczotkami ryżowymi, którymi szorowano podłogi. (My cieszyłyśmy się, że Niemcy robią w gacie ze strachu...). Po jakimś czasie w bieliźnie powstały dziury. Niemcy dostali szału. Skończyło się to tragicznie. Któregoś dnia wpadło czterech oprawców. Kazali nam wyjść na zewnątrz, ustawili nas w rządku i co drugiej kazali wystąpić. Na naszych oczach rozstrzelali te kobiety. To nas załamało. Szlochałyśmy. Wpadła do nas doktor Hanna Czuperska – kierowniczka ekipy sanitarnej – i widząc nasz stan powiedziała:

– Dziewczyny, co ja słyszałam, że ktoś jest załamany? Kochane, to przecież jest zwykły pawiacki dzień!".

W tym czasie w całym mieście organizowano wielkie obławy i przewożono wszystkich złapanych nieszczęśników na Pawiak. Prawie codziennie odbywały się egzekucje na ulicach Warszawy bądź potajemnie w ruinach getta. Zwykle o piątej rano wchodziło do celi dwóch gestapowców z wilczurem. Kazali kobietom stawać w rzędzie i wskazywali na te, które za chwilę miały zginąć. Wokół rozpacz i zwątpienie, ale w serce Ireny wstąpiła jakaś wielka nadzieja, bo oto w swoim sienniku znalazła mały, zniszczony obrazek z napisem „Jezu, ufam Tobie". Ukryła go i miała cały czas przy sobie. Wkrótce, 20 stycznia 1944 r., wywołano ją z celi i zawieziono do centrali na Szucha. Była przekonana, że to jej ostatnia droga, ale zdarzyła się rzecz niewyobrażalna: „Wyczytywano nazwiska i kazano iść do pokoju na lewo. Mnie jednej polecono wejść do pokoju na prawo. Niespodziewanie zjawił się gestapowiec, który miał rozkaz doprowadzić mnie na dodatkowe śledztwo. Wyprowadził mnie z siedziby gestapo [...]. Na rogu obecnej alei Wyzwolenia, Alej Ujazdowskich i placu Na Rozdrożu [...], powiedział mi po polsku: »Jesteś wolna! Uciekaj czym prędzej!«". Irena, oszołomiona, zaczęła prosić Niemca o zwrot kenkarty, ale poczuła tylko uderzenie w twarz. Zalana krwią z wielkim trudem doczołgała się do najbliższego sklepu, którego właścicielka na szczęście udzieliła jej pomocy. Tyle co wsiadła w tramwaj, a tu na ulicy Młyńskiej usłyszała krzyk gazeciarza, że za rogiem łapie gestapo. Wyskoczyła więc czym prędzej i jakimś cudem dowlokła się do domu. Była uratowana! Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście! Po stu dniach gehenny na Pawiaku zobaczyła wreszcie ukochaną mamę. Akcję uwolnienia Ireny zorganizował Julian Grobelny z Żegoty. Łapówkę dla Niemca dostarczyła w umówione miejsce Małgorzata Palaster, przenosząc w plecaku pod makaronem i kaszą paczkę dolarów. Przekupiony gestapowiec zapisał w dokumentach, że Sendlerową rozstrzelano, ale prawda wyszła na jaw. On i jego wspólnicy uznani zostali za zdrajców III Rzeszy i wysłani na front wschodni. Z Pawiaka pozostał Irenie obrazek „Jezu, ufam Tobie", który po wojnie ofiarowała Janowi Pawłowi II podczas jego pierwszej wizyty w Polsce.

▶ Drugie życie Ireny i jej dzieci

Irena otrzymała od losu drugie życie. Nie przestała ratować Żydów i dalej działała w konspiracji. Po ucieczce z Pawiaka dane ocalonych dzieci chowała do słoika, który zakopywała w bezpiecznym miejscu. Gdy wybuchło powstanie warszawskie, niosła pomoc rannym jako sanitariuszka. Była zawsze tam, gdzie drugi człowiek wołał o ratunek. Po wyzwoleniu Warszawy roztoczyła zaś opiekę nad dziećmi przywiezionymi z obozu zagłady w Oświęcimiu – wycieńczonymi i okaleczonymi psychicznie. Budziły się w środku nocy z krzykiem. Trzeba było każde z nich przytulić i uśpić. Jedna z dziewczynek zapytała Irenę: „Czy mamusię bardzo bolało, jak ją palili?". A ona, do głębi wstrząśnięta, odpowiedziała: „Nie, nie bolało, bo aniołek wziął ją zaraz do nieba". Po kilku dniach ta sama dziewczynka poprosiła, by Irena narysowała dla niej anioła. „Narysowałam, ale było to jedno z najcięższych moich przeżyć w tamtym okresie" – wspominała bardzo poruszona. Sama była aniołem stróżem dla tysięcy dzieci. I one widziały w niej anioła. Każde zachowało w swym sercu jej jasny obraz – Teresa Körner, Irena Wojdowska, Piotr Zysman, Katarzyna Meloch, Michał Głowiński... Wśród nich była też Elżbieta Ficowska, która tak po latach pisała do Ireny Sendlerowej:

„Miałam sześć miesięcy, kochających rodziców i dziadków, którzy za wszelką cenę chcieli mnie uratować. Moja [...] żydowska Mama, Henia Koppel [...], zawierzyła mój los Tobie, a Ty znalazłaś dla mnie moją polską Mamę, Stanisławę Bussoldową, która dała mi miłość i bezpieczeństwo. To dzięki zorganizowanej przez Ciebie akcji wywieziono mnie z getta na aryjską stronę w drewnianej skrzynce, razem ze srebrną łyżeczką, darowaną mi przez rodziców na szczęście. Mam tę łyżeczkę, jest na niej wygrawerowane imię i data urodzenia. To mój posag i moja metryka. [...] Teraz przewodniczę Stowarzyszeniu Dzieci Holocaustu w Polsce. [...] Kochana Ireno, większość uratowanych [...] nie wie, że to właśnie Tobie zawdzięcza swoje życie. Nikt wówczas nie przekazywał takich informacji, bo mogły grozić śmiercią. Ja wiem. Wie moja córka, dla której jesteś zastępczą Babcią, i wiedzą jej dwaj mali synkowie [...]. O tym wszystkim Ty przecież wiesz najlepiej. O ileż lepiej niż ja. Jeśli Ci to powtarzam teraz, to dlatego, że przecież nie znałaś osobiście wszystkich dzieci, które ocaliłaś. Skąd miałabyś wiedzieć, że to ja, starsza pani, jestem tym dawnym niemowlęciem? Kimś, kogo nie byłoby dziś bez Ciebie? Całuję Twoje ręce".

To tylko jeden z głosów dających świadectwo prawdzie tamtych czasów, jeden spośród tysięcznej rzeszy ocalałych, którzy składają hołd wdzięczności Irenie Sendlerowej za najpiękniejszy dar życia, jaki od niej otrzymali. ■

_____

Źródło: Anna Mieszkowska, „Dzieci Ireny Sendlerowej", Warszawa 2009 r.

Piotr Lisiewicz

Hasło zgody zdominowało w Polsce dwie ostatnie kampanie prezydenckie. Po Smoleńsku Bronisław Komorowski wystartował w wyborach z odzewem „Zgoda buduje". To, że domaganie się prawdy o katastrofie i podważanie rosyjskiej wersji w tej sprawie, jest burzeniem zgody, było oczywiste. Dodajmy, że zgoda miała wówczas charakter ponadnarodowy – aktem agresji było także działanie przeciwko polsko-rosyjskiemu pojednaniu. Ale w kampanii z 2015 r. także przyszły prezydent Andrzej Duda mówił o łączeniu, a nie dzieleniu Polaków, co potem było wyciągane jako dowód, że wbrew obietnicom dzieli Polaków. Posmoleńskie podziały są w postkomunistycznych mediach przedstawiane jako źródło wszelkiego zła. I tylko z rzadka ktoś wychodzi poza tę retorykę i pyta: dobra, ale zgoda na co? Zgoda na przedsmoleńskie państwo teoretyczne była zgodą na osuwanie się w przepaść po równi pochyłej. Podział był więc ozdrowieńczy – znaczna część obywateli przestała się godzić na rządy ubekistanu. Ten podział nie jest sytuacją dobrą, ale nowa zgoda zaprowadzona może zostać tylko poprzez skuteczne i ostateczne wyeliminowanie zdrajców. Karol Zbyszewski, genialny felietonista, publicysta i satyryk, opublikował w 1952 r. na łamach emigracyjnych londyńskich „Wiadomości" artykuł „Zgoda będzie zgubą". Z właściwą sobie ironią opisuje w nim sytuacje w historii, w których zgoda bywała powodem upadku, a kłótnie – triumfu. Niekoniecznie trzeba zgadzać się z jego daleko idącymi w tej kwestii wnioskami, jednak tekst odmyka pewne klapki, dzięki czemu stajemy się odporni na „zgodową" propagandę ludzi, którym bynajmniej nie o zgodę chodzi.

Karol Zbyszewski

Zgoda będzie zgubą

Amerykanie wierzą we wszechmoc dolara! Rosjanie – we wszechmoc NKWD. Anglicy wierzą w pancerniki! Murzyni – w talizmany. A Polacy – w zgodę narodową! Przeciętnie rozgarnięta papuga, powtarzając w kółko: „Zgoda! Trzeba nam zgody!", mogłaby należeć do grona polskich mężów stanu. Takąż by receptę miała na wszystko co i oni.

Fredro wyraził szczyt naszego myślenia politycznego pisząc: „Zgoda! Zgoda!... A Bóg wtedy rękę poda". Jest to jaskrawe sfałszowanie nauk płynących z Pisma Św.

Czy Pan Bóg jest za zgodą, czy przeciw niej?

Przeciw, oczywiście! I to zdecydowanie!

Jedynym przykładem w dziejach kiedy cała ludzkość – zgodnie! – podjęła wspólną akcję, to budowa wieży Babel. Pan Bóg nie był zadowolony.

Celny piorun, małe trzęsienie ziemi, brak cegieł – tysiąc było sposobów zepsucia szkodliwej roboty. Ale Pan Bóg wymierzył cios nie w samą wieżę, lecz w zgodę! Pan Bóg uznał, że z powszechnej zgody nigdy nic dobrego ludzkości nie przyjdzie. Więc mieszając języki, uniemożliwił zgodę i zgodne poczynania raz na zawsze.

Trochę historii

Nasza murzyńska zabobonność co do talizmanu zgody jest starsza od naszego państwa. Niemiecki kronikarz Dytmar, taki Goebbels z czasów Bolesława Chrobrego, notuje:

„Na wschód od Łaby mieszkali Polanie. Dziwaczne to plemię nie chciało nic poczynać bez jednomyślnej zgody. Skoro więc trzeba było coś przedsięwziąć – większość póty kołami tłukła mniejszość, aż ją zatłukła lub do zgody przymusiła".

Gdyby nie sądy angielskie, chętnie byśmy ten system stosowali i tu, na emigracji.

Najniesprawiedliwsi ludzie na świecie, czyli historycy, przypisują rozkład i upadek Polski – liberum

veto. A tymczasem nie veto, lecz zasada „zgody" zgubiła Rzeczpospolitą.

Parlament jest od tego, by krzyżowały się w nim opinie. Rozumny poseł może być przegłosowany, ale dlaczegóż ma na domiar rezygnować ze swego zdania? Piłsudski, w XVIII w., byłby pierwszym veciarzem. Większość jest od tego, by nie mieć racji i – przeprowadzać to, co uznaje za stosowne.

W parlamencie angielskim nigdy nie ma jednomyślności. I działa znakomicie. W sejmach Rzeczypospolitej urojono sobie, że musi być jednomyślna zgoda. Więc nie działały wcale.

Dzieje Polski, w porównaniu z dziejami Anglii, Francji czy Rosji, to landrynka. Jakżeż mało w naszej historii królobójstw, buntów, wojen domowych, rzezi, gwałtownych przewrotów, rewolucji... Nasza historia, to historia zgody. Ostateczny rezultat nie jest zachęcający.

Szczytowym punktem niezgody narodowej jest chyba rewolucja. Jeśli zgoda jest zbawienna, a niezgoda zgubna – jak naiwnie wierzymy – to dlaczegóż Anglia za Cromwella, Francja za Napoleona, Rosja za Stalina, a więc wszystkie bezpośrednio nazajutrz po krwawej rewolucji, doszły do zdumiewającej potęgi? Rekordowa niezgoda sprawiła rekordowe sukcesy.

Zgoda to luksus, na który może sobie pozwolić tylko najsilniejszy naród. Umyśli zgodnie coś głupiego i – przeforsuje. Ale jednomyślna zgoda w narodzie słabszym, w narodzie, który nie może narzucić swej woli światu – prowadzi do katastrofy.

„Dobrzy Niemcy" to fantazja. Wszyscy Niemcy stali zgodnym murem za Hitlerem. Dlatego klęska Niemiec w ostatniej wojnie była tak kompletna. We Włoszech znaleźli się „niezgodni", „odszczepieńcy", „zdrajcy" – w terminologii Mussoliniego – którzy przerzucili się w porę na stronę aliantów, więc Włochy wyszły z wojny dużo lepiej. Gdyby w Niemczech hitlerowskich istniał poważny odłam „niezgodnych", który by podał rękę Anglo-Amerykanom, Rzesza nie byłaby podzielona na dwie części, nie miałaby okupacji sowieckiej i połowy swych miast w ruinach.

Rządzący zawsze rżą, że byle była zgoda w narodzie – to wszystko będzie dobrze. Potem wszystko jest fatalnie, rządzący nikną jak morowe powietrze i ratują sytuację ci, co byli niezgodni, ci co mogą uczciwie powiedzieć: „To tamci knocili! Myśmy zawsze chcieli inaczej".

Nie ma rządu tak dobrego, by nie mógł przyjść po nim lepszy.

Historia daje tysiące przykładów takiej reguły dla słabych narodów w krytycznych momentach.

Absolutna zgoda – absolutny kataklizm!

Mniejsza zgoda – mniejsza katastrofa!

▶ Skłócone grupki

Emigracja francuska, która uciekła podczas rewolucji i wróciła dopiero po upadku Napoleona, spędziła dwadzieścia kilka lat włóczęgi po Europie (1790–1815) na zajadłych, nieprzytomnych kłótniach. Byli orleaniści i burboniści, radykałowie i reakcjoniści, stronnicy Austrii, wyznawcy Rosji, zwolennicy Anglii, przeciwnicy wszelkiej obcej ingerencji. Jakżeż niemrawo i apatycznie wyglądają nasze dzisiejsze polskie emigracyjne spory w porównaniu z intrygami, awanturami, zamachami, miotanymi na siebie wzajem oszczerstwami tych pełnych temperamentu emigrantów francuskich.

A jednak wrócili – skłóceni – tryumfalnie w r. 1815 i rządzili Francją przez piętnaście lat!

Gdyby emigracja francuska była zgodna i stanowiła monolit, czy wróciłaby o dzień wcześniej? [...]

Bolszewicy w latach 1900–1917 byli drobną, mizerną partią. I co robi ta garstka marząca o wywróceniu cara? Kłóci się! Bez przerwy się kłóci!

Wszystkie kongresy partyjne są jedną, nieustanną pyskówką. Rozłamy, wzajemne wylewania się z partii, secesje, donosy, protesty... lata emigracyjne schodziły przywódcom bolszewizmu na dzikich waśniach, na wykańczaniu jedni drugich... A najkłótliwszy ze wszystkich był Lenin. Nigdy nie ustąpił, nigdy nie przystał na kompromis, nigdy nie szukał zgody. Przeciwnie, Lenin dążył do rozłamów, podsycał spory wewnętrzne.

I w rezultacie tej namiętnej, wewnętrznej niezgody rewolucjonistów – w Rosji jednak wybucha rewolucja. I władzę obejmuje najkłótliwsza partia – tj. bolszewicy. I dyktatorem zostaje mistrz niezgody – Lenin. [...]

Wielka emigracja była przeżarta kłótniami. A gdyby Lelewel i Czartoryski, Hotel Lambert i demokraci całowali się co dzień z dubeltówki, gdyby działali zgodnie – to co? Czy namówiliby Palmerstona do wypowiedzenia wojny Rosji? Czy odmieniliby politykę Metternicha? Czy zmusiliby Ludwika Filipa do wyprawy na Moskwę? Nic podobnego, naturalnie. Po stu latach widzimy jasno, że wielka emigracja – zgodna czy niezgodna – nic nie mogła zdziałać, bo sytuacja europejska była nieodpowiednia.

„O wojnę powszechną... prosimy Cię, Panie..." – zakończył Mickiewicz swe nonsensowne „Księgi pielgrzymstwa".

To jedyne rozumne zdanie w tym steku bredni. Trafnie przewidział Mickiewicz, że dopiero wojna światowa przywróci Polsce niepodległość. Lecz czegóż w takim razie rozdzierał szaty nad niezgodą emigracji? Żeby była najzgodniejsza – wojny wszechświatowej nie mogła wywołać. [...]

Niepodległość dla niezgodnych

Przez 124 lata niewoli Polacy marzyli o niepodległości i pomstowali na niezgodę.

Odzyskanie niepodległości w r. 1918 było naszym szczytowym sukcesem politycznym tych 124 lat. Nigdy nasza niezgoda nie była większa niż w przededniu tego sukcesu!

Polacy dzielili się podczas pierwszej światówki na orientację rosyjską, austriacką i niemiecką. Byli aktywiści i umiarkowani. Paderewski stawiał na Wilsona, Studnicki – na Wilhelma, Lednicki – na Kiereńskiego. Była polska armia we Francji i w Rosji, i u boku Austrii. Jedni Polacy wypraszali manifesty u Mikołaja Mikołajewicza, inni – u dwóch cesarzy. Był N.K.N. i był Piłsudski. Tu Haller, tam Dowbór-Muśnicki, ówdzie P.O.W., Rada Stanu, Rada Regencyjna w Warszawie, Komitet Narodowy w Paryżu. Wszyscy się nienawidzą, wszyscy wymyślają sobie od durni, przedawczyków i wariatów.

Tymczasem ta rekordowa niezgoda była jedyną rozumną, właściwą polityką. Nikt nie wiedział, jak się wojna skończy, jak się potoczą wypadki. Stawianie na wszystkie konie, trzymanie się wszystkich klamek było jedyną sensowną metodą. Ktokolwiek był górą – wnet jacyś Polacy piszczeli z przedpokoju: „Myśmy tu zawsze stali przy tobie"...

Jasnowidztwo istnieje tylko w budach jarmarcznych, nigdy w polityce. Gdy możni tego świata biorą się za łby, słabi muszą się dzielić na tyle partii, ilu jest możnych. Potem ci, co stali przy możnym, który zwyciężył, wytargowują u niego co się da i ratują pozostałych.

W nagrodę za niezgodną – ale tak praktyczną – politykę Polaków w czasie pierwszej światówki spadła na nich niepodległość. [...]

Polityka i brydż

A spory wewnętrzne emigracji?

Są bez znaczenia. Jedni grają w bridża – inni uprawiają politykę wewnętrzną. To taka sama zabawa.

Wiara, że byle się nasze polityłki przestały kłócić między sobą – a już będziemy w Warszawie, jest równie sensowna co apel do bridżistów z Ogniska:

„Przestańcie się kontrować! Gdy jeden zalicytuje 3 bez atu – niech reszta partnerów, zgodnie, pomaga mu je zrobić! A wtedy, momentalnie, będziemy znowu na Jasnej, u Gielniewskiego!".

Słuchając utyskiwań na niewinne waśnie Earls Courtowych potentatów, ma się wrażenie że odzyskanie niepodległości to nie kwestia pobicia Stalina i przepędzenia Bieruta, ale jedynie pogodzenie Kuncewicza z Ciołkoszem.

Jaki zawód gdyby się nasze polityłki naprawdę pogodziły. Bo – oczywiście – nic by się od tego nie zmieniło. Tyle że musieliby przejść na bridża.

Rozśmieszyłaby nas teza, że Łotwa będzie wolna lada chwila, bo jej emigracja jest zgodna, natomiast Rumunia będzie czekała na wolność jeszcze b. długo, bo jej przywódcy na obczyźnie są skłóceni. Nie interesujemy się wcale, czy uchodźcy czescy są zgodni czy niezgodni. Nasz zdrowy sens rozumuje słusznie, że to w niczym nie wpływa na bieg wydarzeń. Ale rozumujemy bez sensu, wołając o polską zgodę – jakby Ameryka tylko czekała na nią, by zgruchotać Rosję.

Uzgodnione poczynania dwóch półgłówków nie dadzą akcji jednej tęgiej głowy.

Na głupie posunięcie można uzyskać powszechną zgodę. Ale mądre trzeba zaryzykować w pojedynkę.

Zgoda tworzy cuda. Ale w polityce cudów nie ma!

Jednomyślność, ślepe posłuszeństwo wobec swych przywódców – a więc te cechy, które sobie tak zalecamy – są konsekwentnie stosowane przez barany. No i barany mają zasłużoną opinię najgłupszych istot na świecie. [...]

> ZGODA TO LUKSUS, NA KTÓRY MOŻE SOBIE POZWOLIĆ TYLKO NAJSILNIEJSZY NARÓD. UMYŚLI ZGODNIE COŚ GŁUPIEGO I – PRZEFORSUJE. ALE JEDNOMYŚLNA ZGODA W NARODZIE SŁABSZYM, W NARODZIE, KTÓRY NIE MOŻE NARZUCIĆ SWEJ WOLI ŚWIATU – PROWADZI DO KATASTROFY.

Niepoprawni

Mimo tysiąca lat chrześcijaństwa – pogański przesąd zgody, pierwszych Polan, tkwi w nas nadal.

Za sto lat, w szkołach, dzieci będą się uczyły z podręcznika historii:

„Rok 1939 – Polska traci niepodległość z powodu niezgody, która sprawia, że społeczeństwo nie należy w całości do Ozonu". ■

_____

Przedruk za: „Wiadomości", Londyn, 25.05.1952. Śródtytuły pochodzą od redakcji „Nowego Państwa".

Piotr Hofman

Sukcesja w firmach rodzinnych

Małe i średnie przedsiębiorstwa na całym świecie to prawie w 90 proc. firmy rodzinne. To właśnie w nich bardzo istotnymi elementami dalszego działania i rozwoju jest mądrze i efektywnie przeprowadzona sukcesja. Zarówno w obszarach zarządzania, jak i w strukturze właścicielskiej. W Polsce, po 25 latach wolnego rynku, wiele firm doszło do tej fazy rozwoju, iż niezbędne są zmiany pokoleniowe i restrukturyzacja metod zarządzania. Czas zatem, by polscy szefowie i właściciele firm podeszli profesjonalnie do tego zagadnienia i próbowali uniknąć błędów, które możemy obserwować na przykładzie bardziej rozwiniętych gospodarek. Sukcesja jest stałym elementem firmy rodzinnej, gdyż wiąże się z pytaniami: co przekazać (własność i zarządzanie), komu (rodzinie, osobom zewnętrznym), w jakim czasie i w jaki sposób? Oprócz tych podstawowych elementów właściciel musi brać pod uwagę również branżę, typ działalności, zewnętrzne otoczenie gospodarcze i stosunki oraz relacje panujące wewnątrz rodziny. Z amerykańskich badań wynika, że w ostatnich latach aż 80 proc. firm przechodzących procesy sukcesji rozpadło się lub zostało sprzedanych, a swoją niezależność zachowało jedynie 20 proc. Firmy rodzinne najlepiej rozwijają się w pokoleniu ich założyciela, drugie pokolenie zarządza w sposób zachowawczy i mało innowacyjny. Jest mniej skłonne do ryzyka i rzadziej odnosi spektakularne sukcesy biznesowe. W trzecim pokoleniu właściciele najczęściej doprowadzają do upadku firmy. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak myślenia i planowania strategicznego, którego najistotniejszym elementem jest proces sukcesji. Oczywiście o stosownych rozwiązaniach w tym zakresie należy zacząć myśleć na długo przed odejściem założyciela. Jak się do tego procesu przygotować, od czego zacząć? Po pierwsze, należy ustalić, komu biznes może być powierzony i to w sposób umożliwiający jego kontynuowanie. Zazwyczaj nie jest to prosta sprawa. Nie chodzi bowiem wyłącznie o powierzenie majątku ani o mechaniczne wskazanie następcy. Istotą jest przekazanie określonych wartości społecznych i rodzinnych oraz kultury organizacyjnej, w tym wizji i strategii firmy. Lepiej przekazać biznes rodzinny w sposób zaplanowany, niż pozwolić, by działo się to samoistnie. Nawet jeśli nie wszystkie założone przy okazji planowania rozwiązania uda się wdrożyć, to już samo rozpoczęcie tego procesu może być wartościowym doświadczeniem. Pozwoli na nowo spojrzeć na siebie, swoją rodzinę i firmę. W sukcesji bardzo ważne jest połączenie przekazania dwóch oddzielnych elementów: władzy i własności. Wiele planów kończy się niepowodzeniem, ponieważ te dwa procesy nie przebiegają jednocześnie. Ważne jest również wyjaśnienie takich kwestii, jak podatki, zabezpieczenie finansowo-emerytalne wycofującego się właściciela czy określenie jego dalszej roli w firmie. Według S. Goldsteina sukcesja władzy składa się z czterech faz: 1. inicjacji – okresu, gdy dzieci lub potencjalni sukcesorzy zapoznają się z funkcjonowaniem przedsiębiorstwa rodzinnego; 2. selekcji – w trakcie której dokonuje się oceny oraz wyboru przyszłych liderów wśród młodego pokolenia, biorąc pod uwagę ich zaangażowanie i umiejętności; 3. edukacji – gdy cała uwaga jest skupiona na rozwijaniu umiejętności przyszłych sukcesorów; 4. sukcesji właściwej – gdy następuje proces przekazania młodym sukcesorom wszelkich praw i obowiązków. Wymienione fazy powinny współistnieć z sukcesją własności, w trakcie której właściciele podejmują decyzje co do: 1. liczby nowych sukcesorów i struktury ich udziałów; 2. sposobu przeprowadzenia transferu własności, który może przybierać różne formy i modele. Na ostatnim Ekonomicznym Kongresie Gospodarczym w Katowicach kwestia sukcesji w firmach rodzinnych była jednym z szeroko dyskutowanych tematów. Panel tematyczny „Firmy Rodzinne", w którym miałem przyjemność uczestniczyć, cieszył się bardzo dużym zainteresowaniem. Pokazuje to, jak aktualny i ważny jest to dzisiaj problem w naszej szybko rozwijającej się gospodarce. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Krzysztof Karnkowski

Na przystanku PKS, czyli 50 lat z Kelusem

O Janie Krzysztofie Kelusie trzeba pamiętać nie tylko od święta. Pierwszy znany i zaśpiewany tekst – „Piosenkę pasożyta społecznego" – napisał w 1968 r. Za chwilę minie więc pół wieku, odkąd pomaga nam zrozumieć Polskę.

3 maja 2017 r. Jan Krzysztof Kelus otrzymał z rąk prezydenta RP Andrzeja Dudy Order Orła Białego. Nie znaczy to jednak, że Kelus nagle znalazł się w głównym nurcie, choć ten ostatnio czasami sobie o nim przypomina. To raczej prezydent pokazał, że potrafi, choćby symbolicznie, zawędrować jeszcze na ten oddalony od świata przystanek PKS-u, gdzie człowiek przypomina sobie piosenki ze starych, zdartych kaset magnetofonowych.

Od zawsze obserwator

W lutym zeszłego roku 74. urodziny twórcy uczciłem tekstem „Jan Krzysztof Kelus. Nie zawsze z boku", opublikowanym w „Gazecie Polskiej Codziennie". Był to moment, w którym na długo wycofany zupełnie z wielkomiejskiego życia i wielkiej polityki Kelus parę razy przypomniał o sobie – listem do Adama Michnika, kilkoma oświadczeniami, głośną i ważną rozmową z Robertem Mazurkiem w „Plusie Minusie". Choć może „przypomniał" to niewłaściwe słowo, był przecież pamiętany, co było widać w częstym przywoływaniu jego piosenek w rozmowach czy wpisach w portalach społecznościowych, choćby właśnie w kolejne urodziny. Ale Kelus nie mógł być nieobecny, niczym Bóg ze śpiewanego przez siebie w latach 70. wiersza Barańczaka „NN próbuje przypomnieć sobie słowa modlitwy", i dał znać, że nadal czujnie obserwuje to, co dzieje się w kraju. Ale już nie piosenkami. Wypowiadał się o braku rozliczeń dawnych esbeków i ich wysokich emeryturach, pisał mocne listy do Michnika i Rulewskiego, wreszcie ujmował się za ludźmi spotykającymi się z agresją i szyderstwem na Krakowskim Przedmieściu latem 2010 r. Polskę Tuska porównywano niekiedy z czasami Gierka – poprawa warunków życia na kredyt, propaganda sukcesu... Do opisania lat 2007–2015 nadaje się bardzo dobrze „Piosenka o drugiej Polsce", wystarczy zamienić nazwy PRL-owskich sklepów na sieci handlowe dla tych, którzy na zmianach zyskali lub stracili...

Żeby urosła, żeby urosła
w siłę
i żeby żyli i żeby żyli
lepiej
sięgną do rezerw ludzkiego potu
w czynie
jedni łopatą a drudzy
w Komitecie

A gdy urośnie, a gdy urośnie
w siłę
będziemy żyli, będziemy żyli
lepiej
jedni od drugich – każdy co zechce
kupi
jeden w Peweksie a drugi gdzieś
w GS-ie.

Tekst i kilka prostych dźwięków

Ta Kelusowa wrażliwość kazała mu po Radomiu jeździć z pomocą dla prześladowanych, co zaowocowało „Balladą o szosie E-7", jednym z najczęściej wspominanych dziś utworów. Mocny tekst, w którym opis represji miesza się z wątkiem osobistym, na swój sposób czyniąc tę piosenkę wręcz specyficznym utworem drogi – porusza do dziś, nawet, gdy dociera do tych, których nie było wówczas na świecie. Pomaga w tym muzyka, rwana, nerwowa, niosąca i podkreślająca klimat tych ryzykownych podróży do ludzi, którzy jednak do stracenia mieli jeszcze więcej. Muzyka na tyle ponadczasowa, że gdy rok temu podczas koncertu „Radomska droga wolności" wykonał go porywająco raper KęKę, nie musiał właściwie wiele zmieniać, rapując w towarzystwie perkusji, klawiszy i skreczów.

I właśnie – przez wielu pamiętany, przez wielu jeszcze nieodkryty Jan Krzysztof Kelus przywoływany jest głównie jako autor ważnych, wyjątkowych tekstów i człowiek o niebanalnym, ciekawym (czasem, przez komunistyczne prześladowania, a później chorobę, nawet zbyt ciekawym) życiorysie. Gdzieś umyka nam Kelus – muzyk, artysta, który za pomocą prostych środków, o których sam często dość pogardliwie w swoich tekstach wspominał jak o kilku powtarzających się dźwiękach, potrafił wykreować pełen niepokoju nastrój, który sprawdziłby się w wielu stylistykach odległych od najbliższej mu folkowej poezji śpiewanej. Nikt chyba jeszcze nie zauważył, że Kelus, który w 1974 r. nie mógł mieć pojęcia o istnieniu nawet w Stanach jeszcze nieodkrytego rapu, w swojej „Piosence o wuju, historii i przypadku" jest nieświadomym prekursorem najszybciej recytowanej odmiany tego gatunku, tzw. fast rappingu. Nie będąc zbyt dobrym wokalistą, posługiwał się raczej melorecytacją, specyficznie wyluzowaną i z lekko złośliwą nutą, kilka lat później odnalazłby się pewnie w którejś z fal polskiego punk rocka, trzydzieści lat później – zapewne w polskim rapie. Tu i tu przecież przekaz społeczny, krytyczny i nieprzyjemny dla Herbertowskich ornamentatorów był w cenie.

fot. Jakub Kamiński/PAP

Pewien emeryt sadzi kwiatki

Ten krytycyzm w końcu musiał poróżnić Kelusa z częścią jego dawnego środowiska. Wśród fanów ten podział również ujawnił się w dyskusji, jakby nie dla wszystkich było oczywiste, że twórca po prostu wolał pozostać tam, gdzie zawsze był, trochę z boku i bez pieniędzy, niż jak inni rzucić się, by robić karierę, lub jak jego przyjaciel Jacek Kleyff śpiewać, że „woli zyskać ze złodziejem, niźli zyskać z psychopatą".

Jak jednak wspomniałem, Kelus to przecież nie tylko krytyka, która w chwili pisania mogła wydawać się doraźna, a która, jak przywołana „Piosenka o drugiej Polsce", okazała się ponadczasowa. To także okruchy życia, takie jak „Fiat 126p" czy „Różan", kawałki bardziej filozoficzno-hippisowskie, wreszcie dość gorzka refleksja nad „karami śmierci i nagrodami doczesnymi" na przykład w kolejnym często przywoływanym tekście, „Papierosy Biełomor-kanał":

Powiedz Willy – jako Niemiec
chyba byś się zrzygał
płacąc za Auschwitze z filtrem
markę i feninga

Zapal Willi Biełomora
i pomyśl spokojnie
– kto naprawdę wygrał
tę ostatnią wojnę?

Pytanie jeszcze bardziej aktualne dziś, gdy świat zapomina już nie tylko o Kanale Białomorskim, lecz nawet o tym, kto stał za Auschwitz. Może Willy i takie papierosy paliłby dziś bez problemu. Warto nadmienić, że gdy Andrzej Duda, zapewne nie spodziewając się nawet, że kiedyś jako prezydent Polski dekorować będzie Kelusa orderem, składając mu przez Facebooka życzenia z okazji 70. urodzin, zilustrował je właśnie tą piosenką. Drugi przywołany utwór ostatnio często przypomina mi się przy okazji dyskusji o resortowych emeryturach i dziarsko maszerujących starszych panach:

Tam gdzie kończą się Rzepaki
w niedalekiej wsi Wilkowie
poniemieckie gospodarstwo
wydzierżawił z miasta człowiek

Mówią: Tu gdzie mieszkał Gruener
wydzierżawił dom od gminy.
Tu go wszyscy – mówią – znali
szef urzędu bezpieczeństwa...
... Dzisiaj panie to emeryt i
na stałe jest w Olsztynie...

Stary człowiek pochylony,
sadzi kwiaty w ciepłą ziemię
w ciepłą ziemię sadzi kwiaty
pochylony stary człowiek
stary człowiek, ciepła ziemia,
rudy spaniel śpi pod drzewem...
– Jak on może sadzić kwiaty,
pytasz – Janku? A ja nie wiem.

O nim trzeba pamiętać zawsze

Jedna z podziemnych kaset Kelusa nosiła tytuł „Z nieskończoną wciąż piosenką". Ta „nieskończona piosenka" stała się w pewnym sensie proroctwem. Jan Krzysztof Kelus trochę w połowie drogi wyprowadził się z miasta, by zająć się pszczołami, co coraz bardziej podyktowane było stanem zdrowia. Choć ta pasja zdążyła zaznaczyć się w piosenkach („Cóż, życie owadów społecznych snuć każe refleksję społeczną"), to jednak artysta dość szybko przestał pisać nowe utwory, stało się to jeszcze w połowie lat 80. Pisanej później piosenki, inspirowanej wydarzeniami na placu Niebiańskiego Spokoju, nie dokończył, nie był już w stanie, później wyręczył go w tej pracy Kleyff. Urwaną w połowie opowieścią była rozmowa, jaką z wycofanym już mocno Kelusem przeprowadził pod koniec lat 90. Wojciech Staszewski z „Gazety Wyborczej". Dziwny, niekompletny był też trochę wcześniejszy film dokumentalny Jerzego Zalewskiego „Był raz dobry świat" z 1997 r., w którym główny bohater pojawiał się tylko jako milczący świadek i bohater opowieści (o tej dziwnej formie znów przesądziło, niestety, zdrowie).

Niedokończony będzie też ten krótki tekst. Nie chcę pisać przeglądu najważniejszych tekstów Kelusa czy dzielić jego słowa według klucza tematycznego, skupiać się na socjologii i polityce kosztem nie mniej ważnych dla niego rzek, jezior i lasów. Wiele spraw i piosenek musiałem z racji redakcyjnych ograniczeń pominąć. Czytelnicy „Nowego Państwa" twórczość Kelusa na pewno znają i nie trzeba jej im specjalnie przybliżać, można tylko zwracać uwagę na aspekty, które mogą nam zwyczajnie umknąć. Niezależny do końca twórca, nawet odznaczony przez Andrzeja Dudę, nie zostanie „przyzwoitym człowiekiem z orderem wbitym w pierś" z jednego ze śpiewanych przez siebie wierszy Barańczaka. Dobrze jednak, że prezydent Duda, wzorem Lecha Kaczyńskiego, pamięta o latami pomijanych przy przyznawaniu państwowych nagród ludziach podziemia. ■

Jakub Kozłowski

Powrót do korzeni

Najnowsza płyta Mike'a Oldfielda stanowi przejaw dążenia muzyka do odtworzenia i rozszerzenia konceptualno-stylistycznych rozwiązań z jego najbardziej udanych artystycznie albumów. Z tym, że nostalgia i tęsknota za własną przeszłością są właściwie fundamentem, na którym artysta buduje nową opowieść.

Album wymyka się łatwej interpretacji i ocenie. Wszystko zależy bowiem od zaangażowania słuchacza, jego nastroju i chęci (bądź jej braku) pełnego przeżywania płyty. Nie jest to muzyka tła, chociaż nastrojowe, wyraźnie spokojne i odrobinę „pastelowe" kompozycje mogą skłaniać do takiej właśnie konkluzji. Jeżeli słuchamy „Return to Ommadawn" niejako przy okazji innych czynności, wiele niuansów i smaczków albumu po prostu pozostanie niezauważonych. Kompozycje ulegną spłaszczeniu, a nasz odbiór płyty spaczony.

Album podzielony został na dwie kompozycje rozwijające się nieśpiesznie, z wyczuciem są wzbogacane przez twórcę o kolejne warstwy melodyczne i zróżnicowanie wykorzystywanego instrumentarium. Należałoby zresztą stwierdzić, że pomimo ich wzbudzającej szacunek długości, to właśnie melodia pozostaje czynnikiem dominującym i determinującym odbiór utworów. Płyta jest również, co zresztą wynika bezpośrednio z jej melodyjności, dziełem niewzbijającym się na wyżyny progrockowych poszukiwań. Nie ma tu eksperymentów i zaskoczeń. Mamy za to dominujące brzmienie fletu, harfy, mandoliny i delikatnej gitary hiszpańskiej od czasu do czasu wzmacniane, charakterystycznymi dla Oldfielda, elektrycznymi wstawkami.

Jeżeli miałbym przyporządkować „Return to Ommadawn" do konkretnej stylistyki muzycznej, byłby to etniczny folk zabarwiony rytmami celtyckimi. Muzyka przestrzenna, nieśpieszna, odrobinę nawet wycofana, budująca napięcie w sposób zupełnie nieefektowny i odrobinę niemodny. W tym jednak tkwi jej piękno. Jest to album w doskonały sposób wypełniający leniwe, wiosenne popołudnie. Nie ukrywam jednak, że w trakcie odsłuchu powolnych, folkowo zabarwionych kompozycji przychodzi moment, w którym odbiorca zaczyna z utęsknieniem wyczekiwać tych kilku dźwięków gitary elektrycznej, którymi Oldfield wzbogaca album. Przywracają one siłę wyrazu i, co tu kryć, żywotność albumowi.

Mike Oldfield, „Return to Ommadawn", 2017 r.

A jednak płyta stanowi niewątpliwie udany powrót artysty do brzmień i rozwiązań stylistycznych, z którymi kojarzymy go najlepiej. Nie sposób pomylić „Return to Ommadawn" z twórczością kogokolwiek innego. Od pierwszych taktów wiadomo, że mamy do czynienia z Mikiem Oldfieldem. Czy jednak zaliczyć można „Return to Ommadawn" do najlepszych dokonań w historii artysty? Raczej byłoby to trudne. Płycie brakuje, niestety, ożywczego powiewu nowości. Muzyk korzysta z dawno wypracowanych i sprawdzonych patentów, rozwiniętych co prawda do perfekcji, ale doskonale znanych już słuchaczowi. Inna sprawa, że większość oddanych fanów Mike'a Oldfielda oczekuje od niego tych właśnie brzmień, emocji czy rozmarzonego, nierzeczywistego nastroju. Na szczęście „Return to Ommadawn" nie sprawia wrażenia próby odcinania kuponów od projektu, który w 1975 r. przyniósł ugruntowanie pozycji Brytyjczyka na progresywnej scenie. Najnowszy album przyrównać można raczej do drugiego tomu ulubionej powieści – z przyjemnością wracamy do znanych już bohaterów i intrygującego świata, chociaż to właśnie tom pierwszy na dłużej zostanie nam w pamięci. ■

Sylwia Krasnodębska

TWIN PEAKS
strachy w operze mydlanej

„Do zobaczenia za 25 lat" – powiedziała Laura Palmer do agenta Coopera w ostatnim odcinku serialu „Miasteczko Twin Peaks". David Lynch sprawił, że słowa te stały się przepowiednią. I tak, po ćwierć wieku, serial powrócił w nowej odsłonie.

Trzydzieści odcinków, których oglądalność spadała z emisją każdego kolejnego. Nie wszyscy chcą o tym pamiętać, ale to właśnie z powodu pogarszającej się oglądalności produkcję „Miasteczko Twin Peaks" zakończono na drugim sezonie w 1991 r. Tymczasem to ta produkcja przyniosła Davidowi Lynchowi światową sławę, a kult serialu zdaje się żyć własnym życiem. I przetrwał aż ćwierć wieku. Gdy zamykamy ten numer miesięcznika „Nowe Państwo", jesteśmy jeszcze przed premierą pierwszego odcinka trzeciego sezonu serialu. Wróćmy więc do przeszłości.

Festiwal obsesji i fanaberii

W spokojnym miasteczku na plaży zostaje znalezione ciało dwudziestoletniej Laury Palmer. Choć zbrodnia wydaje się nieprawdopodobna, niebawem okaże się, że mordercą młodej piękności mógł być w tym nadzwyczajnym miasteczku każdy. Jednak nie sama zagadka kryminalna uczyniła z produkcji kultową. Serial sprzed 25 lat przykuł uwagę z pewnością oniryczną formą. Lynch wręcz z ignorancją dla czystości formy łamał wszelkie możliwe schematy. I robił to w sposób zamierzony i często zdumiewający. Z fantazją szaleńca łączył sceny komiczne z pełnymi grozy. Tworzył obrazy rodem z kina artystycznego, by ostentacyjnie zabarwić je zwykłym kiczem. Wprowadził też dużo wątków paranormalnych, zarezerwowanych w tamtym czasie raczej dla produkcji filmowych niż serialowych.

„Agent Cooper był postacią, którą uwielbiałem i z drugiej strony nienawidziłem, bo prawie zabił mnie aktorsko" – powiedział cztery lata temu Kyle MacLachlan, czyli legendarny agent Cooper, w rozmowie z portalem dzikabanda.pl. „Davidowi Lynchowi i Markowi Frostowi udało się bowiem stworzyć postać narkotycznie wciągającą, magiczną. Cooper miał swoje obsesje – swoją drogą podobnie jak Orson Hodge – fanaberie i dzięki nim był postacią niezwykle wyrazistą. To pierwsza rzecz, która na pewno przyczyniła się do sukcesu serialu. Kolejną była fantasmagoryczna konstrukcja świata – niemal hipnotyczna. Wtedy, pod koniec lat 80., nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak wielki wpływ ten serial będzie miał na telewizję, ale jedno wiedzieliśmy – nikt nie zrobił przed nami takiego serialu".

Dom wariatów

Dziś, oglądając dwa archiwalne sezony, można odnieść wrażenie, że tworzone były one z subtelnością drwala. Efekty specjalne zdają się rodem z niskobudżetowego filmu. Do tego szaleństwo formy często skutecznie odciągało widza od wątku głównego i szukania odpowiedzi na pytanie, kto zabił Laurę Palmer. Lynch dał też upust wyobraźni w warstwie fabularnej. Wielowątkowość opowieści wprowadza w konsternację. Można odnieść wrażenie, że David Lynch i Mark Frost z serialu uczynili sobie przyjazną płaszczyznę do realizacji zwariowanych pomysłów, które nie nadawałyby się do pokazania w żadnej innej produkcji. Można wspomnieć choćby jednooką konstruktorkę cichych karniszy czy kobietę z pieńkiem. Nawet schematyczny model kryminalny, by podejrzanym o morderstwo był każdy z bohaterów serialu, został przez twórców postawiony przed krzywym zwierciadłem. Bowiem każda z licznych postaci jest skrajnie przerysowana, a surrealizm zdaje się ocierać o zwykłą śmieszność. Ujawnia się tu też demaskatorski sposób opowiadania historii przez Lyncha. Każda z postaci skrywa mroczne tajemnice. By je ochronić, posunie się do wszystkiego. Trzeci, premierowy sezon również nie może być łatwym seansem. Amerykański reżyser postanowił do obsady 18 odcinków zatrudnić 217 aktorów. W tym polską aktorkę Karolinę Wydrę.

Lynch – outsider kina

Scenariusz trzeciego sezonu „Miasteczka Twin Peaks" powstawał przez dwa lata, a prace nad nim były owiane tajemnicą. Reżyserem całości jest David Lynch. Nowe 18 odcinków tworzą osobną zamkniętą fabułę. Co znaczy, że można je śmiało oglądać bez znajomości wcześniejszych dwóch sezonów. Mimo to spodziewać się było można, że premiera kultowej produkcji wyprzedzona zostanie przypomnieniem pierwszych sezonów i innych produkcji Davida Lyncha. Kanał HBO przez cały maj emitował archiwalne odcinki, a w połowie ubiegłego miesiąca na ekranach kin można było zobaczyć zremasterowane filmy Davida Lyncha: „Twin Peaks: Ogniu, krocz ze mną", „Zagubiona autostrada" i „Głowa do wycierania".

Pierwsza żona reżysera, Peggy Reavey, w książce „Widzę siebie. Autobiografia" Davida Lyncha, wspominając czasy ich wspólnego pobytu w Akademii Sztuk Pięknych w Filadelfii, powiedziała: „Niewykluczone, że byliśmy jedynymi studentami z lat sześćdziesiątych, którzy nie brali LSD! David [...] nie znosi być na czasie. Nie chadzał w czarnych golfach, ubierał się w luźne spodnie i nosił odwinięte kołnierze od koszul. David nie znosił trendów. Tylko że teraz to on je ustala". Czy słowa te, wypowiedziane dwadzieścia lat temu, są aktualne i ponadczasowe, jak kino Davida Lyncha? ■

fot. mat. press.

Rawa Blues

RAWA BLUES FESTIVAL 37 EDYCJA

THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 29.09.2017 GODZ. 19.30

EDEN BRENT
DUDEK BIG BAND

SPODEK 30.09.2017 OD GODZ. 11.00

MARCUS KING BAND
TIM WOODSON
& THE HEIRS OF HARMONY
SONNY LANDRETH
KRIS BARRAS BAND

SOBO BLUES BAND ★ GRZEGORZ KAPOŁKA TRIO
POLA CHOBOT & ADAM BARAN
WES GAŁCZYŃSKI & POWER TRAIN ★ TWO TIMER

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

Blackberry Brothers, Hubert Szczęsny i Nie strzelać do pianisty,
Adam Bartoś, Tandeta Blues Band, HoldBlues, Forsal, Rockomotive

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com **bilety: www.ticketpro.pl**

KATOWICE Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jedynka Trójka TVP2 TVP3 KATOWICE TVP KULTURA NOSPR NOVOTEL BUSINESS CONSULTING GAZETA POLSKA Gazeta Polska republika BLUES jazz forum POLSKIE RADIO KATOWICE onet.

Ryszard Czarnecki

List do pana S.

Czekaliśmy na audiencję u wielkiego muftiego Kairu. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie, zabijałem czas rozmową z Peterem. Mówię mu, że jego kraj wydał znakomitego historyka wieków średnich, że czytałem jego słynną książkę. Wymieniłem nazwisko i tytuł. Holender zrobił wielkie oczy. „No nie – myślę – aż takim nieukiem to ty chyba nie jesteś? A może?". „To jakiś Węgier" – mówi Peter, a mi się nie chce wierzyć. W końcu literuję imię i nazwisko i oczywiście „Johan" się zgadza, ale to „u" czyta się po niderlandzku jak „a", a „g" jak „h" – w związku z tym Huizinga brzmi wreszcie po niderlandzku tak jak trzeba.

Mufti lubi mówić, a nawet chyba bardzo lubi, ale ja myślę o „Złotej jesieni średniowiecza" , bo o niej mowa. W wiekach średnich dżuma, ospa, cholera dziesiątkowały miasta i kraje, ludzie masowo zarzynali się, a jednak średniowiecze miało tyle zalet! Takich, których dziś nie uświadczysz. Albo będziesz ich szukał pod mikroskopem. Bo w średniowieczu władcy poważnie traktowali swoje obowiązki. Elity wiedziały o swoich powinnościach. Jednostka umiała poświęcić szczęście osobiste na rzecz interesów własnej rodziny królewskiej, dynastii, państwa. Gdy po tylu wiekach w Indiach wciąż funkcjonują małżeństwa ustawiane przez rodziców i są one powszechnie akceptowane przez samych młodych, to przecież niczym innym nie była polityka dynastyczna w średniowiecznych Polsce, Francji, Niemczech, Włoszech.

A więc, drogi S., w Kairze, zwanym kiedyś ponoć Paryżem Bliskiego Wschodu, myślałem o niderlandzkim uczonym i o okresie, który na Starym Kontynencie zakończył się mniej więcej przed sześcioma wiekami. A potem cały czas w tym kontekście przypominał mi się Stary Ogrodnik z wiersza Miłosza „Piosenka o końcu świata", który dowodził, że „innego końca świata nie będzie". Buntowałem się przeciwko temu stwierdzeniu Starego Ogrodnika, potem po długich latach przestałem, ostatnio znów uwierzyłem, że może być inaczej, ale teraz widzę, że jednak innego końca świata nie będzie. I już. A więc, drogi S., dumałem nad tym wszystkim ostatnio na strasburskim bruku, choć bardziej pasowałby mi ten brukselski, bo spotkać można byłoby wtedy nawet ducha Joachima Lelewela.

Tak, średniowieczne elity przesiąknięte były jednak duchem służby. Nie przeszkadzało, że składały się one często z ludzi okrutnych, chciwych i makiawelicznych i to zanim jeszcze urodził się Niccolò Machiavelli. Oddawali wszak Bogu – co boskie, a interesowi dynastii i państwa – co im się należało.

Nie idealizuję średniowiecza, zapewne poza wynalazkami techniki, środkami komunikacji społecznej i organizacją życia zbiorowego tamta epoka niespecjalnie różniła się od naszej. Natura ludzka pozostanie niezmienna, ale poczucie powinności, obowiązków wynikających z bycia elitą, władzą było przemożne i na tym ołtarzu interesu państwowo-dynastycznego poświęcano własne szczęście i życie osobiste.

Tak, średniowieczne elity przesiąknięte były jednak duchem służby. Nie przeszkadzało, że składały się one często z ludzi okrutnych, chciwych. Oddawali wszak Bogu – co boskie, a interesowi dynastii i państwa – co im się należało.

Po sześciu czy siedmiu wiekach pisał Roman Dmowski, iż „mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka".

Od rozmowy w rezydencji wielkiego muftiego w stolicy Egiptu, przez historyka z Królestwa Niderlandów wiodłem, drogi S., podróż przez bezkres historii, cofając się do głębokiego średniowiecza, przeskakując do polskiej literatury, reprezentowanej przez poetę przez większość życia mieszkającego w kraju za wielką wodą, w którym pojęcie „średniowiecza" nie istniało. I znów podróż do wieków średnich, gdzie okrucieństwo mieszało się z ładem, a złe strony ludzkiej natury z poczuciem, iż człowiek jest częścią większej całości w każdym tego słowa znaczeniu, aż podróż tę kończę na dewizie wziętej z „Myśli nowoczesnego Polaka".

Ów „nowoczesny Polak" miał (powinien mieć), jak widać, wiele wspólnego z elitami wieków średnich. Poczucie obowiązku wobec państwa – na pewno. ■

Olga Doleśniak-Harczuk

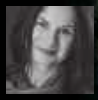

Niech Trump zapyta Putina o zamach na JP II

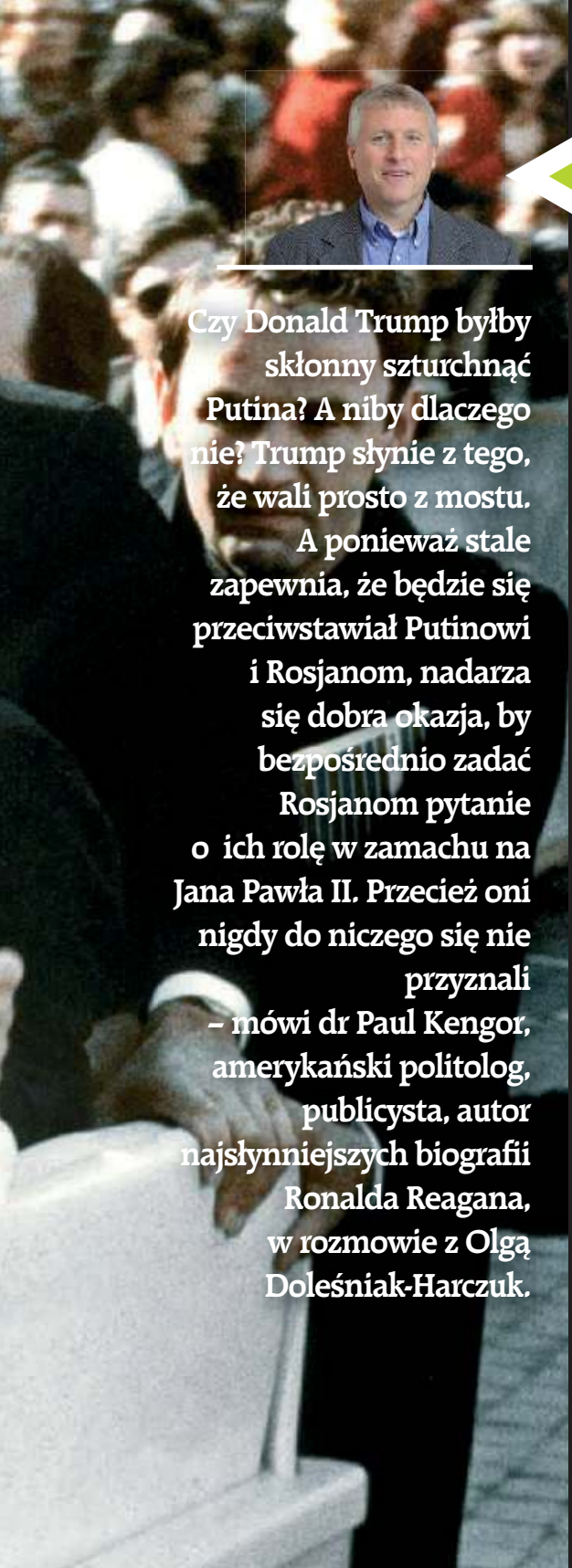

Czy Donald Trump byłby skłonny szturchnąć Putina? A niby dlaczego nie? Trump słynie z tego, że wali prosto z mostu. A ponieważ stale zapewnia, że będzie się przeciwstawiał Putinowi i Rosjanom, nadarza się dobra okazja, by bezpośrednio zadać Rosjanom pytanie o ich rolę w zamachu na Jana Pawła II. Przecież oni nigdy do niczego się nie przyznali – mówi dr Paul Kengor, amerykański politolog, publicysta, autor najsłynniejszych biografii Ronalda Reagana, w rozmowie z Olgą Doleśniak-Harczuk.

fot. PAP/EPA

1 maja w Stanach Zjednoczonych miała premierę Pana książka „A Pope and a President: John Paul II, Ronald Reagan, and the Extraordinary Untold Story of the 20th Century", w której powołuje się Pan na nieopublikowany raport CIA. Analiza ta dotyczy zaangażowania Związku Sowieckiego w zamach na Jana Pawła II w maju 1981 roku. Co dokładnie zawiera ten dokument?

O istnieniu raportu dowiedziałem się sześć lat temu w trakcie kompletowania materiałów do książki o przyjaźni, jaka łączyła prezydenta Ronalda Reagana i Jana Pawła II. Rozmawiałem z wieloma współpracownikami Reagana, również z tymi najbardziej zaufanymi. Wnioski i dowody publikuję w najnowszej książce. To, czego się dowiedziałem, raczej nie zaskoczy Polaków, chodzi o fakt, że to Kreml zlecił zamach na Jana Pawła II. Za zleceniem stał sowiecki wywiad wojskowy GRU działający za wiedzą szefa KGB Jurija Andropowa. I o ile ta informacja nie jest dla Polaków, jak sadzę, niczym nowym, o tyle już kolejna będzie: Bill Casey, szef CIA [piastował tę funkcję od 1986 r. – przyp. O.D.-H.], zlecił ściśle tajne śledztwo w sprawie zamachu na papieża. Casey, tak samo jak Reagan i jego najbliżsi współpracownicy, w tym szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego Bill Clark, od początku podejrzewali Moskwę o związek z zamachem. Informacje, jakie znalazły się w raporcie Caseya, były do tego stopnia wybuchowe, że nie tylko nigdy nie zostały opublikowane, lecz także oficjalnie uznane. Do dziś tamto dochodzenie pozostaje najbardziej tajnym spośród wszystkich, jakie prowadzono w czasie zimnej wojny. Wiem, że Casey powiadomił Reagana o swoich ustaleniach, sądzę, że do spotkania między prezydentem a szefem CIA w tej sprawie mogło dojść 16 maja 1985 roku o godzinie 11.02. Tłumaczenie, dlaczego uważam akurat tę godzinę za najbardziej prawdopodobną, jest dość skomplikowane, zapewniam jednak, że czytelnicy książki zrozumieją, dlaczego właśnie wtedy mogło dojść do tej rozmowy.

Jak wyglądało to supertajne śledztwo CIA?

Śledztwo prowadził mały zespół pod okiem samego Caseya. Pracami zespołu dowodziły dwie młode kobiety, jedna przed trzydziestką i czterdziestoparolatka. Ponoć ustalenia, które poczyniły, były tak wysokiej klasy, że wprawiły w zakłopotanie doświadczonych pracowników CIA i zatrudnionych w agencji biurokratów, których

niekompetencja była miejscami wręcz irytująca. Żenująco niski poziom ich pracy wynikał z utartego sposobu postrzegania rzeczywistości. Ludzie ci wywodzili się w większości z liberalnych elit, którym przez myśl nie przeszło, że Sowieci mogą być na tyle źli, by strzelać do papieża. Niektórzy z nich, jakkolwiek by to absurdalnie zabrzmiało, próbowali nawet dowodzić, że Kreml upatrywał w Janie Pawle II „siłę stabilizującą" blok komunistyczny. Ci, którzy w to wierzyli, musieli być niespełna rozumu. To było czysto ideologiczne szaleństwo. Ludzie o takich poglądach nigdy nie powinni być dopuszczeni do sporządzania analiz dotyczących Związku Sowieckiego. Na szczęście w administracji Reagana byli jeszcze tacy eksperci, jak Bill Casey, Bill Clark i oczywiście sam Reagan, dla którego Związek Sowiecki był po prostu imperium zła, państwem, które nie cofnęłoby się nawet przed próbą zamordowania polskiego papieża. Otoczenie Reagana i sam Jan Paweł II doskonale rozumieli, że Kreml widział w polskim pontifeksie siłę, ale nie stabilizującą, tylko destabilizującą blok komunistyczny, kogoś, kto stanowił ogromne zagrożenie dla Sowietów i ich wpływów w Polsce i całej Europie Wschodniej. Ludzie Reagana mieli oczywiście rację.

▶ Jedno ze źródeł, które cytuje Pan w książce, stwierdza w pewnym momencie: „Musielibyśmy wyłupić oczy każdemu, kto zapoznałby się z wnioskami raportu". Wygląda na to, że samo CIA było zszokowane jego wybuchową zawartością.

Z pewnością tak. Establishment CIA, czyli liberalne skrzydło agencji, osłupiał wręcz ze zdumienia. W dalszym ciągu nie dopuszczał do siebie myśli, że Moskwa mogła „upaść tak nisko", by usiłować zamordować papieża. Nawet gdy dotarła do niego wieść o wewnętrznym raporcie, nie miał zamiaru dać wiary jego konkluzjom. Był niesamowicie wręcz naiwny i nie miał bladego pojęcia, jak funkcjonuje sowiecki komunizm.

▶ A jednak CIA nie zdecydowała się ujawnić swoich ustaleń. Administracja Reagana przestraszyła się ewentualnych konsekwencji?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie, nie udało mi się ustalić, co na ten temat myśleli Reagan i Casey. Natomiast spotkałem się z relacją, że Casey poinformował Jana Pawła II o prowadzonym śledztwie. Powiedziano mi też, że papież nie chciał, by Casey czy Reagan ujawnili konkluzje śledztwa lub swoje podejrzenia, obawiając się potencjalnych retorsji międzynarodowych, papież wiedział, że w takiej sytuacji Moskwa wściekle odpierałaby zarzuty i wprawiła w ruch potężną kampanię dezinformacyjną. Kilka dni po premierze książki jedno ze źródeł przekazało mi informację, że już po Reaganie o śledztwie Caseya wiedział jeszcze jeden prezydent Stanów Zjednoczonych, ale papież i jego poprosił o niepodnoszenie kwestii raportu i przetrzymanie dokumentów jeszcze przez pewien czas w ukryciu. Jestem zdania, że dziś, w 2017 roku, nie powinno być w tym temacie już żadnych ograniczeń.

Otoczenie Reagana i sam Jan Paweł II rozumieli, że Kreml widział w polskim pontifeksie siłę, ale nie stabilizującą, tylko destabilizującą blok komunistyczny, kogoś, kto stanowił ogromne zagrożenie dla Sowietów i ich wpływów w Polsce i całej Europie Wschodniej.

▶ Myśli Pan, że Donald Trump byłby skłonny wystąpić do CIA o ujawnienie treści raportu Caseya?

Publicznie wezwałem prezydenta Trumpa, by to uczynił. Bardzo bym chciał, by Trump lub ktoś z jego administracji wystąpił o odtajnienie pewnych dokumentów przetrzymywanych przez CIA i rząd Stanów Zjednoczonych. Prezydent Trump mógłby wywrzeć presję na waszyngtońską biurokrację i ujawnić pełną treść ustaleń zespołu Caseya w sprawie zamachu na JP II. Ponadto zaapelowałem do prezydenta Trumpa, by zwrócił się również do Władimira Putina i Rosjan o podjęcie pewnych działań. Od 2000 roku Putin jest w Rosji człowiekiem numer jeden. Z całą pewnością ma wiedzę dotyczącą tego, co wydarzyło się na placu św. Piotra 13 maja 1981 roku. Czy Donald Trump byłby skłonny szturchnąć Putina? A niby dlaczego nie? Trump słynie z tego, że wali prosto z mostu. A ponieważ stale zapewnia, że będzie się przeciwstawiał Putinowi i Rosjanom, nadarza się dobra okazja, by bezpośrednio zadać Rosja-

nom pytanie o ich rolę w zamachu na Jana Pawła II. Przecież oni nigdy do niczego się nie przyznali.

▶ Czy naprawdę sądzi Pan, że Władimir Putin byłby gotów do ujawnienia jednego z najpilniej strzeżonych sekretów Związku Sowieckiego?

Prezydent Stanów Zjednoczonych powinien wystąpić do Rosji z taką propozycją. A co do Pani pytania, czy uważam, że Putin by na nią przystał, odpowiedź brzmi: nie. Ale niezależnie od tego prezydent Trump powinien przynajmniej wyjść z taką inicjatywą. Ktoś w Ameryce, czy w Polsce, powinien poświęcić chwilę na to, by publicznie zadać Putinowi to pytanie. Powiem tyle, jeżeli byłbym doradcą Putina, to poradziłbym mu ustosunkowanie się do sprawy zamachu choćby po to, by poprawić sobie relacje z papieżem Franciszkiem i Stolicą Apostolską. Czemu nie? Myślę, że papież, Watykan i wielu ludzi na całym świecie, którzy nie lubią Putina, byliby zaskoczeni, gdyby publicznie zapowiedział ujawnienie szczegółów z 13 maja 1981 roku. Gdyby się na to zdecydował, sam bym temu przyklasnął.

▶ W 1981 roku Putin był już w KGB, czy mógł mieć wtedy dostęp do informacji o zamachu?

Nie sądzę, by Władimir Putin był w jakikolwiek sposób zaangażowany w zamach na Jana Pawła II. To niemożliwe. Decyzje zapadały na wysokim szczeblu, o sprawie wiedziała garstka sowieckich funkcjonariuszy. A w samym KGB prawdopodobnie tylko Andropow. Putin był zbyt niski rangą, by dopuszczono go do sprawy. Przynajmniej nie jestem sobie w stanie wyobrazić, by w tamtym czasie miał na ten temat wiedzę. Niezależnie od tego, co było w 1981 roku, dziś Putin z pewnością wie, co się wtedy wydarzyło.

▶ Wielokrotnie pisał Pan w swoich książkach o serdecznej przyjaźni, jaka łączyła Jana Pawła II z Ronaldem Reaganem. Czy tego typu relacja byłaby możliwa między Donaldem Trumpem a papieżem Franciszkiem?

Myślę, że nie. Mamy do czynienia z odwrotną sytuacją, stosunki Trumpa i Franciszka są przeciwieństwem tego, co obserwowaliśmy w przypadku Reagana i papieża Polaka. Już w czerwcu 1982 roku, podczas ich pierwszego spotkania było wiadomo, że bardzo wiele ich łączy, duchowo, historycznie, również pod względem doświadczeń osobistych – obaj przeżyli zamach na swoje życie. Wierzyli, że Bóg ocalił ich po to, by wspólnymi siłami stawili czoła zarazie ateistycznego komunizmu Sowietów. Donalda Trumpa i papieża Franciszka nie łączy ani duchowo-dziejowe poczucie misji, ani jakakolwiek wspólna wizja. Nie podejrzewam też, by zgadzali się ze sobą co do tego, jaka siła stanowi obecnie największe globalne zagrożenie i jak można ją okiełznać. A jednak mimo to chciałbym zobaczyć, jak Donald Trump porusza również w rozmowie z Franciszkiem temat komunistycznego spisku mającego na celu zamordowanie Jana Pawła II. Amerykańscy katolicy głosowali na Trumpa. Najprawdopodobniej to właśnie dzięki ich głosom został prezydentem. Jego zainteresowanie zamachem na papieża Polaka byłoby w pewnym sensie miłą odpłatą za udzielone przez katolików wsparcie. Wielu z nas czeka na wyjaśnienie okoliczności zbrodni stulecia z 13 maja 1981 roku. Najwyższy czas, byśmy je otrzymali. ■

AMERYKAŃSCY KATOLICY GŁOSOWALI NA TRUMPA. NAJPRAWDOPODOBNIEJ TO WŁAŚNIE DZIĘKI ICH GŁOSOM ZOSTAŁ PREZYDENTEM. JEGO ZAINTERESOWANIE ZAMACHEM NA PAPIEŻA POLAKA BYŁOBY W PEWNYM SENSIE MIŁĄ ODPŁATĄ ZA UDZIELONE PRZEZ KATOLIKÓW WSPARCIE.

_____

Dr Paul Kengor (ur. 1966 r.) – Executive Director w The Center for Vision & Values, politolog, absolwent University of Pittsburgh, wykładowca, publicysta, autor ponad 12 książek, w tym kilku bestsellerów poświęconych tematyce zimnej wojny, Ronaldowi Reaganowi, antykomunizmowi. Współpracuje m.in. z The Heritage Foundation, The Hoover Institution on War, Revolution. Częsty komentator stacji Fox News, jego felietony ukazują się m.in na stronach: „American Thinker", „American Spectator", „Townhall". Międzynarodową sławę przyniosły mu takie książki, jak „God and Ronald Reagan" (2004) i „The Crusader: Ronald Reagan & the Fall of Communism" (2006).

Pod koniec kwietnia amerykańskie i światowe media z ochotą podsumowywały pierwsze trzy miesiące kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa. Z racji na relacje z Rosją, a dokładniej na zaskakującą wielu, w stosunku do oczekiwań, zmianę w polityce Białego Domu wobec Kremla, szczególnie interesujące są oceny pierwszych 100 dni prezydenta USA w mediach wschodnioeuropejskich.

Antoni Rybczyński

Sto dni Trumpa, CZYLI MNÓSTWO NIESPODZIANEK

fot. Andrew Harrer/POOL/PAP/EPA

W portalu jednej z najpopularniejszych ukraińskich gazet „Segodnya" ocenę pierwszych 100 dni Trumpa przedstawił 27 kwietnia Serhij Korsunskyj, zawodowy dyplomata, który był m.in. na placówce w USA, a przez ostatnie osiem lat pełnił funkcję ambasadora Ukrainy w Turcji. Autor jest przede wszystkim przekonany, że „gdyby nie pozycja Kongresu i siła amerykańskich mediów, moglibyśmy być teraz świadkami kolejnego resetu stosunków z Rosją, sporu z Europą i ostrych dyskusji o roli NATO. Jednak we wszystkich tych kwestiach stanowisko Białego Domu w ciągu ostatnich trzech miesięcy kardynalnie się zmieniło, i to nie raz, na dodatek z niesamowitą łatwością". Tymczasem minęły trzy miesiące, a USA przyjęły taki kurs polityki zagranicznej („imponujący poziom pragmatyzmu, z otwarcie określonymi priorytetami i nawet konkretnymi krokami"), że wlało to w serca przyjaciół i sojuszników USA wiele optymizmu. Korsunskyj uważa, że na taki bieg wydarzeń największy wpływ wywarło pięć osób: „wiceprezydent M. Pence, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego H.R. McMaster, sekretarz stanu R. Tillerson oraz dwoje prezydenckich doradców, jednocześnie bliskich Trumpa: córka Ivanka i jej mąż D. Kuschner". To, w jaki sposób nowa administracja widzi prowadzenie polityki zagranicznej, najlepiej oddaje decyzja o ataku rakietowym w Syrii.

Asad już nie taki dobry

„Mówią, że właśnie Ivanka i Kuschner poparli przeprowadzenie takiego ataku, a Pentagon tylko wypełnił, na celującą ocenę, postawione zadanie. Został wybrany odpowiedni moment, czyli chemiczny atak wojsk Asada na ludność cywilną, wykorzystano mechanizm kooperacji z Rosją (aby nie podnosić napięcia, ale uczynić niemożliwym obronę syryjskich obiektów za pomocą rosyjskich środków obrony przeciwlotniczej) i na koniec zademonstrowano Asadowi i Rosji zdecydowanie Waszyngtonu, że będzie działał w razie konieczności z użyciem siły, a jednocześnie wykonano gest w stronę Turcji, gdzie coraz częściej krytykuje się stanowisko USA w sprawie Syrii". Podobnego zdania jest rosyjski niezależny portal Meduza, który swoją ocenę zagranicznej polityki Trumpa w pierwszej fazie prezydentury przedstawił już w połowie kwietnia: „Bez wątpienia zwrotnym momentem w tej pierwszej fazie prezydentury Trumpa, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, był atak rakietowy na syryjską bazę Szajrat 7 kwietnia. Wszak w czasie kampanii nie raz Trump obiecywał, że USA nie będą mieszały się w wewnętrzne sprawy innych państw. Jedną z konsekwencji ataku była gwałtowna zmiana polityki Trumpa wobec Rosji – jeśli do kwietnia 2017 r. oba kraje mówiły, że oczekują poprawy stosunków, to po akcji Amerykanów Moskwa i Waszyngton chórem konstatują ich dalsze pogorszenie. Kampania syryjska to tylko jedna z ilustracji tego, jak mocno decyzje

Trumpa w sprawie polityki zagranicznej różnią się od jego wyborczych obietnic".

Rosyjski portal przypomina, że Trump zbudował swoją kampanię na haśle „Ameryka przede wszystkim!". Miało to oznaczać, że USA skoncentrują się na rozwiązywaniu wewnętrznych problemów, nie wplątując się w kosztowne operacje służące „eksportowi demokracji". Jedynym wyjątkiem miała być wojna z międzynarodowym terroryzmem i Państwem Islamskim. „Trump krytykował Obamę za wahania w sprawie Syrii, ale przestrzegał przed aktywnym amerykańskim mieszaniem się w ten konflikt. Podczas debat z Clinton Trump mówił, że obaliwszy Asada, USA ryzykują, że w jego miejsce pojawi się ktoś jeszcze gorszy. Jeszcze kilka dni przed atakiem na bazę Szajrat Trump mówił, że Asad w pełni satysfakcjonuje go jako lider syryjski. Jednak po chemicznym ataku w prowincji Idlib prezydent USA oświadczył, że całkowicie zmienił swój punkt widzenia. Teraz jest zdecydowanie za odsunięciem Asada od władzy".

USA–Rosja. Próba sił

Ze zwrotem w polityce wobec Asada wiążą się też zmiany w stosunkach z Rosją. „Amerykańskie media podczas kampanii nazywały Trumpa miłośnikiem Władimira Putina i nawet człowiekiem Kremla. Rzeczywiście, politycy wymieniali się komplementami: Putin nazywał Trumpa absolutnym liderem wyścigu prezydenckiego, bardzo energicznym i utalentowanym człowiekiem, a ten mówi o Putinie jako o twardym przywódcy, który cieszy się szacunkiem w świecie. Trump zapewniał też, że wie, jak poprawić wzajemne relacje: porażka poprzedniej administracji jego zdaniem tłumaczy się tym, że Obama i Clinton nie szanowali Putina". Po ataku rakietowym w Syrii i sam Trump, i nominowani przez niego dyplomaci wprost lub pośrednio winili Rosję za wspieranie zbrodni Asada; Rosja zablokowała w Radzie Bezpieczeństwa ONZ ileś projektów rezolucji w sprawie Syrii i ogłosiła wstrzymanie działania podpisanego wcześniej memorandum o zapobieganiu incydentom i zapewnieniu bezpieczeństwa lotów samolotów w czasie operacji w Syrii. 12 kwietnia Tillerson spotkał się w Moskwie z Putinem i Ławrowem. Po tych rozmowach Trump przyznał, że nie udało się dogadać z Rosją: „Niewykluczone, że rosyjsko-amerykańskie stosunki znajdują się obecnie w najniższym punkcie w całej ich historii".

Z drugiej jednak strony – wróćmy do Korsunskiego – w opinii McMastera „przyszedł czas, by poważnie rozmawiać z Rosją o jej poparciu syryjskiego reżimu i wywrotowych działaniach w Europie". Dialog wciąż więc nie jest wykluczony. „Rozumie to najwyraźniej Putin i kontynuuje podbijanie stawki. Po ataku Tomahawków z Moskwy nadchodziły groźby, że w przypadku powtórki takiej operacji rakiety zostaną strącone, Asad przebazował samoloty na rosyjskie lotniska, rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ w sprawie Syrii Rosja zawetowała. Pojawiły się i nowe tendencje. Nie dość, że Rosja zaczęła przemieszczać wojska w stronę Korei Północnej, wznowiono połączenie promowe między KRLD a Władywostokiem, a to już jest naruszenie sankcji. Na dodatek rosyjskie okręty wojenne pojawiły się w portach Filipin, gdzie władzę sprawuje nastrojony antyamerykańsko prezydent Duterte". Jak czytamy w portalu gazety „Segodnya", zdaniem ekspertów Putin próbuje zademonstrować Stanom Zjednoczonym, że Rosja ma globalne interesy i jeśli Waszyngton uważa za możliwe wpływać na polityczne procesy w tradycyjnej „strefie wpływu" Rosji, to i Moskwa jest zdolna na symetryczną odpowiedź. „Jednocześnie widać wyraźnie, że ekonomiczne zasoby USA i Rosji są nieporównywalne i fakt, że USA kontynuują zwiększanie eksportu ropy i w tym roku w pełni zrekompensowały obniżenie wydobycia, co z takim trudem uzgodniono w OPEC, świadczy o konkretnych krokach Waszyngtonu, by wciągnąć Rosję w pozycyjny konflikt, który wcześniej czy później będzie ponad jej siły". Dowodem na taką strategię ma być fakt, że „już po wizycie Tillersona w Moskwie Exxon zwrócił się do rządu USA z prośbą o zrobienie wyjątku dla projektów spółki wspólnych z Rosją na Morzu Czarnym, na co uzyskał odpowiedź odmowną".

„Stosunki z NATO wykazały zupełnie inną dynamikę" – podkreśla ukraiński dyplomata. „Trump, trzeba mu to oddać, uczciwie przyznał się, że wcześniej uważał NATO za przestarzałe, tymczasem ono, okazało się, takim nie jest. W opinii Trumpa sojusznicy z NATO powinni płacić więcej na obronę (co jest w zasadzie sprawiedliwym postulatem), a armia USA nie ma innego wyboru, niż rozwijać się i zbroić".

Rewizja stosunku do Chin

Jeśli w przypadku Rosji oczekiwania na poprawę stosunków skończyły się tylko ich pogorszeniem, to na odcinku chińskim Trump zmienił zdanie w drugą stronę. „Podczas kampanii Chiny były jednym ze stałych tematów ostrych wypowiedzi Trumpa. Zwłaszcza oskarżał Pekin o manipulacje na rynku walutowym, o handlowe i przemysłowe szpiegostwo, zalewanie amerykańskiego rynku podróbkami, a także o to, że Chiny kradną Stanom Zjednoczonym pieniądze i miejsca pracy. Wszystkiemu temu Trump obiecał położyć kres już w pierwszym dniu na stanowisku prezydenta" – przypomina rosyjska Meduza. Tyle że już w lutym 2017 r. prezydent przeprowadził „pozytywną" telefoniczną rozmowę z przywódcą ChRL Xi Jinpingiem. Wiosną Xi stał się jednym z pierwszych światowych liderów przyjętych przez Trumpa w jego rezydencji w stanie Floryda. Zaraz po tym w wywiadzie dla „The Wall Street Journal" amerykański prezydent oświadczył, że „w pełni dokonał przeglądu" swojego stosunku do Chin. „W ogóle nie są manipulatorami" – powiedział. Wyjaśnił, że Chiny są potrzebne USA w roli sojusznika dla po-

wstrzymywania Korei Północnej. „Zaraz po powrocie z Florydy Xi Jinping nakazał zaprzestać zakupu węgla od Korei Północnej i przesunął ku granicom niespokojnego sąsiada 150-tysięczną armię" – pisze Korsunskyj. Jeśli wcześniej wszyscy „eksperci" mówili o możliwej „transakcji" USA z Rosją w formule „Syria w zamian za Ukrainę", to teraz, wygląda na to, że taka transakcja została zawarta z Chinami, i w odniesieniu do Korei Północnej. W mniej zauważalny sposób administracja Białego Domu wykonała gesty w stosunku do Egiptu i Arabii Saudyjskiej, mając najwyraźniej na celu zwiększenie nacisku na Iran.

Cel: Afganistan i Pakistan

Zmiany Trump wprowadza także na innych odcinkach. Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego McMaster jest specjalistą od Afganistanu, nie dziwi więc, że właśnie on wybrał się do tego regionu: Afganistanu i Pakistanu, aby omówić perspektywy wspólnych działań przeciwko Al-Kaidzie, Talibanowi i IS. Tuż przed jego podróżą lotnictwo amerykańskie zrzuciło na afgańskiej pustyni, gdzie kryją się talibowie, największą na świecie bombę konwencjonalną GBU-43. Nie jest jasne, jak duże były efekty, jeśli chodzi o straty ludzkie (mówi się o 90 zabitych), ale efekt psychologiczny było widać. USA mają w Afganistanie 8 tys. żołnierzy, a lokalne dowództwo kontyngentu naciska na jego zwiększenie. Jednak w opinii Białego Domu jakiekolwiek zwiększenie liczebności powinno być poprzedzone ruchami politycznymi, i to właśnie oznajmił McMaster afgańskim władzom. „Zdaniem analityków, właśnie z dominacją McMastera należy wiązać przejście od spontanicznych decyzji Białego Domu do systemowej pracy nad strategiami: w sprawie Afganistanu, IS, Rosji, Iranu, Syrii, Korei Północnej itd." – czytamy w „Segodnyi". USA wydały na odbudowę Afganistanu 117 mld dolarów, z których 70 mln poszło na zbrojenie i szkolenie sił bezpieczeństwa. A jednak dziś talibowie kontrolują większy obszar kraju niż w jakimkolwiek momencie po 2001 r., a to oznacza klęskę dotychczasowej polityki USA. Jedna z przyczyn kryje się w totalnej politycznej i ekonomicznej korupcji, więc walka z tym jest, według słów McMastera, jedną z najważniejszych części przyszłej „afgańskiej" strategii. Drugą jej częścią będzie współpraca z Pakistanem. Władze tego kraju w trakcie spotkań z wysłannikiem Białego Domu wyraziły „zadowolenie" w związku ze stanowiskiem prezydenta Trumpa o pomocy w rozwiązaniu niekończących się konfliktów z Indiami wokół Kaszmiru, a także potwierdziły gotowość współdziałania w walce z „dowolnymi formami terroryzmu" w regionie.

Z południem przeciw północy

Podczas gdy McMaster wizytował Pakistan i Afganistan, wiceprezydent Pence wyruszył tam, gdzie dojrzewa poważny kryzys wokół Korei Północnej. W Korei Południowej Pence odwiedził linię demarkacyjną i miejsca dyslokacji amerykańskiego kontyngentu, a w tle akurat pojawiły się doniesienia o ruchu grupy uderzeniowej Trzeciej Floty USA w stronę Półwyspu Koreańskiego. Sygnał dla Pjongjangu był czytelny: „era strategicznej cierpliwości" się zakończyła. Sytuacja wyglądała na bardzo napiętą, jednak kolejne wystrzelenie północnokoreańskiej rakiety balistycznej okazało się nieudane i świat westchnął z ulgą. Jednak przedstawiciel Pjongjangu w ONZ oświadczył, że jego kraj nie boi się „pogróżek imperialistów" i że próby rakiet i ładunków jądrowych będą miały miejsce wtedy, gdy zdecyduje kierownictwo kraju. W odpowiedzi USA oświadczyły, że rozpatrują wariant bardzo surowych sankcji przeciwko KRLD, a Pence powiedział, że „Korea Północna postąpi mądrze, jeśli nie zacznie wypróbowywać zdecydowania i siły sił zbrojnych USA w regionie". Chiny tradycyjnie wystąpiły za rozwiązaniem problemu drogą „dyplomatyczną", a to, co najciekawsze, przerzut wojsk ku granicy z KRLD zaczęła Rosja. Jeszcze wcześniej Moskwa (tak jak i Pekin) wysłała wojenny okręt dla „asystowania" grupie uderzeniowej floty USA w celach wywiadowczych. „Nie ma żadnych wątpliwości, że gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA dla Japonii i Korei Południowej, tak jak i aktywizacja dwustronnej współpracy gospodarczej z tymi krajami, będą pozostawać dla administracji Trumpa priorytetem, a sytuacja wokół KRLD – jednym z gorących tematów, zagrażających nową regionalną wojną" – uważa Korsunskyj.

Jak pisze ukraiński autor, „zdaniem znawców polityki waszyngtońskiej, nie ma żadnej zagranicznej doktryny Trumpa, a eksperci, szczególnie nastawieni negatywnie, zauważają dwa charakterystyczne aspekty". Po pierwsze, Trump ostrożnie odnosi się do krytyki pod adresem tych krajów, gdzie jego biznesowe imperium ma poważne interesy lub które są krytycznie ważne z punktu widzenia interesów USA (jak w przypadku Egiptu i Arabii Saudyjskiej). Przy tym Trump daje do zrozumienia, że prawa człowieka i eksport demokracji nie są dla niego priorytetami. „Po drugie, dla 45. prezydenta USA kwestie polityki wewnętrznej są ważniejsze niż geopolityka. Należy oczekiwać, że będzie nadal wykonywał manewry typu atak w Syrii, aby odwrócić uwagę od niemiłych republikanom kwestii typu dochodzenie w Kongresie powiązań z Rosją lub fiasko projektu ustawy i zmiany systemu Obamacare. Może więc dojść do transakcji z Chinami, które zgodziły się pomóc Waszyngtonowi w rozwiązaniu problemu Korei Północnej. Co zaś się tyczy procesu wypracowywania decyzji w polityce zagranicznej, to analitycy zauważają ogromny wpływ na prezydenta jego córki Ivanki i jej męża Kuschnera. Najprawdopodobniej Trump w przyszłości też będzie polegał bardziej na rodzinnych i osobistych kontaktach niż na instytucjonalnej sile amerykańskiego systemu władzy, a to determinuje dużą liczbę niespodzianek przy podejmowaniu decyzji w sytuacji skrajnej niepewności". ■

Hanna Shen

CHIŃSKA MIĘKKA SIŁA

Pojęcie „miękka siła" (soft power) stworzył pod koniec lat 80. XX wieku amerykański politolog Joseph S. Nye. Koncepcją tą zainteresowali się chińscy naukowcy i przywódcy, którzy szybko zrozumieli, że wpływy na arenie międzynarodowej zdobywa się nie tylko za pomocą siły militarnej i ekonomicznej, lecz także przez dobrą markę państwa. Dziś czołowymi narzędziami chińskiej soft power są Instytuty Konfucjusza i media.

Według Josepha S. Nyea miękka siła to zdolność państwa do pozyskiwania sojuszników i zdobywania wpływów dzięki atrakcyjności własnej kultury, polityki i ideologii. Amerykańska politolog Karen A. Mingst w książce pt. „Podstawy stosunków międzynarodowych" określa soft power jako „zdolność nie tylko oddziaływania na innych, lecz także wpływania na wyniki – uzyskiwania rezultatów, które nie pojawiłyby się w sposób naturalny". Pod koniec lat 80. Chiny na pewno nie mogły mówić o dobrej marce swojego państwa ze względu na masakrę na placu Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen) w 1989 r.

Na początku tego wieku jeden z chińskich think tanków zasugerował ówczesnemu prezydentowi Hu Jinatao, aby w celu ocieplenia wizerunku władze położyły nacisk na chińską kulturę. W ciągu swojej historii Państwo Środka było najeżdżane przez inne narody, jednak kultura chińska nie straciła na swojej wielkości. Skoro jest ona tak silna – dedukowali naukowcy think tanku – trzeba ją wykorzystać do promocji komunistycznej ideologii. Można więc na przykład otworzyć Instytut Konfucjusza (IK), który nie tyle będzie propagował idee tego myśliciela, ile służył partii. I tak dziś Komunistyczna Partia Chin Ludowych umacnia swoje wpływy w świecie, przedstawiając się jako spadkobierczyni konfucjanizmu, który wcześniej zniszczyła. Joshua Kurlantzick, autor książki „Urokliwa ofensywa – jak chińska polityka miękkiej siły zmienia świat", określa tę strategię jako jedną z bardziej udanych taktyk zastosowanych przez chińskich komunistów. Zachód wydaje się oczarowany chińską polityką soft power, mimo że ChRL była i nadal jest krajem, w którym nie ma wolności słowa i prześladowani są

chrześcijanie, dziennikarze, prawnicy czy działacze na rzecz budowy społeczeństwa obywatelskiego.

Przeniknąć do środowiska akademickiego

Bardzo ważnym narzędziem polityki miękkiej siły są Instytuty Konfucjusza. Była australijska dyplomatka i wykładowca na Wydziale Studiów nad Chinami na Uniwersytecie Sydney, prof. Jocelyn Chey, uważa, że IK „są częścią międzynarodowej kampanii Komunistycznej Partii Chin (KPCh), gdyż za pomocą współpracy kulturalnej dużo łatwiej wpływa się na publikę i osiąga się cele natury politycznej".

Działające dziś na uczelniach na całym świecie Instytuty Konfucjusza są zarządzane przez Chińskie Biuro Międzynarodowej Promocji Języka Chińskiego (Hanban), które podlega władzom ChRL. Często porównuje się Instytut Konfucjusza do Instytutu Francuskiego, British Council czy niemieckiego Instytutu Goethego, których działalność sponsorują rządy krajów reprezentowanych przez te instytucje. Państwa te płacą za wynajem biur dla tych placówek w budynkach komercyjnych. Nie dochodzi więc do „przenikania się" owych instytucji z lokalnymi organizacjami. Nie ma żadnej zależności między nimi a na przykład uczelniami w danym kraju. Tymczasem Instytut Konfucjusza działa inaczej. Zakłada swoje siedziby na czołowych uniwersytetach zagranicznych, przez co staje się częścią instytucji naukowej danego kraju. Jak uważa prof. Jocelyn Chey, właśnie taki układ pozwala władzom chińskim mieć bezpośredni wpływ na program danej uczelni i kierunek rozwoju studiów nad Chinami. „Nie muszę wyjaśniać, dlaczego wśród oferowanych wykładów nie będzie nic na temat wolności religijnej w Chinach, niepodległości Tajwanu czy Tybetu" – mówi prof. Chey.

Atak na niezależność akademicką

Teoretycznie IK mają propagować kulturę i język chiński, rozwijać międzynarodową współpracę kulturalną oraz działania na rzecz przyjaznych stosunków między krajami. Jednak aktywność IK zakłada także łamanie zasad, jakie przez lata wypracowały sobie zachodnie państwa, m.in. niezależność akademicką i swobodę wypowiedzi. O tym, dlaczego Instytuty Konfucjusza są chińskim koniem trojańskim, napisała w artykule, jaki ukazał się 9 maja tego roku w amerykańskim piśmie „Foreign Policy" Rachelle Peterson. Autorka poświęciła dwa lata na badanie działalności IK w Nowym Jorku i New Jersey. Zwróciła uwagę m.in. na to, że w umowach o utworzeniu IK podpisanych przez uczelnie i stronę chińską istnieją zapisy zobowiązujące uniwersytety do przestrzegania praw i przepisów obowiązujących w Chinach. W ten sposób wprowadza się cenzurę na uczelnie, które powinny być miejscem wolnej i nieskrępowanej debaty. Do takiego przypadku doszło na przykład w Portugalii w 2014 r., gdy dyrektor Hanbanu zażądała zmiany programu konferencji, której współorganizatorem był lokalny IK. Nakaz dotyczył usunięcia informacji o innym sponsorze wydarzenia, który pochodził z Tajwanu.

Materiały, jakie wykorzystuje się na zajęciach w IK, są dostarczane przez Hanban, a więc są ocenzurowane przez KPCh. Także chińscy nauczyciele są odpowiednio dobrani. Kanadyjski McMaster University, na którym działał IK, otrzymał informację od samych wykładowców, że zanim uzyskają oni pracę w Instytucie i zgodę na wyjazd z Chin za granicę, muszą zobowiązać się na przykład do dostarczania informacji na temat innych nauczycieli czy studentów, a także podpisać dokument stwierdzający, że nie przyłączą się do prześladowanego w Chinach ruchu propagującego tradycyjną chińską dyscyplinę doskonalenia za pomocą ćwiczeń i medytacji Falun Gong.

Z tego powodu kanadyjska uczelnia w 2013 r. zerwała współpracę z IK. Na podobny krok zdecydowały się też inne, m.in. amerykańskie University of Chicago i Penn State University, a także Uniwersytet w Sztokholmie w Szwecji, Uniwersytet w Lyon we Francji.

Ale eksperci zwracają uwagę na jeszcze jedno zagrożenie, jakie stwarza IK. Według byłego oficera kanadyjskiego wywiadu Michaela Juneau-Katsuya, agencje wywiadowcze w wielu państwach mają informacje potwierdzające, że Instytut Konfucjusza jest również wykorzystywany do szpiegowania i zbierania danych. Juneau-Katsuya uważa, że fakt, iż KPCh tworzy Instytuty Konfucjusza w szkołach, oznacza, że działalność agenturalna koncentruje się na przyszłych pokoleniach.

Pułapka dla naukowców, studentów i urzędników

Juneau-Katsuya ostrzega naukowców i urzędników wyjeżdżających na stypendia, wykłady, konferencje czy tzw. pobyty studyjne na chińskie uczelnie. Zaproszeni do Państwa Środka często bywają witani z pełnymi honorami. Są drogie posiłki i wina. Gość zaczyna uważać się za kogoś wyjątkowego, ale z czasem czuje się dłużnikiem reżimu. Gdy komunistyczne władze to wyczują, wówczas podsuwają swoje warunki i oczekiwania. „Kanadyjska agencja wywiadu CSIS zaobserwowała wiele przypadków, gdy urzędnicy czy przedstawiciele różnych instytucji lecą do Chin, a po powrocie wprowadzają politykę sprzyjającą Pekinowi" – mówił Michael Juneau-Katsuya dla gazety „Epoch Times".

W Stanach Zjednoczonych dość głośny był w ostatnich latach przypadek młodego człowieka, Glenna Duffiego Shrivera, który najpierw studiował, a następ-

nie pracował w ChRL. To tam został namówiony do współpracy przez chińską agentkę, która oferowała mu za to duże kwoty. Na polecenie chińskiego wywiadu Shriver ubiegał się o pracę w CIA, ale został namierzony przez służby USA. W 2010 r. został oskarżony o próbę przeniknięcia do CIA jako chiński kret. Jeszcze przebywając w celi więziennej, Shriver ostrzegał przed działalnością chińskiego wywiadu, którego celem coraz częściej są młodzi obcokrajowcy. „Nie dajcie się nabrać. Rekrutacja trwa, a jej celem są młodzi ludzie: obrzuca się ich dużymi sumami pieniędzy i patrzy, co się stanie" – mówił.

Pożyteczne media

Chińczycy działają wielowymiarowo. Stąd poza uczelniami i kulturą ważnym narzędziem miękkiej siły są media. Nie jest to już toporna propaganda Radia Pekin. Dokonano modernizacji chińskiej agencji prasowej Xinhua, na którą – tak jak na Reutersa – powołują się dzisiaj czołowe wydania gazet czy wiadomości telewizyjnych na świecie. Ale Xinhua nadal podlega Radzie Państwowej, czyli najwyższemu organowi władzy wykonawczej ChRL. Dziennikarze pracujący dla tej agencji muszą regularnie brać udział w szkoleniach ideologicznych.

„Dziennik Ludowy" („Renmin Ribao"), gazeta KPCh, ma dziś wydania w kilku językach, m.in. po angielsku, francusku, niemiecku i hiszpańsku. Centralna Telewizja Chińska (CCTV), stacja państwowa, zatrudniła zagranicznych dziennikarzy, a widzowie w Azji mogą dziś dzięki przekazowi satelitarnemu oglądać przygotowane przez reporterów najnowsze wydania wiadomości. Zarówno ta telewizja, jaki i agencja Xinhua podpisują umowy ze stacjami i agencjami innych krajów w celu wymiany materiałów. Dla chińskich władz to kolejna okazja, by serwować swoją propagandę lub – jak to ujął prezydent Xi Jinping – by we „właściwy sposób opowiadać o Chinach".

Amerykańscy politycy zwracają uwagę, że podczas gdy stacja CCTV może nadawać w USA, a chińskie media swobodnie docierają do czytelników na Zachodzie, to chińska cenzura blokuje w swoim kraju dostęp do wielu zagranicznych mediów. Amerykański kongresmen Dana Rohrabacher w wypowiedzi dla chińskiej gazety „Epoch Times" wydawanej w USA stwierdził, że „taka rozbieżność jest nie do przyjęcia". Polityk dodaje, że jeśli Amerykanie kupią przekaz płynący z komunistycznych mediów z Chin i uwierzą w pozytywny obraz tego reżimu, to tym łatwiej będzie im prześladować własnych obywateli. A wśród inwigilowanych są też dziennikarze – oczywiście ci, którzy w swojej pracy nie serwują odbiorcom propagandy KPCh.

Dziennikarz – narzędzie partii

Powołując się na rządowe media Chin lub decydując się na współpracę z nimi, trzeba pamiętać, że w mediach podlegających KPCh nie ma miejsca na niezależność i wolność wypowiedzi. Dziennikarze śledczy, którzy próbują być niezależni, kończą jak ci, którzy próbowali relacjonować samodzielnie – czyli bez powtarzania tego, co nadaje agencja Xinhua – szczyt G20 w Hangzhou w Chinach. Zostali aresztowani. Dwa lata temu czołowy dziennikarz biznesowy Wang Xiaolu za relacjonowanie problemów na chińskiej giełdzie został aresztowany, a jego skruchę wyemitowano w CCTV. Winą Wanga było to, że przedstawiał informacje z prywatnych źródeł, a nie te pochodzące z Wydziału Propagandy KPCh.

W zeszłym roku dziennikarz Jia Jia umieścił w Internecie artykuł, w którym krytykował prezydenta Xi Jinpinga. Publikację szybko usunęła cenzura, a Jia Jia zaginął. Po kilku dniach okazało się, że został zatrzymany przez policję. Uwolniono go po dwóch tygodniach w wyniku międzynarodowej kampanii zorganizowanej m.in. przez stowarzyszenia dziennikarzy i Amnesty International na całym świecie. W Chinach ze względu na zaciskanie kontroli przez rządy Xi Jinpinga nad mediami z pracy rezygnuje coraz więcej dziennikarzy. David Bandurski, ekspert do spraw chińskich mediów z University of Hongkong, w wypowiedzi dla brytyjskiego dziennika „The Guardian" mówi o dużej liczbie „dziennikarzy w wieku trzydziestu, czterdziestu paru lat, którzy powinni być u szczytów swoich karier w świecie dziennikarskim, a tymczasem rezygnują".

W lutym zeszłego roku, gdy prezydent Xi Jinping odwiedził główne biuro agencji Xinhua, powiedział zebranym dziennikarzom, że ich zadaniem jest służba KPCh. I znów tak jak w przypadku Instytutów Konfucjusza może się za tym kryć coś więcej niż tylko działalność propagandowa. W zeszłym roku w lipcu Indie wydaliły ze swojego kraju trzech dziennikarzy agencji Xinhua. Stwierdzono, że ci pracownicy „stali się obiektem zainteresowań agencji bezpieczeństwa po tym, jak angażowali się w działalność daleko wybiegającą poza ich dziennikarskie obowiązki". „Dziennikarze mieli podawać się za inne osoby i próbowali dostać się do obiektów, do których wstęp jest ograniczony" – pisała gazeta „The Times of India".

We wrześniu 2012 r. kanadyjski dziennikarz Mark Bourrie zrezygnował z pracy dla agencji Xinhua po tym, jak jeden z jego chińskich szefów próbował namawiać go do szpiegowania dalajlamy podczas jego pobytu w Ottawie. Bourrie przyznał także, że w agencji pracują osoby, które na przykład szpiegują członków ruchu Falun Gong w Kanadzie. ■

Antoni Rybczyński

Persowie i Moskale. SOJUSZ SPECYFICZNY

fot. SERGEI KARPUKHIN/POOL/PAP/EPA

„Stosunki Moskwy z Teheranem najbardziej przypominają handel na orientalnym bazarze: kiedy sprzedający i kupujący a to pokojowo rozmawiają, oceniając jakość towaru, a to nagle zaczynają się kłócić, wywracając oczami i ostro gestykulując" – napisał niedawno rosyjski analityk Aleksandr Goltz. Świat patrzy na relacje rosyjsko-irańskie głównie przez pryzmat współpracy obu krajów w Syrii oraz łączącej je wrogości do Zachodu. Tymczasem jest to dużo bardziej skomplikowany problem.

Nie tylko historyczne zaszłości, lecz także bardziej współczesne spięcia, a przede wszystkim różnice w strategicznych celach w regionie powodują, że sojusz rosyjsko-irański trudno uznać za trwały i mający długą perspektywę. Zbyt wiele zależy od innych czynników.

Jak dużo nieufności jest w stosunkach między obu krajami, świadczy pewne wydarzenie podczas kampanii przed wyborami prezydenckimi w Iranie. W kwietniu doszło do spotkania prezydenta Tatarstanu Rustama Minnichanowa z Ebrahimem Raisim. Raisi to główny rywal obecnego irańskiego prezydenta Hassana Rowhaniego, kandydat mający poparcie konserwatystów (tradycyjnie opowiadających się za bliższą współpracą z Rosją postrzeganą jako przeciwwaga dla Zachodu). Przychylna im agencja informacyjna Tasnim, donosząc o spotkaniu, opisała Minnichanowa jako „wysłannika prezydenta Putina". To wywołało falę krytyki ze strony politycznych przeciwników Raisiego, którzy przedstawili to wydarzenie wręcz jako rosyjską ingerencję w wybory. Obrońcy Raisiego odrzucili takie twierdzenia, podkreślając, że wizyta Minnichanowa miała charakter wyłącznie religijny („jako muzułmanin chciał odwiedzić święte miejsce szyitów, którym zarządza ajatollah Raisi"). Ale co warte podkreślenia, na wszelkie przejawy mieszania się Rosji w wewnętrzne sprawy Iranu wyczuleni są nie tylko reformatorzy. W grudniu 2016 r. portal Tabnak, łączony z dowódcą Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej Mohsenem Rezaie, wezwał wprost irańskich urzędników, aby dali wyraźnie odczuć Moskwie, żeby nie mieszała się w krajowe sprawy Iranu.

Wspólny wróg

Takie incydenty, jak opisany powyżej, nie zmieniają jednak faktu absolutnie zasadniczego: Iran i Rosja są zagrożeniem dla istniejącego porządku międzynarodowego, a chęć jego zmiany zbliża oba państwa. Moskwa dąży do odbudowy statusu globalnego supermocarstwa kosztem Zachodu. Iran chce być hegemonem regionalnym poprzez wyrzucenie z Bliskiego Wschodu Amerykanów, osłabienie Arabii Saudyjskiej i eliminację Izraela. Idee i zasady, na których opierają się rosyjsko-irańskie relacje, zapisano jeszcze w „Umowie o podstawach stosunków wzajemnych i zasadach współpracy między Federacją Rosyjską i Islamską Republiką Iranu" z dnia 12 marca 2001 r. W najważniejszych problemach polityki globalnej i regionalnej Rosja i Iran mają bliskie lub wręcz identyczne stanowiska, na przykład dążenie do budowy wielobiegunowego porządku na świecie i umocnienia pozycji ONZ w sprawach międzynarodowych. Blisko obu krajom do siebie także w Afganistanie i oczywiście w Syrii.

Zbliżenie rosyjsko-irańskie ma charakter przede wszystkim geopolityczny i opiera się na współpracy w kwestiach regionalnych (Syria, Afganistan, Kaukaz Południowy) oraz na dążeniu do wypchnięcia USA z Bliskiego Wschodu oraz do podważenia amerykańskiej dominacji w systemie międzynarodowym. Celem Moskwy i Teheranu jest wyeliminowanie wojskowej obecności USA w Iraku i Afganistanie. Iran chce zablokować możliwość uczynienia z Iraku wrogiego kraju i bazy do ataku na sąsiada, gdyż pamięta krwawą wieloletnią wojnę za czasów rządów Husajna w Bagdadzie. Teraz ajatollahowie używają politycznych partii i religijnych milicji do wywierania presji na słaby rząd premiera Abadiego, co jakiś czas grożąc, że zastąpią go proirańskim politykiem, który może wydać polecenie wyrzucenia Amerykanów z Iraku. Eliminacji USA z tego kraju chce też Rosja. Moskwa i Teheran chcą również uczynić z Afganistanu stabilne buforowe państwo – bez zachodniej obecności. Dlatego z jednej strony wspierają talibów, z drugiej – kuszą rząd afgański.

Rosjanie i Irańczycy chcą też wyciągnąć Turcję z orbity USA i NATO oraz skłonić ją do zaprzestania wspierania grup rebelianckich w Syrii. Oba kraje są zarazem przeciwne nawiązującej do czasów imperium ottomańskiego wizji Turcji, hegemona w regionie, jaka marzy się Erdoganowi. Nie bez znaczenia są też duże ekonomiczne interesy w Turcji jako ważnym kraju tranzytowym dla transportu gazu i ropy oraz jako nabywcy węglowodorów. Udało się już namówić Ankarę do włączenia w dyplomatyczne inicjatywy syryjskie (rozmowy w Astanie) wykluczające zarazem USA. Rosja i Iran wykorzystują napięcia na linii Turcja–USA związane ze wsparciem koalicji dla Kurdów. Oba kraje łączy też polityka wobec Egiptu. Z satysfakcją przyjęto ochłodzenie relacji Kairu z USA i monarchiami Zatoki. Generalnie Moskwa i Teheran widzą w Egipcie akceptowalną przeciwwagę dla Rijadu, jeśli chodzi o sprawowanie przywództwa wśród bliskowschodnich sunnitów. Na Kaukazie z kolei oba kraje stawiają na Armenię (choć jednocześnie celem Rosji jest zachowanie równowagi między Erywaniem a Baku). Iran widzi w niej przede wszystkim przeciwwagę dla Azerbejdżanu, do którego podchodzi z nieufnością z dwóch przede wszystkim powodów. W Iranie żyje bardzo duża mniejszość azerska, a Baku współpracuje w sferze bezpieczeństwa z Izraelem. Irańczycy twierdzą, że to szpiegowski przyczółek Państwa Żydowskiego w bezpośrednim sąsiedztwie ich państwa.

Wspólny sojusznik

W listopadzie 2013 r. Hasan Nasr Allah ostrzegł ajatollaha Chameneiego, że Asad może lada chwila stracić władzę. Ponad 70 proc. kraju było pod kontrolą rebeliantów lub Państwa Islamskiego. Całą operację obmyślili i wprowadzili w życie trzej ludzie: szef Hezbollahu Hasan Nasr Allah, dowódca Sił Quds Korpusu Strażników Rewolucji (IRGC) Qasem Soleimani, generał IRGC Hossein Hamedani (zginął w Syrii w październiku 2015 r.).

Gdy Chamenei decydował o zaangażowaniu się w wojnę, miał przede wszystkim dwa cele: ochronę szlaków dostaw broni do Libanu oraz bezpieczeństwo świętych dla szyitów miejsc w Syrii. Celem strategicznym Iranu w Syrii jest obrona Asada, a gdyby to okazało się zbyt kosztowne, stworzonego przez Asadów systemu, z jego aparatem politycznym, wojskowym, bezpieczeństwa. To bowiem jest jedyną gwarancją, że Syria pozostanie bezpiecznym korytarzem do transferu broni i pieniędzy dla Hezbollahu w Libanie. Obecność Iranu w Syrii daje lepsze pozycje w ewentualnej konfrontacji z Izraelem. Dla Teheranu Syria to klucz do rozbudowy wpływów na całym Bliskim Wschodzie, jedno z najważniejszych pól rywalizacji z Arabią Saudyjską. Damaszek ma być częścią osi łączącej Teheran z Bagdadem i Bejrutem. W Teheranie istnieje przekonanie, przynajmniej w pewnych kręgach, że wojnę w Syrii wywołały amerykańskie i izraelskie służby, aby uderzyć w Iran. Hezbollah i sam Iran były za silne, więc uderzono w najsłabsze ogniwo „osi sprzeciwu". Stąd Teheran podchodzi do tego konfliktu inaczej niż Rosja. Dla ajatollahów jest to wojna o egzystencję, a nie część geopolitycznych szachów. Upadek Asada i triumf sunnitów byłby pierwszym krokiem do osłabienia szyitów w Libanie. A bez Hezbollahu Iran nie może marzyć o roli regionalnego hegemona. Przeszło półtora roku po decyzji o pełnym zaangażowaniu się Iranu w wojnę, w Teheranie zrozumiano, że nie wystarczy pomoc doradców wojskowych, pieniądze, a przede wszystkim tysiące szyickich ochotników walczących ramię w ramię z wojskiem Asada. Dlatego gen. Soleimani zaczął jeździć do Moskwy. Misja okazała się skuteczna: we wrześniu 2015 r. Rosja rozpoczęła wojskową operację w Syrii. Odciążyło to Iran, przechyliło szalę wojny na korzyść reżimu, ale też wzmocniło Asada i jego sojuszników na arenie międzynarodowej. Iran jest wciąż często traktowany jak parias, ale Rosja – nawet ta krytykowana po aneksji Krymu – to głos, z którym muszą się liczyć nawet USA.

Jak powiedział pewien wysoki rangą irański dyplomata, „od samego początku były różnice zdań między Iranem i Rosją odnośnie do kryzysu syryjskiego". Wynika to z nieco odmiennych celów. Iran potrzebuje przyjaznego reżimu w Damaszku, aby zapewnić sobie bezpieczną bazę, z której może wspierać Hezbollah w Libanie i prowadzić działania antyizraelskie. Rosja chciałaby w Syrii reżimu zdolnego zagwarantować jej długoterminowo dostęp do baz powietrznych i morskich, z których można rzucić wyzwanie USA i NATO. Różnica jest taka, że Moskwie wszystko jedno, kto będzie panował w Damaszku, byle był to przyjazny reżim. Dla Teheranu utrzymanie Asada zaś to kwestia niemal honorowa. Rosjan frustruje fakt, że to Irańczycy mają większy wpływ na Asada niż oni, choć wzięli na siebie dyplomatyczną osłonę dyktatora i jego zbrodni, a ich lotnictwo pozwoliło zmienić bieg wojny. Tyle że przysłowiowe mięso armatnie śle do Syrii właśnie Iran. A bez posiłków ludzkich reżim by upadł, nawet mimo powietrznego wsparcia Rosjan – szeregi syryjskich oddziałów Asada mocno się przerzedziły w trakcie wojny, tymczasem ajatollahowie ślą na front dziesiątki tysięcy szyickich ochotników (głównie milicję z Iraku) oraz – co najważniejsze – bardzo dobrze uzbrojone i bitne oddziały Hezbollahu.

O irańskich wojskowych doradcach i siłach specjalnych nie wspominając. Zresztą także pomoc finansowa dla Damaszku idzie nie z Rosji, ale z Iranu.

Lekcja historii

Irańska prasa często wspomina historyczne zaszłości między obu krajami, choćby utratę sporej części terytorium przez Persję na rzecz carskiej Rosji na początku XIX wieku, carskie i sowieckie interwencje w XX wieku, podjętą przez Stalina próbę oderwania północno-zachodniej części Iranu po II wojnie światowej (próby zainstalowania komunistycznego rządu w sowieckiej strefie okupacyjnej) oraz poparcie Moskwy dla Iraku w jego wojnie z Iranem (1980–1988). Pretensje Irańczycy do Rosji mają także, jeśli chodzi o czasy najnowsze: brak rosyjskiego weto w Radzie Bezpieczeństwa ONZ dla rezolucji wymierzonych w Iran w związku z programem atomowym, duże opóźnienia w oddaniu budowanego przez Rosjan reaktora atomowego Bushehr, niespełnienie obietnicy Gorbaczowa sprzedaży Teheranowi samolotów, czołgów, rakiet i innych rodzajów broni, wreszcie dobre relacje Moskwy z największymi wrogami Iranu, Izraelem i Arabią Saudyjską.

Persowie mają uzasadnione historyczne pretensje i brak zaufania do Rosji. Po II wojnie światowej Sowieci, w przeciwieństwie do oddziałów brytyjskich i amerykańskich, odmówili wycofania się ze swojej strefy okupacyjnej. Na zajmowanych terenach północno-zachodniego Iranu ustanowili nawet marionetkowy rząd. Tylko dzięki presji amerykańskiej Stalin ostatecznie wydał po kilku latach rozkaz ewakuacji. Stosunków irańsko-rosyjskich nie poprawiła rewolucja islamska 1979 r. i załamanie relacji Teheranu z Waszyngtonem. Zwłaszcza że krótko po tym Sowieci dokonali inwazji na Afganistan i zaczęli wspierać Irak w wojnie z Iranem (1980–1988). Po obaleniu szacha w 1979 r. popularność w Iranie zdobyło hasło „Ani Wschód, ani Zachód!". Ajatollahowie widzieli jednak w Moskwie przeciwwagę dla Wielkiego Szatana. W styczniu 1989 r. Chomeini napisał list do Michaiła Gorbaczowa, deklarując, że Iran będzie dobrym sąsiadem ZSRS. Niedługo potem oba państwa podpisały kilka umów w sprawie zwiększenia handlowej, kulturalnej i technicznej współpracy. Ale Związek Sowiecki upadł. Choć Moskwa często ma te same cele co Teheran, to jednak zazwyczaj używa Iranu jako karty przetargowej w rozgrywkach z USA. Irańczycy nie zapomnieli roku 1995, gdy wiceprezydent Al Gore z premierem Wiktorem Czernomyrdinem dogadali się potajemnie w sprawie zaprzestania przez Rosję sprzedaży broni konwencjonalnej Republice Islamskiej. Choć ostatecznie Moskwa nadal broń sprzedawała, to sam fakt tajnych negocjacji Moskwy z Waszyngtonem w sprawie dotyczącej żywotnych interesów Iranu mocno wzburzył ajatollahów. Kolejna zadra to kwestia sankcji ONZ. Teheran nie wybaczy nigdy Moskwie tego, że posiadając prawo weta, poczynając od 2006 r., nie zablokowała rezolucji nakładających sankcje na Iran w związku z jego programem atomowym.

W 2007 r. Moskwa zgodziła się sprzedać Iranowi system rakietowej obrony przeciwlotniczej S-300. Miał się stać kluczowym elementem ochrony instalacji nuklearnych, na które atakiem groził Izrael. Tyle że Moskwa pod naciskiem USA i Izraela odmówiła dostarczenia broni. Wtedy Iran poszedł z tym do międzynarodowego arbitrażu. Rosja ostatecznie zgodziła się na dostawę S-300, ale stało się to dopiero po zawarciu przez Iran z Zachodem porozumienia w sprawie programu atomowego. Porozumienia do minimum zmniejszającego zagrożenie powietrzne dla irańskich instalacji atomowych – co oznacza, że S-300 nie jest już tak bardzo potrzebne, jak jeszcze kilka lat temu.

Kiedy pod koniec sierpnia ubiegłego roku Iran pozwolił rosyjskim siłom powietrznym na wykorzystanie bazy Shahid Nojeh do przeprowadzania nalotów w Syrii, dla wielu było to zaskoczenie. Decyzja Teheranu zaprzeczała bowiem podstawowej zasadzie polityki Republiki Islamskiej: żadnej obecności obcych wojsk w wojskowych bazach Iranu. I potwierdzała pogłębiającą się militarną współpracę obu państw – przede wszystkim w Syrii. Ale Irańczycy bardzo są wyczuleni na wszelkie przejawy protekcjonalnego tonu Moskwy. Gdy latem zeszłego roku Rosjanie zaczęli się chwalić kolejną „bazą wojenną", tym razem w Iranie, zostali stamtąd natychmiast wyrzuceni (chodziło o korzystanie z lotniska przez rosyjskich pilotów bombardujących cele w Syrii). Buńczuczne wypowiedzi rosyjskich polityków i nagłośnienie udostępnienia bazy rosyjskim samolotom wywołało szybką reakcję. Pod wpływem krytyki części kręgów politycznych Iran szybko cofnął zgodę.

Bliskowschodnia gra

Strategiczne cele Rosji w regionie tylko częściowo pokrywają się z irańskimi. Moskwie nie do końca odpowiada silna tzw. oś oporu, oparta głównie na szyitach i alawitach. Przy swej ogromnej społeczności muzułmańskiej i ambicjach bycia mocarstwem na Bliskim Wschodzie Rosja nie może bowiem antagonizować sunnitów. W Teheranie pamiętają sytuację z lutego 2016 r. Wtedy to Ali Akbar Velayati (obecnie doradca ds. polityki zagranicznej ajatollaha Chameneiego) zadeklarował po

wizycie w Moskwie, że są przesłanki do utworzenia sojuszu Iranu, Rosji, Syrii i Hezbollahu. Zaraz potem MSZ Rosji określił oświadczenie Velayatiego jako „spekulacje" i zadeklarował, że „nie ma planów tworzenia takiego sojuszu".

Rosji nie zależy na zwalczaniu religijnych i regionalnych wpływów Arabii Saudyjskiej, nie chce też zniszczenia Izraela. Te dwa dążenia Iranu stwarzają problemy dla Moskwy, która preferuje regionalną równowagę sił między Turcją, Iranem, Arabią Saudyjską i Egiptem, przy zachowaniu dobrych stosunków z Izraelem. Stosunki Moskwy z Państwem Żydowskim są w jednym z najlepszych okresów w historii. Rosjanie nie dość, że w Syrii nie robią niczego, co by uderzało w interesy izraelskie, to jeszcze ograniczają Hezbollah i Iran. Podczas marcowego spotkania w Moskwie Netanyahu oskarżył Iran o rozprzestrzenianie „szyickiego islamskiego terroryzmu" i wezwał Rosję, żeby nie pozwalała Teheranowi wykorzystywać syryjskiego kryzysu dla realizacji polityki antyizraelskiej. Irańczycy mają prawo obawiać się, że Putin porzuci Asada, jeśli uda się mu się zawrzeć jakiś układ i postawić na czele władz w Damaszku osobę akceptowalną przez Arabię Saudyjską i Izrael. Problemem jest Turcja, którą Moskwie z wielkim trudem udało się wciągnąć do trójporozumienia z Iranem w sprawie procesu pokojowego w Syrii. Ale obecność Ankary jest nie w smak ajatollahom. Zwłaszcza że oba kraje mają chrapkę na pozycję regionalnego lidera. I oto w lutym i marcu z Turcji popłynęły słowa wręcz nieprzyjazne Iranowi. Erdogan podczas wizyty w Bahrajnie (jedno z pól rywalizacji irańsko-saudyjskiej) oskarżył Teheran o próby podziału Iraku i Syrii poprzez eksport perskiego nacjonalizmu, któremu należy zapobiec. Szef tureckiego MSZ Mevlut Cavusoglu powiedział zaś na konferencji monachijskiej, że „Iran próbuje utworzyć dwa szyickie państwa w Syrii i Iraku. To bardzo groźne. Musi to być powstrzymane". Teheran odpowiedział oskarżeniem Turcji o to, że wspiera terrorystów w Syrii.

Rosję i Iran różni kwestia Kurdów. Teheran boi się separatyzmu kurdyjskiego w północno-zachodnim Iranie. Z kolei Moskwa widzi w Kurdach narzędzie, które może wykorzystać przeciwko USA, Turcji, Iranowi, Irakowi. Jednocześnie Rosjanie nie zamierzają oferować poparcia dla idei niepodległego Kurdystanu. Jest też Kaukaz Południowy. Moskwa obawia się, że Iran – równie dobrze jak Zachód czy Turcja – może podważyć jej dominację w regionie, szczególnie zaś chodzi o tradycyjnego sojusznika rosyjskiego, Armenię. Erywań jest w tej chwili zdany zupełnie na Moskwę, będąc izolowanym niemal z każdej strony. Tym atrakcyjniej wyglądają ekonomiczne propozycje Iranu. Korytarz w stronę Zatoki Perskiej pozwoliłby Armenii zredukować ekonomiczne uzależnienie od Rosji. Zresztą w ogóle w sprawach gospodarczych nie widać perspektyw, by Teheran i Moskwa zbliżyły się choć w części tak jak na płaszczyźnie politycznej czy wojskowej. Rosja nie może dostarczyć, w przeciwieństwie do Zachodu, ani nowoczesnych technologii, ani kapitału – koniecznych do modernizacji gospodarki irańskiej. Moskwa i Teheran nie są w stanie przezwyciężyć trudności hamujących współpracę ekonomiczną. Najlepsze chęci nie pomogą, bo gospodarki obu krajów mają podobny profil: opierają się na eksporcie surowców energetycznych. Z tym wiąże się poważny spór: gdy Rosja i m.in. Arabia Saudyjska chcą ograniczać produkcję ropy, żeby zapobiec spadkowi cen surowca, Iran przeciwnie – po zniesieniu sankcji zależy mu na jak największej sprzedaży, bo jest to ważnym źródłem walut. Tym bardziej, że nie wiadomo, czy Trump nie przeszkodzi realizacji porozumienia z czasów Obamy. W Teheranie ogromny niepokój budziła nie tak dawno perspektywa resetu rosyjsko-amerykańskiego. Obawiano się, że Putin może stanąć po stronie Trumpa, jeśli ten zdecyduje się wycofać z atomowego porozumienia z Teheranem, w zamian za uznanie przez USA aneksji Krymu. Z drugiej strony, także Rosja zdaje sobie sprawę, że gdyby Iran musiał ostatecznie dokonać wyboru, wybrałby Zachód. ■

Iran potrzebuje przyjaznego reżimu w Damaszku, aby zapewnić sobie bezpieczną bazę, z której może wspierać Hezbollah w Libanie i prowadzić działania antyizraelskie. Rosja chciałaby w Syrii reżimu zdolnego zagwarantować jej długoterminowo dostęp do baz powietrznych i morskich, z których można rzucić wyzwanie USA i NATO.

Olga Doleśniak-Harczuk

Audyt w prosektorium III Rzeszy

Ile preparatów anatomicznych przetrzymywanych do dziś w niemieckich instytutach badawczych sporządzono ze zwłok Polaków pomordowanych przez oprawców z III Rzeszy? Czy można przywrócić imiona ofiarom eutanazji, których zalane formaliną organy jeszcze długie dziesięciolecia po wojnie służyły niemieckiej nauce?

Przez dziesięciolecia od zakończenia II wojny światowej niemieccy studenci medycyny i naukowcy poznawali tajniki ludzkiego ciała, pracując na preparatach anatomicznych pozyskanych m.in. z ciał ofiar zbrodniczego systemu III Rzeszy. Do zakładów anatomicznych w latach 1940–1943 zwłoki zwożono z więzień, gdzie dokonywano egzekucji (przez dekapitację lub powieszenie), z obozów, ze szpitali i z zakładów dla osób psychicznie chorych. Spora część ciał należała do ofiar eutanazji, której poddano w narodowosocjalistycznym piekle kilkaset tysięcy dorosłych i dzieci, zwłaszcza niepełnosprawnych, chorych, w każdym razie uznanych za „niewartych, aby żyć".

W czerwcu 2017 r. w Niemczech międzynarodowy zespół kierowany przez trzech wybitnych naukowców rusza z projektem, który ma na celu ustalenie tożsamości części ofiar zamkniętych od przeszło 70 lat w niemieckich laboratoriach i archiwach. Prace potrwają trzy lata, budżet projektu wynosi 1,5 mln euro, a fundusze udostępnia Max Planck Gesellschaft. „Nowe Państwo" będzie śledzić prace zespołu badawczego, pierwszą relację postaramy się udostępnić Czytelnikom już w następnych numerach miesięcznika.

Bezwartościowe życie

Historia lubi się powtarzać, czyni to zazwyczaj w nieco innym stylu, ale jądro problemu przyprawia o déjà vu. W czasie, gdy w Belgii poddaje się eutanazji dzieci, w Holandii osamotnionych staruszków, a w obu tych niezwykle postępowych państwach w świetle prawa można w sterylnych warunkach pozbawić życia alkoholika, cierpiącego na depresję, a nawet człowieka, któremu jedyne co dolega, to poczucie „niskiej jako-

ści własnego życia", historia III Rzeszy i jej stosunku do słabszych z dnia na dzień staje się nie coraz mniej – a coraz bardziej aktualna. Kiedy zapytałam dr. Paula Weindlinga, który wchodzi w skład zespołu mającego zbadać dostępne preparaty anatomiczne (zwłaszcza te odnalezione w archiwach Max Planck Institut w kwietniu 2015 r.) o to, dlaczego projekt jest dla niego tak ważny, stwierdził, że chodzi w nim przede wszystkim o przywrócenie godności ofiarom i pamięci o tym, że byli. Profesor Gerrit Hohendorf z Technische Universität München, który jeszcze kilka lat temu na łamach niemieckiej prasy uskarżał się na „marginalizację ofiar eutanazji III Rzeszy", dziś tak jak Paul Weindling pragnie dotrzeć do ich nazwisk i przypomnieć o nich swoim rodakom. Sam twierdzi, że przez dziesięciolecia temat eutanazji stanowił w Niemczech tabu. Trudno się w sumie dziwić. Wstępem do zalegalizowania w III Rzeszy eutanazji dzieci był tajemniczy casus Dziecka K. Sprawa miała miejsce jeszcze przed początkiem II wojny światowej, pewne małżeństwo zwróciło się do kancelarii Führera o pozwolenie na zabicie swojego niepełnosprawnego dziecka. Rodzice malca argumentowali, że pediatra, który je badał, orzekł, iż dziecko nigdy nie będzie normalne i tym samym „życie takiej istoty jest bezwartościowe". A potem lawina ruszyła. Szacuje się, że w latach 1939–1944 zginęło pod nią 10 tys. dzieci. Metody były dwie: zagazowanie lub zastrzyk. Rok po tym jak eutanazja na dzieciach okazała się skuteczna, przystąpiono do eutanazji dorosłych.

Polski ślad

Zbrodnie II wojny światowej wciąż wbrew pozorom burzą spokój Niemców, nie wszystkich oczywiście, ale jest spora grupa historyków, naukowców, którzy wciąż chcą pamiętać i dociekać. Jeżeli przy okazji tych dociekań uda im się ustalić tożsamość Polaków, których zamordowano i pośmiertnie wykorzystywano w niemieckich laboratoriach, to trzeba mieć rękę na pulsie. Zapytany o „polski ślad" dr Weindling podaje na razie nazwiska dwóch Polaków, którzy zostali zamordowani, a ich ciała przekazano do zakładów anatomii z wiadomym przeznaczeniem. Są to Czesław Rokwicz, lat 20, stracony w więzieniu karnym w Monachium-Stadelheim 28 listopada 1941 r., i Zygmunt Żagowski, stracony w wieku 27 lat, miejsca egzekucji nie znamy. Doktor Weindling spodziewa się, że wśród preparatów anatomicznych m.in. ze zbioru Max Planck Institut znajdą się szczątki kolejnych polskich ofiar, sądzi też, że podczas prac zespół może natrafić na próbki wycinków mózgów pobranych od ludności żydowskiej m.in. z getta warszawskiego.

Czas, start

Kilka miesięcy temu na łamach „Nowego Państwa" (3 (133)/2017) w artykule „Krew na kitlu" nawiązałam do historii profesora anatomii Hermanna Stieve, który na ciałach straconych kobiet dokonywał sekcji, a następnie pobierał do swoich badań ich układy rozrodcze. Wyniki publikował w renomowanych czasopismach naukowych, budując na eksperymentach usankcjonowanych bezprawiem całą swoją karierę. Stieve do końca życia cieszył się opinią świetnego lekarza i wykładowcy, nigdy nie odpowiedział za swój wkład w hitlerowską machinę śmierci. Kolejnymi znanymi lekarzami spod ciemnej gwiazdy byli Julius Hallervorden i Hugo Spatz. Hallervorden badał i preparował mózgi pomordowanych więźniów obozów, w tym i Polaków, oraz dzieci poddanych eutanazji w brandenburskich ośrodkach dla nieletnich. W latach 1940–1945 do Instytutu Cesarza Wilhelma w Berlinie (dzisiejszy Max Planck Institut), gdzie pracował wtenczas Hallervorden, dostarczono blisko 700 mózgów. W sekcjach uczestniczył też prof. Spatz, od 1938 r. czynny członek NSDAP. Po śmierci uhonorowano ich mowami pochwalnymi i doktoratami *honoris causa*. Stieve, Hallervorden i Spatz są reprezentantami dużo szerszego kręgu profesorów, którym udało się umknąć sprawiedliwości i spokojnie dożyć starości. Ofiary ich bezdusznych eksperymentów są liczone w dziesiątkach tysięcy. Tym ludziom trzeba przywrócić imiona i nazwiska, dowiedzieć się, kiedy i w jakich dokładnie okolicznościach zginęli, w końcu – ustalić, czy i ewentualnie gdzie żyją ich bliscy. Sprawa nie należy do łatwych, w ramach projektu trzeba będzie dokonać analizy nie tylko preparatów znalezionych w archiwach Max Planck Institut, lecz także tych, które pochowano w 1990 r. na monachijskim Waldfriedhof. Czas pokaże, czy dr Paul Weindling (Oxford Brookes University), prof. Gerrit Hohendorf (Technische Universität München) i dr. Herwig Czech (Medizinische Universität Wien) przywrócą pamięć o ofiarach nieludzkich eksperymentów. Mają na to trzy lata. Czas, start. Powodzenia. ■

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

Chiny

Po dwóch latach więzienia władze Chin wypuściły na wolność prawnika Li Hepinga. Został on aresztowany w czasie tzw. Akcji 709, czyli zatrzymania około 300 prawników, pracowników kancelarii prawniczych i aktywistów działających na rzecz praw człowieka, do której doszło 9 i 10 lipca 2015 r. Ta operacja władz ChRL była kolejnym krokiem prowadzonej przez partię komunistyczną kampanii mającej na celu zniszczenie rozwijającego się w Chinach ruchu obrony praw obywateli. Przed aresztowaniem Li Heping był adwokatem w najbardziej spektakularnych sprawach w Chinach Ludowych. Reprezentował m.in. niewidomego obrońcę Chen Guangchenga, którego aresztowano po ujawnieniu przez niego faktu przymusowych aborcji i sterylizacji prowadzonych w prowincji Shandong. Li Heping to także gorliwy chrześcijanin, który bronił wielu swoich współwyznawców prześladowanych w Państwie Środka.

W więzieniu prawnik był poddawany torturom, m.in. elektrowstrząsom. W marcu tego roku grupa dyplomatów z Kanady, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Czech i Estonii wystosowała list do władz Chin wzywający je do zaprzestania tortur wobec więzionych prawników. 28 kwietnia odbył się proces Li Hepinga, na którym został on skazany na trzy lata w zawieszeniu na cztery lata i pozbawienie praw publicznych za „działalność wywrotową na szkodę państwa". Kilka dni po ogłoszeniu wyroku Li został zwolniony. W wypowiedzi dla organizacji China Aid Association, zajmującej się promowaniem wolności religijnej w ChRL, żona prawnika potwierdziła, że 46-letni Li po pobycie w więzieniu jest bardzo słaby, dużo schudł i całkowicie osiwiał, ale jest w dość dobrym nastroju.

Na początku 2017 r., po 17 miesiącach aresztu, do domu wrócił brat Li Hepinga, Li Chunfu, także prawnik. Ten 44-letni mężczyzna w wyniku tortur, jakich doświadczył w więzieniu, jest dziś, jak to określają jego bliscy, cieniem człowieka, a lekarze zdiagnozowali u niego schizofrenię.

Japonia

W połowie maja konserwatywny premier Japonii Shinzo Abe udzielił wywiadu amerykańskiej stacji CNBC, w którym odniósł się do problemów wewnętrznych Kraju Kwitnącej Wiśni i polityki zagranicznej jego państwa. Japonia to jedno z najszybciej starzejących się społeczeństw na świecie. W związku z tym spada liczba dostępnych pracowników, ale japoński premier wierzy, że technologia (m.in. roboty) może pomóc w rozwiązaniu tego problemu. „Idąc naprzód, wykorzystując sztuczną inteligencję i Internet, chcemy przezwyciężyć wyzwania związane ze starzejącym się społeczeństwem i niskim wskaźnikiem urodzeń" – mówił CNBC Abe. Kraj Kwitnącej Wiśni chce się też dzielić swoją wiedzą i doświadczeniem w wykorzystaniu sztucznej inteligencji z innymi, będącymi w podobnej sytuacji państwami.

W kwestii wynagrodzeń Shinzo Abe uważa, że te w Japonii będą rosnąć. Administracja Abe od dawna ma nadzieję, że wyższe zyski przedsiębiorstw przełożą się na poprawę wynagrodzeń i wzrost wydatków konsumentów, ale ostatnie dane na razie jeszcze nie wskazują na znaczny wzrost płac.

Odnosząc się do relacji japońsko-amerykańskich, Abe stwierdził, że opracowywane są ramy dla dialogu gospodarczego między oboma krajami. W trakcie kampanii wyborczej Donald Trump oskarżał Japończyków o kradzież amerykańskich miejsc pracy. Ten zarzut nie pojawił się spotkaniu Trumpa z Abe w Białym Domu w lutym tego roku, a obaj przywódcy zapowiedzieli, że ich kraje chcą zawrzeć bilateralną umo-

wę o wolnym handlu. „Chcielibyśmy wzmocnić współpracę gospodarczą pomiędzy Japonią i Stanami Zjednoczonymi, zarówno w handlu, jak i w inwestycjach [...] Ponadto będziemy współpracować w takich sektorach, jak szybka kolej, infrastruktura i energia" – mówił japoński premier CNBC.

Odnosząc się do kwestii Korei Północnej, Abe wyraził wdzięczność prezydentowi Trumpowi za jego stanowisko w tej sprawie. Według japońskiego przywódcy społeczności międzynarodowej nie udało się przekonać Pjongjangu, by zrezygnował z programu atomowego. Abe dodał, że Japonia chce pokojowego rozwiązania tego problemu, ale „nie jest zainteresowana dialogiem dla samego dialogu. Stoi twardo na stanowisku, że potrzebne są działania".

Odnosząc się do Chin i Korei Południowej, Shinzo Abe powiedział, że w ostatnich latach relacje z tymi państwami „nie były łatwe" m.in. ze względu na spory terytorialne na Morzu Wschodniochińskim i pamięć o zbrodniach Japonii w okresie II wojny światowej. Japoński premier wyraził nadzieję, że uda mu się spotkać z prezydentem Chin Xi Jinpingiem i nowo wybranym prezydentem Korei Południowej Moon Jae-inem na szczycie G20 w Hamburgu w lipcu tego roku.

Chiny–Tajwan

Przemysł turystyczny to duży biznes w Chinach. Turyści z Państwa Środka zostawiają też niemało pieniędzy w krajach, które odwiedzają. Z danych opublikowanych w kwietniu przez Światową Organizację Turystyki (UNWTO) wynika, że mieszkańcy Chin wydali na te cele w 2016 r. 261 mld dolarów. To o 12 proc. więcej niż w roku poprzednim. Na urlop zagraniczny wybrało się 135 mln Chińczyków, czyli ponad 10 proc. z liczącego 1,374 mld osób społeczeństwa. To wzrost o 6 proc. w porównaniu do danych z 2015 r.

Ale według chińskich władz turystyka ma nie tylko przynosić korzyści ekonomiczne, lecz ma także być wykorzystywana jako narzędzie polityczne. Jeśli któryś z krajów w Azji postępuje niezgodnie z interesem Pekinu, zostaje odcięty od dopływu chińskich turystów. Doświadczyła tego Korea Południowa, która instaluje na swoim terytorium amerykański system obrony antybalistycznej THAAD. Przeciwko temu ostro protestuje Pekin i w odpowiedzi ograniczył w tym roku liczbę turystów do Korei Południowej. Podobne doświadczenia miał Hongkong. Gdy w 2014 r. wybuchła tam „rewolucja parasoli", protest, w którym Hongkończycy domagali się wolnych wyborów i występowali przeciwko ograniczaniu podstawowych wolności przez Pekin, władze ChRL odcięły dopływ turystów.

Kara ta spotyka też Tajwan. Tu od roku rządzi prezydent Tsai Ing-wen z proniepodległościowej partii DPP. Odrzuca ona chińską wersję polityki jednych Chin zakładającą, że Tajwan jest częścią ChRL, i zapowiedziała, że Tajwan nie zrezygnuje ze swojej samodzielności. To oczywiście wzbudziło niezadowolenie Pekinu, który od momentu inauguracji Tsai, 20 maja 2016 r., ogranicza liczbę turystów na Tajwan. Chińskie biura podróży otrzymały przykaz od władz, by zmniejszyć liczbę organizowanych tam wycieczek.

Ale choć mniej Chińczyków przybywa na wyspę, jej władze nie załamują rąk i szukają nowych rynków. Według tajwańskiego Biura ds. Turystyki w 2016 r. wyspę odwiedziło 10,7 mln turystów z całego świata. Rok wcześniej było to 10,4 mln osób. Ten wzrost w ubiegłym roku dokonał się, mimo że o 660 tys. spadła liczba odwiedzających z Chin (w 2016 r. Tajwan odwiedziło 3,5 mln turystów z ChRL). W zeszłym roku wzrosła o 16 proc. liczba turystów w Azji Południowo-Wschodniej. I to na tym kierunku skupia się Tajwan, promując siebie. W tym celu wprowadził m.in. ułatwienia wizowe i otworzył nowe połączenia lotnicze z krajami tego regionu.

Dane z pierwszego kwartału tego roku pokazują, że liczba odwiedzających wyspę z Azji Południowo-Wschodniej rośnie. A nadal spada tych przybywających z Chin (o kolejne 660 tys.).

Filipiny–Chiny

Na odbywającym się w połowie maja w Pekinie Forum Pas i Szlak doszło do spotkania prezydenta Chin Xi Jinpinga z prezydentem Filipin Rodrigo Duterte, a rozmowy przyniosły wstępną decyzję o zakupie przez stronę filipińską chińskiej broni o wartości pół miliarda dolarów. Minister obrony Filipin Delfin Lorenzan przyznał, że list intencyjny, jaki podpisano w tej sprawie, nie jest wiążący, a przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji do ChRL uda się delegacja wojskowa z jego kraju.

Od 1950 r. USA, dotychczasowy główny sojusznik Filipin, odpowiadały za 75 proc. zagranicznych dostaw dla armii filipińskiej. Jednak pod koniec rządów Obamy w USA doszło do pogorszenia relacji między oboma państwami. Poprzednik Trumpa ostro krytykował rządzącego od połowy 2016 r. prezydenta Duterte za jego bezwzględną rozprawę z dilerami narkotyków. Na to Duterte odpowiedział zwrotem w kierunku Pekinu.

Duterte zapowiadał, że Rosja i Chiny mogą stać się dostawcami broni dla armii jego kraju, jeśli Waszyngton będzie odmawiał sprzedaży niektórych typów uzbrojenia, powołując się na obawy związane z przestrzeganiem praw człowieka. ■

– Jakie to tam miasto, pytam? – śmieje się Stan. – Domki jak u nas w letniskowej miejscowości. Wszędzie daleko. A centrum z wieżowcami zajmuje ledwo kilkaset hektarów.

pastnej torby swoją piękną granatową rakietę. – Chyba trzeba by naciągnąć...

– John, robiliśmy to przed kilkoma dniami... – nie dowierza Jacek, oglądając wręczoną mu rakietę.

– No, tak... Ale jakoś mi się tak dziwnie uderza teraz. Nie poprawiłbyś nieco? Delikatnie. Zrobisz to w kilka chwil.

Jacek tylko uśmiecha się pod nosem. John to jeden z jego „ulubionych" klientów. Pierwszy raz zetknął się z nim ponad rok temu, gdy John zamówił u niego rakietę. Testował ją pół roku. Gdy wreszcie się zdecydował, złożył zamówienie internetowo. Rakietę wysłano mu pocztą. Po kolejnym pół roku John pojawił się w firmie. Poprosił o zmianę naciągu. Gdy Jacek zapytał dlaczego, skoro testował rakietę przez sześć kolejnych miesięcy, ten przyciśnięty do muru odparł wreszcie szczerze: „Bo widzisz... Ja się wtedy pomyliłem podczas zamawiania przez Internet. I kupiłem nie tę, co chciałem. I jakoś głupio było mi zwrócić".

John jest typowym mieszkańcem Sydney. Grzeczny, ułożony, zwykle uśmiechnięty i przesympatyczny. Nie chce robić problemów. Woli udawać, że nic się nie stało. Przetrzymać, dopłacić. Nie absorbować sobą drugiego.

Problem z tym, że już kilka miesięcy temu przeszedł metamorfozę. Z niechcącego się narzucać klienta przemienił się w najbardziej uciążliwego pod słońcem. Odwiedza serwis przynajmniej raz na miesiąc. Wiecznie z tym samym problemem. „Naciąg nie siedzi". I tu objawia się druga twarz przeciętnego Australijczyka. Z jednej strony wspomniane oblicze pełne uśmiechu, życzliwości, wycofania, ale z drugiej: nieprawdopodobnej wręcz niepewności. Niedecyzyjności wręcz.

Piosenkarz Ed Sheeran, gdy przybył na swoją trasę do Australii, zwrócił uwagę na intrygujący go „śpiewny" australijski akcent. Muzyk miał wrażenie, jakby każdy, z kim tutaj rozmawiał, kończył swoje zdanie pytaniem. I faktycznie, Sheeran miał w swoim spostrzeżeniu wiele racji. Intonacja i akcent języka Australijczyków mówią

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Jak na wsi

o samej postawie mieszkańców antypodów dużo więcej, niż może nam się wydawać. Aby odnaleźć korzenie tej niepewności i braku zdecydowania, trzeba jednak poszperać nieco w historii.

Niezmywalna wina

Początek XIX wieku. Po dalekich odkryciach Jamesa Cooka, po wykreśleniu australijskiej linii brzegowej przez George'a Bassa i Matthew Flindersa, po tym, jak Phillip Parker King opłynął cały nowo odkryty ląd w czasie jednej wyprawy, świat zaczął zaś traktować go jako oddzielny kontynent (Nową Holandię), można było zacząć stopniową kolonizację „dzikich ziem". Założono miasteczko Port Jackson, a w nim port. To tam zaczęły cumować coraz liczniejsze statki przypływające z brytyjskimi skazańcami. Sprawiając, że maleńka z początku osada stawała się coraz większa i większa (szacuje się, że przez niespełna pół wieku przetransportowano tu ponad 160 tys. więźniów). Z czasem była tak wielka, że zmieniono jej nazwę. Na Sydney.

Przybyli tu skazańcy przygotowali grunt dla tych, którzy mieli pojawić się już wkrótce. Wolnych osadników z białego świata. Ci zaczęli ściągać swoje rodziny. Kolonizacja zaczęła się na dobre. Sprzyjały jej gorączka złota i wizja „cennych złóż", o których rozpowiadano szeroko zarówno w dalekiej Europie, jak i w nieco bliższych Chinach. To właśnie w tym czasie, gdy nad powszechną kolonizacją nowego i nieznanego lądu nie sprawowano żadnej kontroli, zagładzie uległo tak wiele unikatowych w skali światowej gatunków roślin. Dziś już nie do odzyskania. Australijczycy o tym wiedzą. I chyba cały czas noszą to gdzieś w sobie. Podobnie jak nadal nie potrafią wyleczyć się z gigantycznego poczucia winy w związku z niewłaściwym potraktowaniem kultury Aborygenów. Tych, którzy byli tu przecież przed nimi. Na całym kontynencie zostało ich około 30 tys. Czyli tyle samo, ilu było ich w czasach początku koloni-

Surferzy na Bondi Beach

Nie wszyscy preferują kąpiel w otwartym oceanie

Ósma rano. Jacek spokojnym krokiem wychodzi z mieszkania. Nie musi się spieszyć. Do pracy nie ma daleko. Ma być na dziewiątą. Wciąż jednak wstaje wcześniej z przyzwyczajenia. To efekt tych kilku miesięcy, gdy musiał do pracy dojeżdżać komunikacją miejską. Albo rowerem. Teraz, gdy wreszcie kupił samochód, w pracy jest znacznie szybciej.

Dobrze, że zaparkował pod drzewem. Palące od rana słońce nie zdążyło jeszcze wyjść z cienia gałęzi. W aucie będzie przyjemniej. I co ważne, wygodnie. Jacek przekręca kluczyk. Silnik zapala od razu. „To rozumiem. Grzeczna furka..." – uśmiecha się do siebie.

W tej części miasta ulice są jeszcze puste. Większość witryn sklepowych nadal niepoodsłanianych. Jakby był weekend. Jacek spokojnie podtacza auto pod światła. Czerwone. Poczeka... Ma mnóstwo czasu.

Tuż obok wiata przystanku autobusowego. Co za ulga. „Że też tyle czekałem z kupnem" – uśmiecha się po raz kolejny do siebie. Dziś, gdy ma już swoją osiemnastoletnią toyotę, spogląda na mijający niebieski autobus komunikacji miejskiej z poczuciem szczerej ulgi. I rzeczywiście ma powody.

Sydney jest wielkie. Brak wieżowców w częściach mieszkalnych sprawia, że większość ludzi decyduje się na domki jednorodzinne. Gdy wyjedziemy z maleńkiego powierzchniowo ścisłego centrum, znajdziemy się po chwili pośród krajobrazu znanego nam z amerykańskich filmów o prowincji. Niskie, parterowe domki. Duże garaże, ogrody. I oparta na bazie kwadratów sieć ulic. Miejsko-wiejski pejzaż ciągnie się kilometrami. Z północnego wschodu miasta na południowy zachód mamy dobre 80 kilometrów. Mający nieco mniej szczęścia mieszkańcy, którzy muszą dojeżdżać z jednego krańca na drugi, spędzają w autobusach często ponad cztery godziny dziennie. Takich mieszkańców jest jednak coraz mniej. Na samochód stać dziś w Sydney praktycznie każdego.

– Tę toyotę kupiłem za 2300 AUD (w przeliczeniu na złotówki, wyjdzie około 6500 zł – przyp. aut.). Pamiętaj jednak, że będąc w Australii, nie możesz przeliczać ichniejszych dolarów na nasze złotówki według kalkulatora walutowego – tłumaczy mi Jacek. – Tutaj inaczej się zarabia. Najprościej jest zatem przeliczać 1:1. Dla przeciętnego mieszkańca Sydney 2300 AUD oznacza tyle, co dla przeciętnego Polaka 2300 zł.

Dla Australijczyka kilkuletni samochód to już rupieć. Zresztą ta reguła dotyczy nie tylko aut. Równie szybko na wartości tracą meble i sprzęt RTV. Kupno zupełnie przyzwoitego i sprawnego samochodu za 2000 AUD nie stanowi tu najmniejszego problemu.

Po kilkunastu minutach Jacek dojeżdża do pracy. W Polsce uczył ludzi grać w tenisa. Tutaj ma więcej klientów. Australijczycy kochają rywalizację na kortach. Jacek ma mnóstwo zleceń. Ponadto serwisuje sprzęt. – Roboty jest naprawdę dużo – dodaje z uśmiechem.

► „Śpiewna" niepewność

– O, jesteś! – stojący tyłem do wejścia Jacek nie musi się odwracać, aby wiedzieć, kto nawiedził jego pracownię. – Hello, Jack! Piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż?

– Cześć, John. Rzeczywiście, słońce od rana. W czym mogę ci pomóc? – Jacek pyta z czystej kurtuazji. W głębi duszy dobrze wie, z czym przychodzi najbardziej męczący klient, z jakim miał do czynienia.

– Wiesz... – czterdziestoletni mężczyzna przerywa na chwilę, aby lekko stęknąwszy nachylić się i wyjąć z prze-

Subkultura surferów ma w Sydney długą tradycję

Tutaj nie trzeba daleko jechać, aby znaleźć się w dziczy

zacji Australii. Przeciętny mieszkaniec Sydney doskonale zdaje sobie z tego sprawę. I najprawdopodobniej właśnie to sprawia, że nie będzie potrafił odwrócić obojętnie głowy od półnagiego potężnego mężczyzny grającego przy Circular Quay na wielkiej rurze. Na aborygeńskim instrumencie didgeridoo. To Aborygen – pulsujące na nowo australijskie poczucie winy. Aborygen, który zbiera na życie.

Bez alkoholu i pornografii

Sam środek kontynentu. Spalona słońcem ziemia. Do wielkiej wody jest stąd najmniej 1000 kilometrów. Przecinająca na pół Australię z północy na południe krajowa droga nr 87 ma tu dokładnie swój symetryczny środek. To 25-tysięczne Alice Springs. Miasteczko koncentrujące największą chyba część Aborygenów. Ludzi wykluczonych.

Alice Springs wygląda naprawdę strasznie. Jakby po przejściu tajfunu. Rozsypujące się domy. Siedzący gdzieniegdzie na krawężnikach czarnoskórzy mężczyźni. Część z nich nietrzeźwa. Obserwująca pijanym wzrokiem mijających ją przechodniów. Czasem nad dachami miasteczka da się słyszeć głośne „Fuck you, fuckin' whities!" („Pieprzcie się, p*** białasy!"). Wieczorem będzie już ciszej. Mało który mieszkaniec będzie miał ochotę ryzykować zdrowiem. Zostaną w domu. Tam jest bezpieczniej.

Na początku XXI wieku australijski rząd wprowadził limity na sprzedaż alkoholu aborygeńskim społecznościom. Wszystko przez zatrważające dane opublikowanego raportu, wedle którego w każdej z 45 aborygeńskich społeczności w Terytorium Północnym odnotowano przypadki seksualnego wykorzystywania dzieci, przemocy oraz stanowiącego podwalinę całej tej patologii alkoholizmu. Od tej pory sprzedaż alkoholu dla Aborygena jest ściśle monitorowana. Nie wolno mu przewozić w aucie więcej jak 24 puszki piwa lub dwa litry wina. Pod względem zawartości pornograficznych treści kontrolowane są również komputery będące ich własnością.

Aborygeni nie lubią białych. Podczas kolonizacji ich własnego domu przez świat białego człowieka autochtoni byli w tym starciu bez najmniejszych szans. Pozostali na marginesie. Stanowiąc dla współczesnych Australijczyków prawdziwy wyrzut sumienia. To stąd przydzielane im przez rządzących zasiłki. Jedynym kryterium ich otrzymania jest sam fakt bycia Aborygenem. Ponadto udziela się im pomocy w postaci przydziału domów oraz samochodów. Z upływem czasu domy zwykle popadają w ruinę – Aborygeni wyjmują okna, uznając je za element zbędny, drzwi (warto pamiętać, że przez wieki żyli pod gołym niebem). Drogi w okolicach Alice Springs coraz gęściej usiane są wrakami spalonych samochodów. To te, które się zepsuły. Nie było komu naprawić. Przecież to kosztuje.

Wyrzut sumienia

Gdy Jacek wróci po pracy do domu, na swojej skrzynce mailowej znajdzie list. Nadawcą jest przedszkole, do którego uczęszcza jego córka. Przypominają tylko, że miejsce, w którym zbudowana jest dziś placówka, należało niegdyś do aborygeńskiego plemienia Yolngu. – Tego typu listów otrzymuję przynajmniej kilka w miesiącu. Faktycznie niewiele z nich wynika. Mam jednak nieodparte wrażenie, że komuś

po wysłaniu takiej wiadomości jest nieco lżej na sercu – mówi Jacek. Tak, tragiczna historia kolonializmu i podbicia Aborygenów zrobiła swoje. Wciąż ciąży na sumieniu całej społeczności. Stanowi jej największy kompleks.

– Wiesz, jak nazywa się kompleks kortów, na których pracuję? – konkluduje Jacek.

– Nie mam pojęcia.

– „Kooroora".

– A co to znaczy?

– „Miejsce spotkań". A wiesz po jakiemu?

– Chyba się domyślam...

– Pewnie, że tak. Po aborygeńsku.

E-mailem bądź SMS-em

Rory urodził się w Republice Południowej Afryki. Przyjechał do Sydney kilka lat temu za pracą. Otrzymał ją bardzo szybko. Duży kontrakt. W wielkiej australijskiej korporacji. Od razu rzucony na głęboką wodę. – Dostałem kontakt do bardzo bogatego klienta – wspomina dziś. – Duża firma. Miałem ich „złowić" i wynegocjować z nimi umowę dla mojej korporacji. Duże wyzwanie – mówi.

Wszystko szło jak z płatka. Przez kolejne tygodnie wracał do domu niezwykle zmotywowany i szczęśliwy. Już od wejścia krzyczał do żony, że oto „przyjechali do raju". Że jego klienci biorą wszystko, co im tylko zaproponuje. Że go chwalą, że wzbudza ich zaufanie. Oferta została przedstawiona, umowa miała być spisana lada dzień. Firma poprosiła jeszcze o tydzień na przemyślenia.

Po tygodniu Rory otworzył e-maila na swojej poczcie. Odmówili. Nie chcieli skorzystać z oferty. Na nic zdały się kolejne telefony, próby umówienia się na jeszcze jedno spotkanie, e-maile, listy...

– Dziś już wiem, że Australijczyk zawsze będzie mówił, że „wszystko jest super". Nie chcą robić przykrości rozmówcy. Tacy już są. Ma być miło i przyjemnie. To przede wszystkim. A co potem, to już zupełnie odrębny temat. O odmowie nigdy nie dowiesz się podczas rozmowy. Tylko za pomocą e-maila. Czasem wyślą ci SMS-a – pointuje Rory.

– Jest dokładnie, jak mówi – przytakuje Jacek. – Na forach sydneysiders [jak lubią określać się sami mieszkańcy Sydney – przyp. aut.] aż roi się od wzajemnych oskarżeń, niepochlebnych recenzji. A to sąsiad „nakabluje" na sąsiada o niewywiezione

Oddalona o 35 km na północ od ścisłego centrum Sydney niezwykle malownicza Palm Beach

śmieci, a to skrytykują ostatni koncert plenerowy w osiedlowym parku. Ale osobiście, w rozmowie? Nigdy.

Śmiertelna pułapka

Do takiego właśnie Sydney przyjechałem. Miasta ludzi niezdecydowanych. Ludzi żyjących w „aborygeńskim kompleksie". Ludzi niepotrafiących otwarcie rozmawiać. Do miasta ulicznego uśmiechu. Gdzie jednakowoż każdy jest pomocny i pogodnie nastawiony do życia.

– Pływałeś kiedyś na desce? – zagadnął mnie któregoś dnia mieszkający od kilkunastu już lat w Sydney Jakub.

– Nie, nigdy... – odpowiedziałem nieco zbity z tropu. Nie spodziewałem się takiej propozycji. Wprawdzie odkąd jestem w Sydney, na tutejszych plażach widziałem setki surferów, ale w życiu mi nie przyszło do głowy, aby samemu spróbować. Dla przeciętnego Polaka ceny usług w Australii są naprawdę zaporowe.

– No to chodź. Mam w domu dwie deski. Pouczymy się.

W Australii kolejne upadki z deski prosto do wody nie powinny napawać grozą. Są raczej przyjemnym orzeźwieniem. Temperatura wód Morza Koralowego rzadko kiedy spada poniżej 22 stopni Celsjusza. W takich warunkach nauka surfingu to sama przyjemność.

– Poczekaj na falę! Nie wstawaj za wcześnie! – krzyczy leżący obok na swojej desce Jakub.

– Łatwo ci powiedzieć... – szepczę do siebie, gdy po raz kolejny nadchodząca fala zmywa moje ciało z długiej na ponad dwa metry deski.

– To kwestia nabrania prędkości wraz z falą. Potem idzie jak z płatka! – śmieje się kolega. – Zobacz zresztą.

Jemu się udaje. Gdy deska jest już w najwyższym punkcie fali, Kuba wstaje i unosi się na wielkim przypływie. Z tej perspektywy to naprawdę robi wrażenie. Po kilku próbach udaje się i mnie. Gdy się jest na samej górze fali, wszystko wydaje się takie inne. Prędkość, z jaką zbliżam się do brzegu, może przerazić. Za to ta perspektywa na rozciągającą się pode mną plażę... Jakby z lotu ptaka.

– No! Udało się – wykrztusza z siebie Jakub, gdy już składamy nasze piankowe kombinezony do bagażnika jego samochodu.

– Co się udało? – uśmiecham się, węsząc jakąś puentę.

Sydneyowska Katedra Najświętszej Maryi Panny

Sydney Opera House, czyli najczęściej fotografowany obiekt miasta

– Tym razem rekiny nie przypłynęły – na twarzy kolegi pojawia się uśmiech.

– Żartujesz?! A to bywają?!

– Żeby raz...

Tym razem Jakub się nie wygłupia. Każdy australijski surfer dobrze wie, że wypływając danego dnia w morze, naraża się na ryzyko. Ponoć niewielkie. Ale jednak.

Z pewnością wiedzieli o nim także uczestnicy triathlonu, którzy w liczbie kilkuset kobiet i mężczyzn stawili się kilka lat temu do wyścigu zaczynającego się w morskich wodach zatoki Morza Koralowego. Niestety, jedna z kobiet nie ukończyła wyścigu. Gdy w pobliżu pływaków pojawiły się wystające z wody płetwy, większość zaczęła w panice płynąć czym prędzej do brzegu. Rekiny tylko na to czekały. Wybrały już ofiarę. Była nią kobieta, która płynęła nieco z tyłu grupy. Najsłabsze ogniwo. Okrążając przyszłą ofiarę, odgrodziły dostęp pomocy. Płynący przed nią mąż nie mógł się do niej dostać. Kobieta została pożarta na jego oczach.

O historiach ataków rekinów na ludzi czytamy w australijskiej prasie bardzo rzadko. Wypadki zdarzają się sporadycznie. Ale jednak. Warto o tym pamiętać.

Lepiej bez zmiotki

– Pamiętaj. Jesteś w Australii. Tutaj wszystko, co żyje, jest trujące – podsumowała z nutką ironii w głosie Helen. Pracuje w szkole nurków. I dobrze wie, co mówi. O ile cała masa małych gryzoni nie wyrządzi nam prawdopodobnie większej szkody, o tyle nawet w ogrodach mieszkańców Sydney od czasu do czasu zdarzy się znaleźć jakąś ciekawą istotkę...

– To było podczas urodzin mojej córeczki – rozpoczyna swoją historię Jakub. – Zrobiliśmy grilla w ogrodzie. Przyszli znajomi z dziećmi. Było bardzo sympatycznie. Gry, zabawy, rozmowy, poczęstunek. W pewnej chwili ojciec jednej z dziewczynek zawołał mnie. Gdy nie spiesząc się, do niego podszedłem, aż zamarłem w bezruchu. Na ogrodzeniu dzielącym moją działkę od drugiej wisiał wielki biały wąż. Jadowity. Całe szczęście, że żadne dziecko nie zobaczyło go wcześniej.

To jednak nie węże są tym, co sprawia, że sprzątający kuchenne zakamarki sydneysiders wolą robić to za pomocą długiej miotły niż krótkiej zmiotki. Dużo częstszym gościem w tutejszych gospodarstwach są bowiem słynne ptaszniki. Pająki o śmiertelnym jadzie. – Bez obaw. Gwarantuję ci, że bez twojej inicjatywy żaden ptasznik cię nie zaatakuje – instruował mnie w sydnejowskim zoo opiekun dbający o dobre samopoczucie tych wielkich pająków. – W kontakcie z ptasznikiem wystarczy jedynie odstąpić na metr. I to już jest dystans gwarantujący nam bezpieczeństwo. A że ptasznika możemy u nas w domu znaleźć zawsze i wszędzie, warto zapamiętać tę zasadę.

Żółty kolonializm

– Sydney to taka większa wioska – śmieje się ksiądz Stan, polski kapłan żyjący w Australii już kilkanaście lat. – Domki jak u nas w letniskowej miejscowości. Wszędzie daleko. A centrum z wieżowcami zajmuje ledwo kilkaset hektarów. Jakie to tam miasto, pytam?

Ma wiele racji. Wspomniane 80 kilometrów, jakie dzielą północno-wschodnie rogatki miasta od południowo-zachodnich, sprawiają, że w Sydney rzeczywiście wszędzie jest daleko. Gdy dodamy do tego koszty za przejazd komunikacją miejską – jeśli mamy do przejechania kilka stref

Maleńkie downtown – bankowo-finansowe centrum

Typowy domek mieszkalny w jednej z dzielnic Sydney

miasta, za jednorazowy przejazd biletowany na specjalnej karcie miejskiej Opal zapłacimy nawet równowartość 25 PLN (!) – wychodzi nam prawdziwa przeprawa.

Centrum Sydney to przede wszystkim pośpiech. Tu nie czuć już wcale prowincjonalnej sielankowej atmosfery reszty miasta. Siedziby banków, mknące autobusy turystyczne, wrzeszczące do nas sklepowe promocje. Dzieje się.

– Jak przyjechałem tu w latach 80., praktycznie codziennie płakałem – wspomina z rozrzewnieniem Angelo, dziś właściciel rewelacyjnej włoskiej pizzerii na przedmieściach Sydney. – Jako rodowitemu neapolitańczykowi z krwi i kości tutejsza oferta gastronomiczna troszkę mi nie leżała. Na śniadanie boczek. Na lunch kanapka z posiekanym udkiem kurczaka. Na kolację szynka na cieście. I tak cały czas. W sklepie z przypraw tylko sól i pieprze. Za to boczku w bród! Gdy na początku rozkręcania biznesu wysłałem do potencjalnych klientów ankietę z pytaniem, jaką pizzą byliby zainteresowani, większość odpisała, że... pizzą z boczkiem. Byłem zdruzgotany. Teraz to już zupełnie inne miasto. Niektórzy nazywają je nawet kulinarnym rajem. Znajdziesz restauracje praktycznie wszystkich kuchni świata. W sklepach kupisz wszystko. Globalizacja. Ot co.

Angelo nie wspomina o czymś jeszcze. W tych sklepach „ze wszystkim" coraz więcej widać skośnych par oczu. Można powiedzieć, że tak jak XIX wiek był dla Australii okresem kolonializmu białego człowieka, tak wiek XXI jest czasem inwazji chińskiej. Momentami można odnieść wrażenie, że ludzi o żółtym kolorze skóry jest na ulicach Sydney więcej niż tych o białym. Co rusz powstają chińskie sklepy, a nawet całe dzielnice. Chińczycy anektują kolejne obszary usługowe, do tej pory zarezerwowane raczej dla tutejszych.

– Co gorsza, psują rynek – unosi się zirytowany Jacek. – Przyjeżdżają z ogromnymi pieniędzmi. Windują ceny nieruchomości. Za dwupokojowe mieszkanie na przedmieściach musimy dziś płacić 700 tys. AUD. To ponad 2 mln zł! Znam takich, którzy chcieli przeprowadzić się do Sydney, ale zatrzymały ich wciąż wzrastające ceny mieszkań. Obecne pokolenie trzydziestolatków mieszka albo z rodzicami, albo wynajmuje pojedynczy pokój. Tragedia...

Dziś w Sydney mieszka prawie 5 mln ludzi. To jedna piąta mieszkańców całego kontynentu. Białych, czarnych, żółtych. O pochodzeniu europejskim, azjatyckim, amerykańskim, aborygeńskim. Żyją razem. Obok siebie. Udanie współtworząc etniczny pejzaż miasta, które do dziś plasuje się w czołówkach rankingów na wymarzone do zamieszkania.

Najciekawsze w tym wszystkim jest jednak to, że sami rodowici sydneysiders dziwią się zazdrosnej fascynacji ich miastem.

– Ty, Jacek... – zagadał któregoś dnia polskiego emigranta kolega z pracy.

– Słucham cię.

– A po co ty tu właściwie do tego naszego Sydney żeś przyjeżdżał?

– Jak to „po co"? – zdziwił się Jacek.

– No, bo przecież u was w tej Europie jest tak wspaniale. Europa jest super. A tu w Australii? Beznadzieja.

Jacek wciąż nie wie, czy ten chłopak mówił serio, czy znów trafił na jakiegoś „wycofanego, pełnego wewnętrznych sprzeczności niepewnego Australijczyka". Jedno wie jednak na pewno. Jemu w Sydney żyje się dobrze. – Wojen tu za wiele w przeszłości nie było. Wrogów też nie mamy. A największe rozróby to te, kiedy paru Aborygenów wyjdzie w Redfern na uliczny protest. Poza tym spokój. Jak na wsi. ■

WSPÓŁPRACA JACEK SIEMIENIAKO

Marcin Wolski

Pluszowe krzyże

„Odwaga staniała, rozum zdrożał" – ten bon mot Artura Sandauera z zupełnie innego okresu historycznego doskonale pasuje do naszych czasów.

Oto pewna wcale niemała grupa istot polakopodobnych przeprowadza śmiałą analogię stanu wojennego generała Jaruzelskiego z obecną dobrą zmianą Kaczyńskiego (oczywiście Jaruzelski w tym zestawieniu wypada korzystniej).

Służy to oczywiście wezwaniom do bojkotu – mediów narodowych, zawłaszczonego Trybunału Konstytucyjnego, o prokuraturze czy IPN-ie nie wspominając.

Abstrahując od idiotyzmu takich porównań – we współczesnej Polsce nie ma więźniów politycznych, panuje nieskrępowana wolność słowa, zrzeszania się i zgromadzeń, a także śpiewania co ślina na język przyniesie. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną różnicę. Będąc opozycjonistą w PRL-u, znacznie ryzykowałeś – mogłeś spodziewać się utraty pracy, zarobków, zdrowia wskutek aresztowania, a w ekstremalnych wypadkach i życia. W dodatku szansa, że kiedykolwiek ci się to opłaci, była zerowa. Realny socjalizm miał trwać wiecznie!

Dziś tzw. opozycyjność nie przynosi nawet dyskomfortu – atakując władze, można spodziewać się nie represji, ale rozgłosu i licznych nagród na przykład w postaci propozycji ze strony mediów komercyjnych. Zero ryzyka! Większą odwagą jest dzisiaj popieranie władzy, nawet mimowolne, czego doświadczyli choćby aktorzy grający w mojej „Szopce Noworocznej". Także otwarte opowiedzenie się za wartościami, takimi jak patriotyzm, polskość, racja stanu, tradycja itp. grozi falą hejtu i środowiskowych szantaży. I nie jestem tu gołosłowny. W latach 1982–1989 poznałem smak wykluczenia (skądinąd sam nie poszedłem na kolaborację), ale doświadczyłem go, niestety, również w wolnej Polsce. Od chwili podjęcia współpracy z „Gazetą Polską" stałem się artystą „gorszego sortu". Zlikwidowano mi audycję (ZSYP) w Polskim Radiu, po 2010 r. zniknęły z telewizji moje szopki. Nie powtarzano wcześniejszych widowisk. Nie mogłem liczyć nawet na złe recenzje moich książek w mainstreamowych gazetach ani na rolę eksperta na jakikolwiek temat w mediach. Ani za mną, ani za dziesiątkami kolegów w podobnej sytuacji nie wstawiali się „Dziennikarze bez granic", Rzecznik Praw Obywatelskich czy Komitet Helsiński. Żeby było jasne, nie skarżę się, nie zgrywam cierpiętnika, wybrałem świadomie i powtórzyłbym to raz jeszcze, tylko błagam was, którzy macie gęby pełne wolności i demokracji – zachowajcie odrobinę umiaru. Bo większość z was nie ma prawa szermować tymi pojęciami.

Demokracja to przecież poszanowanie praw mniejszości, ale zarazem uznanie prawa sprawowania władzy przez większość. To minimum szacunku dla przeciwnika i skłonność do dialogu. Natomiast odwaga to stawanie w prawdzie nawet wtedy, kiedy jest to niebezpieczne, niepopularne i z całą pewnością nieopłacalne. A nie podążanie w owczym pędzie, nie wiedząc, dokąd poprowadzi tłum przewodnik stada. ■

DEMOKRACJA TO POSZANOWANIE PRAW MNIEJSZOŚCI, ALE ZARAZEM UZNANIE PRAWA SPRAWOWANIA WŁADZY PRZEZ WIĘKSZOŚĆ. TO MINIMUM SZACUNKU DLA PRZECIWNIKA I SKŁONNOŚĆ DO DIALOGU. NATOMIAST ODWAGA TO STAWANIE W PRAWDZIE NAWET WTEDY, KIEDY JEST TO NIEBEZPIECZNE, NIEPOPULARNE I Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ NIEOPŁACALNE.

Tomasz Sakiewicz

Powolna śmierć liberalnego projektu

Na naszych oczach umiera trwający od II wojny światowej projekt budowania liberalno-lewicowych demokracji. Wygrane Orbána, Kaczyńskiego, Trumpa, Brexit, wzrost znaczenia Frontu Narodowego we Francji – choć mają zupełnie różne źródła i przyniosą różne skutki, łączy je bunt przed systemem, który zdominował zachodnią cywilizację.

Społeczeństwa przez wieki szukały bezpiecznej przystani w bezideowych lub mało zaangażowanych ideowo politykach. Dzisiaj chcą silnych przewodników. Tak jak bezideowość miała swoje silne uzasadnienie w wydarzeniach pierwszej połowy ubiegłego wieku, tak dzisiaj potrzeba pasterzy i liderów wynika z sytuacji, w jakiej znalazła się cywilizacja.

Rok 1917 przyniósł światu wstrząs, który zaowocował dziesiątkami milionów ofiar, zniszczeniem tradycyjnej gospodarki i powstaniem komunistycznego imperium. Do końca lat 60. prawie połowa ludzkości znalazła się pod wpływem tego nieludzkiego ustroju. Nędza, śmierć, niewola narzucone w imię najbardziej szczytnych celów ogarnęły znaczną część świata. Po drodze ludzkość przeżyła jeszcze koszmar narodowego socjalizmu, który nie opanował reszty planety m.in. ze względu na „rodzinny" konflikt Hitlera ze Stalinem. Trudno się dziwić, że zarówno elity europejskie, jak i społeczeństwa zaczęły się bać charyzmatycznych przywódców i wyrazistych idei. Liberalno-lewicowe systemy zapewniały odrzucenie totalitaryzmów i zniechęcały do poprawiania swojego bytu na drodze rewolucji. W zasadzie trudno tu mówić o czystym liberalizmie albo socjalizmie. Istotą ładu, który opanował naszą cywilizację, stała się bezideowość. Ślady lewicowych poglądów pojawiały się w walce z narzucanymi przez chrześcijaństwo ograniczeniami. Poszło to tak daleko, że normą stała się aborcja na żądanie, a w wielu krajach zaczęto wprowadzać eutanazję. Kryzys wiary, która przestała być potrzebna liberalnym społeczeństwom jako kręgosłup systemu politycznego, doprowadził system liberalno-demokratyczny do miejsca, w którym nie był w stanie obronić się przed atakiem ani z zewnątrz, ani od środka.

Po raz pierwszy społeczeństwa zachodnie pokazały, że są w stanie zrezygnować z drogi lewicowo-liberalnej w czasie największego zagrożenia komunizmem. Pomijam tu rok 1920, kiedy fala bolszewicka odbiła się od polskich aspiracji niepodległościowych. Przełom lat 70. i 80. przyniósł nie tylko „Solidarność", lecz także przede wszystkim zwycięstwo Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. Liberalne cywilizacje potrzebowały charyzmatycznych, ideowych przywódców do walki z „imperium zła". Dekada neokonserwatystów doprowadziła Związek Sowiecki do zagłady i pomogła wyzwolić Europę Wschodnią. Zadowolony z sukcesu świat powrócił do liberalno-lewicowego snu, nie zauważając zewnętrznych zagrożeń.

Ćwierć wieku później rządy autorytarne w Rosji i Chinach, opierające się w większym stopniu na wolnym rynku niż ich komunistyczni poprzednicy, znowu zagroziły zachodniej cywilizacji. Pojawiło się też na niespotykaną skalę, od czasów bitwy pod Wiedniem, islamskie zagrożenie. Tym razem islam zaczął wojnę od wewnętrznego ataku przez kolonizację i terror.

Odpowiedź Zachodu właśnie widzimy. W USA rządzi przybierający coraz bardziej szaty Reagana Donald Trump, w Wielkiej Brytanii w sprawach polityki wobec Unii Europejskiej do głosu doszli taczeryści, Francja przeżywa narodową rewoltę, a w Europie Środkowej wygrywają obozy patriotyczne. Ponieważ zagrożenia zewnętrzne potrwają dłużej, projekt liberalno-lewicowy musi poczekać kilka dekad. Tym bardziej jest to prawdopodobne, że obecna rewolucja uprzywilejowuje tradycyjne kręgi społeczne, które przez ostatnie lata doznały wręcz wykluczenia. ■

niezależna

eprasa.pl f3e1b3ccc5